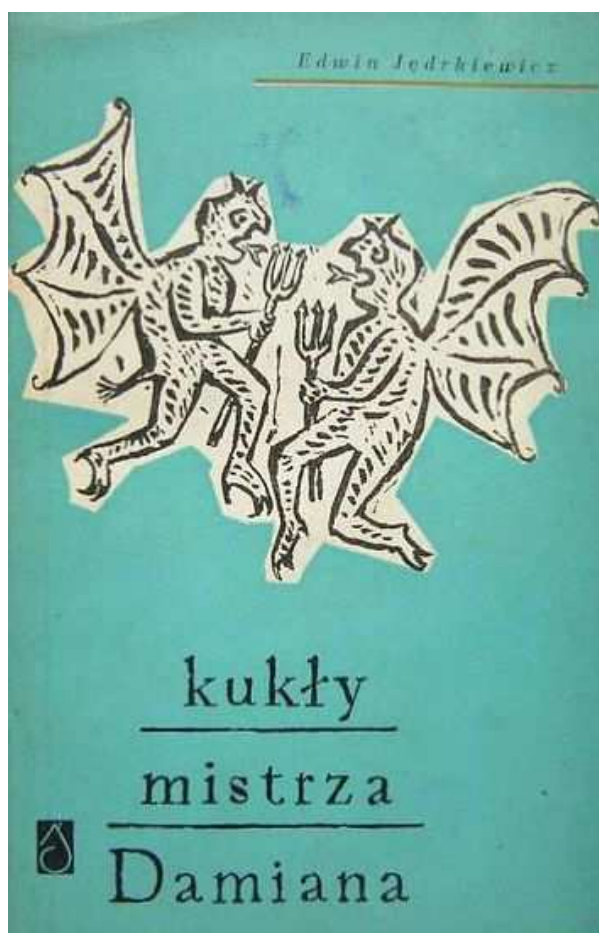


EDWIN JĘDRKIEWICZ

KUKŁY
MISTRZA DAMIANA



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1966

I

Ćma jesiennego zmroku i ciężka, mokra mgła wisiała w krętych i stromych uliczkach miasta, kiedy bakałarz Damian wracał do domu. Dyszał ciężko z irytacji i zmęczenia. Zachrypl od wielogodzinnego wrzasku i zszarpał się nie na żarty i namachał ramieniem siekąc skórę tych małych łotrów. A najbardziej zmęczył się, zanim zdołał, nawet przy pomocy innych chłopaków, rozciągnąć zuchwałego Klimka i wyrznąć mu dwadzieścia plag. Dwadzieścia? Może było więcej. Chyba było. Ba, sprawiedliwość musi być. Bezczelny, krnąbrny. Jak się to rzucał, jak kopał!

Mimo woli, zmacał kolano. Bolało. Dobrze go kopnął ten bękart! A silny chłystek jak koń. On go już oduczy kopania, on mu jeszcze pokaże! — zaciskał pięści w powracającej fali wściekłości. — Jemu i jego mamie, co śmie pyskować, że ona syna nie pozwala tak bić! Słyszane rzeczy — w szkole i nie bić? A jego, Damiana, jak siekli?! Raz przez tydzień potem ani siedzieć, ani leżeć nie mógł. Wychowywać i nie bić! Powiedzieć to komu, to ino na śmiech! A ta dmąca się kupczycha, co siedzi na workach z dukatami, będzie mu to „nie pozwalać”! I „do stanu duchownego”, powiada, bękarta chce pchać! Do stanu duchownego! Pewnie, na biskupa go jeszcze wypcha, choć chłystek odmienia tempus tempi i libri a liberi to dla niego wszystko jedno. Czy on zresztą jeden taki? A wielebny kanonik Paweł, co mówi „remittuntur tibi peccati tui!” Peccati! Ten bałwan, ten osioł, co jemu, mistrzowi Damianowi który całego Donata ma w jednym palcu, ledwo raczy na ukłon końcem swojej pijackiej trąby odkiwnąć. A jego, Damiana własni gospodarze jak traktują? Rajczycha kazała mu kiedyś worki z mąką nosić, jak się jej parobek gdzieś zapodział. Od czasu jak Adrian z ławnika został rajcą, to już oboje nie wiedzą, jak człowiekiem poniewierać. I co miał zrobić? Musiał! I tak im jeszcze winien za tę nędzną norę, w której mieszka. Już mu przecie wygrażała.

Uchylił się nagle mimo woli, bo coś mu przeleciało z sykiem tuż koło głowy i ciężko pacnęło rozsypując się na murze. Porwał się z wrzaskiem w stronę, skąd to nadleciało, ale dwie gały końskiego nawozu, którymi w tej chwili dostał w zęby i w oko, zdusiły mu na mgnienie głos i osłepiły. Charcząc z wściekłości i bełkocąc, plując i ocierając gębę leciał ku płotowi po przeciwnej stronie uliczki. Walił na oslep kijem w powietrze i w deski płotu i doszedłszy nareszcie do oddechu ryczał, że on wie, kto to, że on im da, że dziesięć kijów na nich połamię, na tym zbójcu Klimku! — i próbował przeleźć przez płot, ale obsunąwszy się, z niego raz i drugi, dał spokój. Za płotem dawno wszystko już ucichło.

Dygocąc z wściekłości i bezsilnego upokorzenia rzucił prędko oczyma dokoła. Było już prawie ciemno, ale i tak zobaczył i usłyszał uchylające się w ulicze jedno i drugie okno. Drewniane chodaki zastukały na jakimś przedprożu, ktoś chichotał, ktoś wołał nawet wprost do niego, mistrzu Damianie, wołał.

Ruszył prędko, chyłkiem, nie odpowiadając. Ale kiedy skręcił na ulicę Szewską wpadł od razu w mroczną gromadkę ludzi. Utknął zaskoczony. Usłyszał:

— ...w wieży ze zbójami? Z koniokradami?!

— Jest w przywilejach, że my na ratuszu! — burzył się inny ciężki głos.

W tej chwili padło prędko jakieś słowo, głosy urwały się od razu. Damian wyczuł, że tamci obracają się ku niemu. Przeszedł milcząc wyniośle.

Nie o mnie — odetchnął z ulgą. — Nie o mnie. Nie widzieli — i w tej chwili usłyszał za sobą przyciszone:

— ...ten głodomór. Ten ze szkoły.

Omiał że go nie zawrócił na miejscu ten szept, omiał że nie wpadł na nich z wrzaskiem. Ale się pohamował. Z szewcami ma się jeszcze zadawać? Żeby go znowu jaka hańba spotkała?

Pięści zaciskały mu się kurczowo. Ech, móc im, móc pokazać wszystkim, co to on...! Zemścić się za wszystko! Za zapadły brzuch, za tę zimną, brudną norę, w której musi mieszkać, on, mąż uczony, bakałarz nauk wyzwolonych, za noszenie worków dla rajczychy i te ledwo mu kiwające nosy rajców-pasibrzuchów i ławników! A kanonicy! Żeby mu kiedy musieli w pas się kłaniać, z drogi ustępować a on by ledwo nosem raczył odkiwnąć albo nie kiwnąłby wcale! Żeby tak jemu worki musieli nosić...!

Stał dygocąc przed bramą kamieniczki, gdzie na poddaszu miał swoją norę. Wszystko się w nim skręcało na myśl o znalezieniu się w niej. Nie, nie pójdzie tam! Ale dokąd w takim razie, dokąd?

Kolano go bolało. Tarł je i patrzył w ciemną już uliczkę. Jedno ze szczytowych okien domu po przeciwnej stronie zapełgało w mgłę jaśniejszym mżeniem.

— U Urbana — pomyślało mu się i nagle skoczyło mu do głowy. — A może by do niego? Dawno już nie był. Od tego czasu, kiedy mu alchemik, zgorączkowany i jakby na pół przytomny, zatrzasnął drzwi przed nosem krzycząc, że nie ma dziś czasu na gadanie! Obraza o to minęła zresztą u Damiana dość prędko, bo wiedział, że Urban potrafiłby tak drzwi zatrzasnąć i przed burmistrzem. Kto wie, może wtedy był bliski odkrycia kamienia filozoficznego? A może... może udało mu się zrobić złoto? Czyby też... czyby dał co wtedy...? Bo alchemik nie był kutwą. Jak miał co, to potrafił rozdawać. O ile mu z rąk nie wydarła ta jędza, siostrunia.

Natrętny cuch końskiego łajna przypomniał mu, że pewnie jeszcze jest nim osmarowany. Umyć się? Gdzie? Studnia była aż na końcu drugiej uliczki. Nie chciało mu się aż tam chodzić i zresztą — myć się na ulicy? Woda zimna, jeszcze z tego jaka choroba. A znowu śmierdzieć tym...? Podchodził wahając się ku domowi Urbana. Jakaś stara babina przekuszykała ciężko obok niego i w mdłym blasku jej latarki błysnęła wielka kałuża na kamieniach przedproża. To nasunęło mu pomysł.

Poczekał aż kobieta przejdzie i ostrożnie zamaczał w kałuży ręce. Przesunął je kilka razy po twarzy, opłukał i otarł się rękawem. Zaczął pukać kołatką w bramę. Nieprędko odezwał się za nią stukot drewnianych chodaków i zły bełkot parobka pytającego kto, do kogo, po co? Wreszcie drzwi się otwarły i Damian wszedł do sieni. Parob nie przestając żuć wypchaną gębą zlustrował go podsuwając mu pod nos latarnię, po czym rznął za nim drzwiami, zaryglował je z hukiem i poczłapał z powrotem w głąb długiej sieni czkając przy tym aż echo przyhukiwało.

— Może byś mi poświecił, ty! — warknął za nim Damian pnąc się już po stromych schodach. Tamten odmruknął coś gburowato i przepadł bez śladu w głębi domu.

Drżącymi z pasji rękami i nogami wymacywał sobie Damian drogę. Na szczęście znał ją wcale dobrze. Zresztą coraz wyraźniej pochłaniały jego uwagę dochodzące z góry głosy. Tak, to zza drzwi Urbana.

Stał pod nimi przyciskając szczelnie ucho. Ostry głos alchemika wrywał się od czasu do czasu namiętym wybuchem ze zdyszanej strugi jakichś dowodzeń czy przekonywań.

— ...czy ty rozumiesz... jakby w rękach łotra?... To gorsze niż zgraja uzbrojonych pachotków... bo chyłkiem... i ten strach u ludzi... ile zbrodni... łotrostwa.

Drugi głos, cichszy, odpowiadał coś spokojnie i jakby perswadujący. Damian przez chwilę nie mógł go pochwycić tak wyraźnie, aby rozpoznać czyj, choć głos wydawał mu się znany. Prędko zresztą przysłonił go znowu coraz krzykliwiej podnoszący się głos alchemika.

— ...ty sobie gadaj, co chcesz... ty... ty mądralo! Ty... nie wierzysz... głupi razem z całym swoim rozumem...!

— Ależ Urbanie — doszedł już znacznie wyraźniej ów drugi głos i Damian poznał w nim teraz głos mistrza Piotra, medyka — trzeba przecież mieć rozum!... Bajdy dla ciemnego tłumu... Jak człowiek uczony, jak ty, może...

— ...nic nie wiesz! — odpowiadał namiętny głos Urbana. — Nic! Wam się zdaje... rozumy pojedli a tymczasem co wiecie...?

— Nie zdaje mi się, nie. Ale przecież... pewne granice...

— Granice? Gdzie się kończy... gdzie zaczyna... przekonasz się jeszcze... gadaj, co chcesz, a ja spalę, spalę! — doszło raptem tak donośnie, jakby mówiący podbiegał już do samych drzwi.

Damianowi przeleciało w nagłym popłochu przez głowę, że to może on, Damian, zdradził jakim szelestem swą obecność i Urban biegnie teraz wyjrzeć, zobaczy go podsłuchującego.

Uchylił co prędzej drzwi i w mroku izby chwiejącym się płochliwie w błyskach ognia zobaczył przed sobą ciemne plecy Urbana. Alchemik wytrząsał namiętnie rękami ku izbie i krzyczał:

— Nie zostawię! Żeby wpadła w ręce jakiego łotra czy głupca, co narobi nieszczęścia? Nie! Przed śmiercią spalę! Możesz się śmiać czy nie śmiać, mądralo.

Przerwał nagle, oglądnął się i poderwał gwałtownie ku uchylonym drzwiom.

— To ja — powiedział prędko Damian. — Pochwalony. Kołatam... nikt nie odpowiada...

— Kto? — krzyknął tamten niecierpliwie i poznając wreszcie sapanął szorstko:

— Damian...? No włączcież, cóż tak sterczycie w drzwiach! Przeciąg tylko, wieje.

— A ziąb, ziąb taki mokry — zacierał Damian ręce usiłując zamaszystością ruchów pokryć niepewność. Odczuwał ją zawsze wchodząc do izby alchemika z jej ogromną pod okapem komina kuchnią, zastawioną tyglami i żelaznymi trójnogami i z jej półkami pełnymi flach, retort, pęków ziół i jakichś zasuszonych gadów, jaszczurek, wielkich gnatów i Bóg wie czego jeszcze. Dziś, wobec podnieconego nastroju w izbie, odczuwał to jeszcze silniej. — Widzę z ulicy, że ogień w izbie, to myślę sobie, wstąpię — mówił zerkając niepewnie na gospodarza.

Siedzący w głębokim półcieniu obok komina lekarz Piotr odsunął od siebie wolny zydeł, na którego oparciu wspierał się łokciem, i powiedział uprzejmie:

— Siadajcież, mistrzu Damianie.

— A dziękuję, dziękuję, mistrzu Piotrze — pokwapił się wdzięcznie Damian ale zaraz zeszytniał. Żeby się im znowu nie zdawało, że to dla niego łaska. Siłąc się na suchą godność, powiedział:

— Tu, słyszę, jakaś wielka dysputa. Tak, jak się uczeni mężowie zejda.

— A no tak sobie mówimy o tym i owym — powiedział Piotr niby całkiem obojętnie i zwyczajnie, ale Damian zauważył jego szybkie przy tym spojrzenie na przemierzającego izbę niespokojnie alchemika.

Mają jakieś sekrety... Może naprawdę zrobił złoto? — pomyślał Damian i aż mu się gorąco na tę myśl zrobiło. Uczuł na sobie badawcze oczy lekarza.

— Wracacie ze szkoły, mistrzu Damianie? A cóż tam w mieście nowego?

— Nowego? — wybuchnął. — Jedna rozpusta i łotrostwo! To nie dzieci, to wyrzutki z piekła! Będzie miał, będzie małodobry z nimi robotę! Do łokci ręce se urobi. Można na tym dziesięć kijów połamać a nie dopytasz się poszanowania dla starszych ani czci dla Boga.

— Ho, ho — uśmiechał się Piotr — aż tak! A może to tak się nam zawsze zdaje, jakęśmy już sami z tych lat wyrosli?

Sposób mówienia Piotra miał w sobie coś, co Damiana onieśmiewało. Nigdy nie był

pewny czy tamten sobie z niego w głębi duszy nie dworuje, chociaż Piotr był zawsze uprzejmy. Dla niego, Damiana, tak uprzejmy jak chyba nikt z tych tutejszych brzuchaczy, z tych spasionych i nadętych kupców, dygnitarzy i kanoników. Zresztą o ile Damian spostrzegał i miarkował, był Piotr taki sam — prawie taki sam — dla wszystkich. Nawet dla plebsu, co aż czasami było dla Damiana drażniące; Piotr gadał takim samym głosem do rajców co do szewskich czeladników i chłopów z sąsiednich wsi. A przecie różnice jakieś między stanami muszą być, niech tam sobie wrzeszczą, co chcą, te różne nowomodne heretyki i bezbożniki. Ale czy przy tym w gruncie rzeczy nosa nad wszystkich nie zadzierał? Lekarz był dobry, ludzie go potrzebowali i liczyli się z nim, miał duży dom z ogrodem — i przy tym byłby taki skromny?

Nadrabiając onieśmielenie zaprotestował prawie z krzykiem. Ale widoczne roztarganie, z jakim słuchał Piotr i milcząca latanina po izbie Urbana podcięły mu po kilku zdaniach animusz do perorowania. Kręcił się na zydłu nieswojo usiłując wymiarkować, co się tu między tymi dwoma dzieje. Bo Piotr wodził baz przerwy oczyma za Urbanem. Wysoka, chuda sylwetka alchemika w ciemnej ale wyświeconej i wyszarzałej długiej do stóp todze uczonego zapadała się co chwila w półmroku izby i wynurzała znowu w błyskach ognia. Opadające spod wytartej futrzanej czapki dwie wielkie kępy siwych włosów nad skroniami rozświecały się wtedy iskrząco.

Piotr odezwał się nie odrywając uważnego spojrzenia od Urbana:

— Coś sobie tam szewcy krzywdują. A inni też. Na rajców pomstują.

— Im zawsze krzywda — obruszył się krzywo Damian. — A ja co mam gadać, co? Nie naobiecowali mi się co niemiara, jakem tu przed dwoma laty przywędrował? Izbę, powiadali, dobrą dostaniesz, jeszcze ci kapnie, jak pisarzowi Rady będziesz pomagał. On tam, gadali, ze swojej skrzypoty pewnie się już nie wygrzebie, to możesz i pisarzem zostać, dorobisz się czego. — Com się dorobił?! — wrzasnął i aż rznął pięścią w stół w nagłej pasji, ale oprzytomniał na niespodziany huk: to ciężki olbrzymi foliał runął ze stołu i otwierając się rozpląszczył szeroko na ziemi. Zmieszany Damian schylił się, żeby go podnieść, ale twarde pchnięcie odsunęło go w tej chwili razem ze zydłem. Przed nim, mrużąc gniewnie, schylał się Urban, dźwigał z trudem foliał i grożąc błyskami spojrzeń odnosił w ką, na półkę.

Damian chrząknął z zakłopotaniem.

— Ekhm, straciłem wam coś, darujcie. Jakaś, widzę, szacowna księga, co?

Nikt mu nie odpowiedział. Urban zaczął znowu swą wędrówkę po izbie, Piotr siedział ze spuszczonej oczyma. Coś w jego twarzy zastanowiło Damiana, ale zakłopotanie nie pozwoliło mu długo myśleć o tym.

— Cośmy to gadali? — powiedział po chwili, aby wybrnąć z nieprzyjemnego milczenia. — Aha, że szewcy na rajców... Ba, panowie rajcy! Te brzuchacze, te purchawki! Czasem to i poniektóry biskup czy rycerz tak na ludzi z góry nie wrzeszczy jak te pasibrzuchy.

Urban przerwał nagle swą wędrówkę po izbie. Stał zadzierając wysoko capią bródkę, śmiał się cicho — gorzko czy nienawistnie?

— Panowie szlachta, panowie szlachta.

Piotr zwrócił się prędko cło Damiana:

— Tak właśnie i szewcy mówią, jak wy, mistrzu Damianie.

Damian odął się niechętnie. Cóż on go, ten Piotr, tak zrównuje tu z szewcami? Odsądził się od tego:

— No. Nawet nie uczone prostaki to czują.

— Hm. To chyba każdy człowiek jakoś czuje. Czy prostak, czy uczone, czy pan.

— Pewno, pewno — godził się kwaśno Damian.

— Ale przynajmniej jak biskup czy rycerz, to wiesz człowieku, że prawdziwy pan — zerknął niepewnie ku Urbanowi. — A i człowiek uczone, przyznacie chyba, inny honor ma niż taki włóczydratwa.

Capia broda Urbana zadarła się jeszcze wyżej. Śmiał się ciągle bezgłośnie.

— Hm — mruknął Piotr skierowując na niego znów uważne oczy. — Ale teraz to już i nie o to tylko idzie ale o gwałt i jeszcze gwałcenie prawa — tak mówią oni, cechy — zastrzegł się spokojnie. — Cechmistrza piekarskiego, krzywego Jakuba, tego suchotnika, mizeraka, worek kości w skórze, napadli wieczór na ulicy jacyś i ciężko pobili.

— Ba — napuszył się swą lepszą wiedzą Damian — nie „jacyś” to, ino synkowie radzieccy, najstarszy rajcy Bernarda i synek czarnego Pawła. Wszystko za to, że Jakub podburza gmin przeciw Radzie, żeby przywróciła tych jakichś wigintywirów. — Zawahał się i dodał z obrażoną miną: — A to właściwie co za jedni byli?

— To taki trzeci ordynek prócz Ławy i Rady. Wybierany z cechów i pospólstwa. Był kiedyś. I są pono na niego przywileje. Ino potem, już bardzo wiele lat temu, Rada jakoś się go pozbyła i poszedł w zapomnienie. Ale z tym Jakubem: pobili go, pokaleczyli, a w dodatku wsadzili dziś do wieży i to tej gdzie siedzą te dwa zbóje.

— Nie gadajcie! — wyrwało się mimo woli Damianowi.

— No. Nie słyszeliście o tym? Tak. Piekarze twierdzą, że w przywilejach miasta zastrzeżone dla mieszczan więzienie na ratuszu „pod dzwonem”. Ba, kiedy Rada twierdzi, że tych przywilejów nie ma. I tego, i tego co do wigintywirów. Może były, powiada, może nie, ale teraz nie ma. Może się zgubiły.

— Póki tych pasibrzuchów na ratuszu, póty nie będzie lepiej? — warczał zaciekle Damian.

— Ale Rada Radą i co im zrobić, co? Jak myślicie, mistrzu Damianie?

— Żeby w Radzie siedzieli ludzie uczeni jak... jak wy, mistrzu Piotrze, jak... mistrz Urban — bąkał Damian zerkając ostrożnie ku alchemikowi — to by było pewno lepiej.

— No i jak wy, mistrzu Damianie — dodał Piotr.

Damian zmieszał się. Ale twarz Piotra była całkiem poważna. Mruknął więc tylko ponuro, że gdzie tam jemu do Rady. Za wysokie progi. Co innego oni: Piotr, Urban.

Alchemik przystanął i obróciwszy się ku Damianowi patrzył na niego nieruchomo znad zadartej wysoko koziej brody.

— A wy skąd wiecie — wybuchnął nagle — że ci „uczni” i Piotr i ja, nie staliby się za tydzień czy za miesiąc całkiem tacy sami jak ci brzuchacze i purchawki tam, teraz?

— Piotr i wy — tacy sami? — zgorszył się ostentacyjnie Damian, ale tamten przerwał namiętnie.

— A może i Piotr, a może i ja! Skąd wiecie, że nie? Czy ja sam mogę wiedzieć? Człowiek! Człowiek to jest bestia! Niech tylko dostanie kawał kija do garści, to zaraz ta bestia z niego wylezie! Zaraz tym kijem rozwała łby naokoło a już najbardziej tym, co by się chcieli dostać do tego złobu, przy którym on stoi. Nie chcę być w żadnej radzie! Choćby mnie tam prosili! Nie chcę!

— Moglibyście ludziom dobrze robić — mruknął niepewnie Damian.

— Tu mogę prędzej co dobrego zrobić! — krzyknął alchemik ogarniając szerokim ruchem swą pracownię.

— Niby myślicie — jak zrobicie złoto? — zaciekawił się Damian pożądliwie. Ale odpowiedź osłupiła go.

Urban krzyczał coraz namiętniej:

— Jakbym zrobił złoto, to bym sekret tego spalił. Słyszycie? Spaliłbym! Bo z tego byłoby tylko jakieś nowe nieszczęście! Już by je ludzie potrafili zrobić! Oni z wszystkiego tak...! I jak im pomóc, jak?

— No to... to czemu szukacie tego sekretu? — wybąkał Damian.

Teraz stało się coś dziwnego i strasznego. Alchemik poderwał gwałtownie w górę oba ramiona jakby do jakiegoś namiętnego przeklinania.

— Nie...! — krzyknął przeraźliwie z wychodzącymi z orbit oczyma i raptem głos prze-

rwał mu się i przeszedł w głuche charczenie. Piotr poderwał się ku niemu, ale nim zdołał go pochwycić, tamten runął twarzą na ziemię. Piotr schylał się nad charczącym głucho, szybkimi ruchami obracał go na plecy, macał puls, przykładając ucho do piersi.

— Bierzcie go ze mną — rzucił zdyszczonym głosem Damianowi. — I na tapczan!

Błyskawicznie zakrzętnął się po izbie. Brzęknęły jakieś naczynia i nim się Damian opatrzył Piotr klęczał już przy leżącym. Puszczona z żyły ramienia krew lała się z szelestem na cynową miseczkę.

Chrapanie Urbana opadało, przycichało. Biała szmata przewiazki mignęła tylko w chyżych palcach Piotra. Medyk zerwał się i chwycił swoją stojącą na ziemi latarnię. Rzucił rozkazująco:

— Zostańcie przy nim, aż wrócę! Skoczę jeszcze do siebie, spróbuję.

Już wybiegał.

Mrok izby słaniał się w błyskach ogniska. Twarz alchemika wynurzała się z niego chwilami, wychudła, ściągana bolesnym skurczem zacieklej walki ciała ze śmiercią. Charczenie wbijało się ostrym zgrzytem w ciszę izby. Damian patrzył na niego długo wstrząśnięty, ze ściśniętym sercem. W głowie kotłowały mu się obrazy ostatnich chwil. Co to było, co się stało? Czemu on się tak uniósł, ten dziwak, czy rozgniewał? Już przedtem krzyczał tak do Piotra, Damian słyszał to przecież stojąc pod drzwiami. O co im poszło, tamtym?

Tu stanął mu w oczach nagle obraz Urbana schylającego się po strąconą przypadkiem przez Damiana księgę. I to, jak on potem tę księgę niósł, jakby zasłaniając ją całym sobą przed oczami Damiana i jak ją daleko gdzieś odłożył. Ale z jaką siłą go przedtem odepchnął, gdy Damian chciał księgę podnieść! Równocześnie zamajaczyły mu dziwne figury dostrzeżone na mgnienie na stronicach otwartej księgi. Co to było?

I nagle przeleciała mu przez głowę myśl tak osłepiająca, że na chwilę aż mu dech zaparło. A może w tej księdze był przepis na robienie złota? Księga wydawała się bardzo stara; to zdołał Damian zauważyć nawet w ciągu tamtej krótkiej chwili. I to, co alchemik krzyczał przedtem do Piotra o spaleniu czegoś? Potem i do niego krzyczał o spaleniu recepty na złoto...? I całe jego rozgorączkowanie i uniesienie...? Gdzie jest ta księga, gdzie ona?

Znalazł ją bez trudu, miał w pamięci wyraźnie postać i ruch Urbana odnoszącego księgę w głąb izby. Przydzwigał ją zgorączkowany ku ognisku komina. Ze zdumieniem i zawodem zobaczył, że zaraz na początku wiele kart było wydartych, pergamin innych poszarpany i wystrzępiony a wszystko razem wraz z jedną okładką było nadpalone i nadwęglone. Wyraźne ślady wydartych kart były i na końcu książki. Gdy przysiadając w pośpiechu na zydlu oparł księgę grzbietem o kolana, otwarła mu się sama bodajże w tym miejscu, gdzie otwarła się podczas upadku. Bo przecież to chyba te same figury, które mignęły mu wtedy przed oczyma? Widać często była w tym miejscu otwierana. Rzucił się na nią łapczywie.

Środkowa część książki, która była jako tako nienaruszona, pisana była po łacinie ale pismem o kroju już dawno nie używanym. Widocznie była rzeczywiście bardzo stara. Miała na marginesach wiele dopisków różnych rąk i różnego pisma, ba, nawet jakichś nieznanych znaków. Były wśród nich i takie, które jak się zdawało Damianowi, były pismem żydowskim. Osobliwe było, że jedna, nie, nawet kilka kart pergaminowych miało powtarzającą się ciągle tę samą jakąś figurę jakby splecionych bardzo kunsztownie i zawile kilku trójkątów z wpisanymi w nie nieznanym Damianowi alfabetem słowami i że w szeregu tych figur były w dwu czy trzech miejscach wycięte równo z pergaminowej karty krążki odpowiadające dokładnie wielkością owym figurom. Damian przeczytał kilka zdań, ale choć rozumiał poszczególne zwroty a nawet zdania, nie mógł się zupełnie połapać, o co chodziło. W każdym razie nie było tam nic mogącego wskazywać, że chodzi o robotę złota. Nagle wpadł na zdanie, które wprawiło go w osłupienie. Przeczytał je po raz drugi i trzeci i — poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie i ciarki zimnych dreszczy zaczynają pełzać po grzbiecie. Odruchowo przeżegnał się trzy razy i czym prędzej zatrzaskał księgę. Ale zaraz wrócił do niej gorączkowo — otwarła

mu się znowu w tym samym miejscu — i bez tchu rzucił się do odczytywania tego ustępu raz jeszcze, i raz jeszcze.

Wtedy usłyszał głosy na schodach i szybkie kroki. Ledwo zdołał odrzucić księgę na stół, kiedy wpadł zadyszany Piotr z torbą w ręce i nie patrząc na nic spieszył, biegnąc prawie, ku tapczanowi. Ale nie doszedłszy stanął z opadającymi coraz bezwładniej ramionami.

Teraz dopiero spostrzegł się Damian, że charczenie Urbana stawało się coraz rzadsze i cichsze. Jeszcze jedno — jeszcze jedno — potem już bezgłośnie westchnienie — i cisza.

Drzwi skrzyknęły i Damian obejrzał się na człapiące kroki: szła ciężko stara kobieta.

Przyszła już — przelatywało mu błyskawicznie przez głowę — zabierze wszystko po bracie. I tę księgę.

Kobieta stanęła przed tapczanem. Potem podniosła oczy na Piotra. Rozłożył ręce.

— Trudno — westchnął ciężko. Pokiwał głową niby z jakimś żalonym wyrzutem: — A mówiłem mu, mówiłem, przestrzegalem.

Stara przyklękła przy tapczanie. Żegnała się, mamrotała modlitwy. Łzy ciekły jej po zoranych zmarszczkami policzkach.

Damian ukląkł także, ale dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że i on wymrukuje za kobietą słowa modlitw, a potem, że Piotr oglądając się na niego i dopiero teraz sam ukląkł. Ale to wszystko było jak za jakąś gęstą mgłą, daleko poza huczącym w Damianowej głowie kłębem myśli. Z tego kłębu coraz wyraźniej, coraz niepowstrzymaniej wyplątywało się jedno: on musi tę księgę dostać... Musi! Ale jak? Jak to zrobić? Jak? Może Piotr ją zabierze? Zabierze? Kupi chyba! Dałaby ta stara co zabrać stąd! Ale jeśli sprzeda, to sprzedałaby może i jemu, Damianowi?

Ona przecie nie ma wyobrażenia, co w tej księdze, dla niej to taka sama, jak każda inna. Ale ile zechce za nią? I skąd wziąć na to?

Drgnął usłyszawszy, że tamtych dwoje rozmawia. Opanował pierwszy odruch, z jakim chciał się również dźwignąć z kolan: udając zatopionego w modlitwie czy żalobnych rozmyślaniach mógł bardziej niepostrzeżenie słuchać, zwłaszcza że zauważył już jedno i drugie podejrzliwe łypnięcie Magdaleny.

— Co mnie po tych wszystkich jego gratach? — skrzypiała do Piotra już swoim gniewnym, starczym głosem. — Co ja będę z tym robić? Kupcie, co się wam nada, mistrzu Piotrze. Tanio sprzedałabym, grosza mi trza. Dom garbarza Derka do sprzedania, ino trza by prędko, bo tam się już kilku kręci wedle tego.

Piotr odpowiadał z roztargnieniem i jakby niechęcią z trudem pokrywaną, że oczywiście, kupiłby to i owo, ale w tej właśnie chwili gotowego grosza ma bardzo niewiele, więc jeśli pani Magdaleno zaraz potrzeba, to może sobie innego kupca znajdzie — ale może to już raczej po pogrzebie brata omówią?

— Po pogrzebie — mruzczała — po pogrzebie! — A jej tymczasem dom garbarza ktoś sprzed nosa sprzątnie.

Damian spojrzał spod oka na Piotra. Tamten stał z opuszczoną z lekka głową, w tej pozycji, w której Damian widywał go tak często, że zrosła mu się w pamięci z postacią lekarza. Na drobnej i zawsze jeszcze młodej twarzy Piotra, z występującymi wyraziście nad wklęsłe policzki kośćmi, z odrobiną krzywą linią ust i stałym wyrazem z lekka zakłopotanej nieufności czy niedowierzania, było teraz wyraźne jakieś wahanie czy niepewność. W pewnej chwili obrócił się ku półkom z książkami w kącie izby: widocznie szukał czegoś oczyma. Damianowi serce skoczyło do gardła: czyżby tej księgi? Jeśli teraz spostrzeże, że ona nie leży tam, gdzie ją odłożył Urban — to wszystko przepadło!

Piotr musiał istotnie zdać sobie z tego sprawę, bo Damian zobaczył wyraźny błysk zdziwienia w jego oczach na widok księgi na stole. Ale zatarło się to zaraz w nowym zawahaniu rąk Piotra, którymi sięgnął ku księdze. Powiedział zacinając się:

— A tu... a tę księgę to wasz brat, pani Magdaleno, chciał... chciał spalić... przed

śmiercią.

— Taka nic nie warta?

Piotr zawahał się znowu.

— No... nie wiem tam. Ale taka była jego wola, to trzeba ją uszanować. Właśnie dziś mówił.

Damian łykał z trudem ślinę. W gardle wyschło mu zupełnie. Stara obmacywała jedną ręką księgę nieufnie i z daleka. Mruczała coś niezrozumiałego. Piotr podejmował już z ziemi swoją latarnię.

— Bądźcie zdrowi, pani Magdaleno. Jutro do was zajrzę, jeśli chcecie, to omówimy pogrzeb i wszystko. Dziś już późno. Idziemy, kumotrze Damianie?

Damian kiwnął głową. Jak to zrobić? — kotłowało mu w niej — jak to zrobić? Pod jakim pozorem zostać tu jeszcze bez Piotra?

Szedł ociągającymi się krokami za Piotrem i szukał desperacko szczęśliwego pomysłu. Ale dopiero na schodach błysnęła mu myśl.

— Wiecie, mistrzu Piotrze — powiedział przystając nagle i odwracając ile możliwości twarz od światła latarni Piotra — przypomniałem sobie teraz jednego, co by kupił może od Magdaleny różne rzeczy. On tu w przejeździe. Tylko trza by się śpieszyć, bo gotów odjechać. Jeszcze się wrócę i powiem jej, ale wy nie czekajcie na mnie, wiecie, bo to może potrwać, a wy widzę, bardzoście strudzeni.

— Jak chcecie — odmruknął Piotr zmęczonym głosem. Ale podniósł latarnię wysoko w górę oświetlając nią schody powracającemu Damianowi. Damian odetchnął usłyszawszy za chwilę jego oddalające się kroki. Płacząc się trochę opowiedział Magdalenie o owym rzekomym kupcu, którego on, Damian, będzie się starał jutro odszukać. Mówił to przystanąwszy od razu przy stole koło tamtej księgi, na którą jakoby zwrócił uwagę dopiero, gdy zabierał się już do odchodzenia. Że, aha to ta, co to chcieli ją spalić? No pewnie, że nic nie warta. Do pół spalona. A reszta... reszta okrutnie pogryziona przez robaki, o, jak to się z niej sypie. A ona, Magdalena, dom Derka chce kupować? Pewnie, ładny dom.

Stara żuła bezzębnyymi szczękami jakieś chytre obmyślenia. Co to gadał ten Piotr — że nieboszczyk kazał spalić tę księgę? Gadał naprawdę tak? — wywiadywała się podejrzliwie.

Damian ruszył ramionami. Do niego, do Damiana, nieboszczyk nic takiego nie mówił. Ale jeżeli chciał, to pewno dlatego, że to już nic nie warte, podarte, popalone. A może się Piotrowi tylko coś tak przesłyszało. Strudzony był, zmartwiony, to mu się mogło coś pokręcić. Ale jeszcze na tych nie zapisanych brzegach kart można by sobie zapiski jakieś robić. Jemu, Damianowi, mogłyby się nawet takie skrawki nie zapisane przydać. Nawet by jaki grosz dał, bo mu to potrzebne. A jej, Magdalenie, także każdy grosz dobry, jak dom chce kupować. Ale odsunął foliał i brał się niby to do odchodzenia. Złapała go za rękaw. Ile by też dał?

— Phy, cóż za takie kilka skrawków? Chyba najwyżej z dwa, no niechby trzy grosze.

— Trzy grosze? — mruczała mrugając chciwie oczyma — to mało, bardzo mało. Za księgę trzy grosze, jeszcze za taką ciężką? Wiem ci ja, jakie księgi drogie! Dajcież sześć.

— Sześć? — wykrzywił się jej grubiańsko. — Za sześć pół wieprza dostanie! A to nie żadna księga, ino trochę skrawków czystego pergaminu.

Opadła go z krzykiem. Za sześć groszy pół wieprza? Gdzie to tak sprzedają, niech jej powie, to duchem tam polecą kupować. Patrzenie go, za sześć groszy pół wieprza! Jej babka tak kupowała, ale nie teraz!

Targowali się twardo o każdego denara. Dopiero kiedy niby to odchodząc obracał się już ku drzwiom, pchnęła ku niemu gniewnie foliał.

— Cztery grosze i pięć denarów? — upewniał się chwytając księgę i udając, że nie słyszy ponurego jej mruczenia o takich, co by ci, człowieku, z gardła wszystko wydarli.

— Jak przyniesiecie pieniądze, to se ją weźmiecie! — odpowiedziała wydzierając mu

znowu foliał z rąk.

Dygotał cały obtłukując się na oślep przy schodzeniu po ciemnych schodach. Teraz co tchu do Żyda Samuela pod rzeźnicką bramę. Teraz, zaraz! Da każdy procent, jaki Żyd zażąda! Choćby po groszu na tydzień! Żeby mu tylko dał, żeby dał! Skąd weźmie, żeby oddać? Potem się będzie nad tym głowił, potem — myślał sadząc wielkimi krokami przez ciemne i puste uliczki. — Teraz żeby tylko je dostać... A jeśli to wszystko bajdy — kto to mówił o bajdach, kto to? Aha, to Piotr, no oczywiście że to było o tej księdze... Ale znowu Urban? Ten nie uważał za bajdę, skoro chciał spalić. A znów jak nie bajdy, to, to — Chryste Panie, to przecie chyba nieczyste moce!

Włosy zjeżyły mu się na głowie i ręka poderwała sama do zrobienia znaku krzyża. Ale nie dokończyła go. Bo jeszcze się przez to żegnanie popsuje mu co — w tamtej sprawie... Potem wszystko odpokutuje, zapłaci odpusty, oczywiście, odpokutuje, odpokutuje! Taką moc mieć w ręku, taką moc! Więcej warte niż rota zbrojnych pachołów, mówił Urban... Wtedy by im wszystkim pokazał, tym psim synom rajcom, ławnikom, kanonikom... On by im już wtedy pokazał, on by im...!

Stał już przed domem lichwiarza, ciemnym i głuchym. Dopiero po chwili wypatrzył cieniutką nitkę światła pod jedną z okiennic. Porwał kołatkę u drzwi i grzmotnął nią z taką siłą w blachę, że nocna pustka uliczki odpowiedziała zgrzytliwymi echami. Wzdrygnął się, przyległ mimo woli do drzwi i obejrzał z przestachem, bo zdawało mu się, że zza kamiennych gnatów przypór i murów doszedł głuchy, nieludzki pomruk i powolne, tępe, twarde stapania.

Wlepił z przerażeniem oczy w mokrą i mglistą nocną ciemność, zupełnie już przycichłą. Równomiernie, w rzadkich odstępach, jak w klepsydrze, kapały gdzieś tylko krople rosy z dachu czy rynny.

Małeńkie okrągłe oko w drzwiach lichwiarza za- pełgało wreszcie żółtawą mgłą. Ostrożne, człapiące kroki odezwały się za drzwiami.

Czepił się klamki obiema rękami.

II

Damian cofnął się, na ile pozwalała ciasna klitka komórki i ocierając z gliny ręce w zgrzebną szmatę przekrzywił głowę i patrzył na swoje dzieło. W mroku skąpo rozjaśnionym światłem olejnego kaganka stał przed nim tamten gliniany bałwan. Na grubych jak bale nibynogach, krępy, pniakowaty tułów zakończony nieforemną, z gruba ledwie ociosaną bryłą łba.

Wuj Łukasz by pomstował — przeleciało mu mimo woli przez głowę — jakbym był u niego co takiego zrobił.

Na mgnienie zjawiła mu się w oczach szopa snycerska wuja Łukasza, w której kiedyś zaczynał się sposobić do tego rzemiosła zaniechanego później dla pociągającego fantazję wyrostka blaskiem złudnych honorów zawodu bakałarza. Nie palił się do tego babrania się w glinie czy dłubaniny w drzewie. Pchnęli go tam, bo Łukasz kusił nadzieją spadku. Stary był już, zadychiwał się okrutnie a uczniów właśnie nie miał ani pomocników. Na szczęście prędko mu się zmarło, Panie świeć nad jego duszą, i Damian mógł rzucić szopę wujową i wpisać się w poczet przyszłych mężów uczonych.

— A inna rzecz — pomyślało mu się — że gdyby tam był dłużej praktykował, to by i tego bałwana tu ulepił jakoś bardziej na podobieństwo człowieka. Ale to nic. To przecie wszystko tylko próba, żeby zobaczyć, czy to naprawdę, czy to możliwe. Potem by już resztę można jakoś poprawić. I jak to będzie, to jest: jakby to było? Te kloce nóg miałyby zacząć

stapać, te niezdarne kikuty łap — poruszać się? I ten łeb? Jakby to było, jakby ten łeb ożył?

Przeszedł go zimny dreszcz. Co on, na Boga, robi, co on robi? To przecie nieczyste jakieś moce, jakżeby inaczej, co by innego mogło być? Czy słyszał kto kiedy o czymś takim? Żeby taki kloc, jak się mu w szparę na piersiach — w szparę umyślnie po to wyżłobioną — wsunie wyciętą z kart księgi dziwną ową figurę — żeby taki kloc ożył i żył póki mu się tego znaku nie wyjmie? To jakieś czarnoksiężstwa wschodnie, juści że wschodnie, nawet w tej księdze pisało, że ma sekrety magiczne z krain wschodu, ona, jedna, jedyna. I te straszne przekleństwa w niej na tego, kto by jej tajemnice zdradził!

Chwycił go nagle tak przeraźliwy strach, że pędem prawie wypadł z komórki zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tłukł się niespokojnie w swojej izdebce od ściany do ściany. Huczało mu w głowie. Ten tępy stwór za ścianą, przekleństwa księgi, czarnoksiężnictwo, złe moce, zadawanie się z nimi — potępienie! A co ma robić, co? Do końca życia gnoić się w takich zimnych nędznych norach, jak ta tu, do śmierci użerać się z bandą złych, okrutnych chłopczyków i kłaniać się w pas nadętym, bogatym kupczychom, i kupcom, i klechom! Słusznie im tak wyzywa ten jakiś Luter! Za grosz by samego Pana Boga sprzedali, za grosz, powiadają, kupiłby i samego papieża rzymskiego!

No to i odpuszczenie tego grzechu by kupił! — skoczyła mu nagle chytra myśl do głowy. Skrzywił się i zamazał ją w sobie. Czy to jego wina? To ich rzecz. Jak powiadają, że mają taką władzę od Pana Jezusa...

A tam za ścianą stoi ten bałwan i czeka. Nieforemny, gruby i wuj Łukasz by kłął, ale już, już by można z nim spróbować. Spróbować tylko, potem będzie można jeszcze ogładzić w nim to i owo.

Otworzył skrzynię i z samego dna jej, spod łachów i książek, wydobyl tamtą wielką, ciężką księgę. Wydobyl spośród jej kart wyciętą już czysto i starannie tajemniczą figurę. Rzucił okiem na drzwi od schodów czy zaryglowane, ale mimo że zobaczył zasunięty rygiel, spróbował jeszcze obiema rękami.

Żegnając się co chwilę stał przed drzwiami komórki z olejną lampką w jednej ręce, z wyciętą z księgi figurą w drugiej. Serce waliło mu pod samym gardłem. Kilka razy wyciągał rękę ku drzwiczkom i cofał ją z powrotem. Aż szarpnął je sam nie wiedząc kiedy. Postawił lampkę na ziemi i z zapartym oddechem, skradając się niemal na palcach, podsunął się do bałwana. Z zamkniętymi oczyma na oślep wymacał dygocącymi rękami tę szparę na piersiach i wsuwał tam kabalistyczny znak. I zaraz jakby dotknął rozpalonego żelaza odskoczył cofając się, póki go nie zatrzymała ściana. Bez tchu, z wyłażącymi z orbit oczyma, w dzikim łoskocie serca i szalonym wirze myśli stał i patrzył.

Nic. Cisza — pustka — martwota.

I nagle — Chryste Panie, czy mu się zdawało...? Czy mu się zdawało, że w tępej, martwej bryle tamtej twarzy coś drgnęło? Nie, to mu się tak chyba zdawało, bo teraz znów nieruch...

Krzyknął z przerażenia przypierając się całą siłą ramieniem do ścianki komórki. Trzasnęło w desce, ale ścianka nie puściła. Więc zasłaniając do połowy oczy i głowę ramionami patrzył w nieludzkim przerażeniu. Teraz mu się już nie zdawało, teraz widział na własne, żywe oczy.

Drgnienie przeszło przez tamte szare powieki. Jedno, drugie. Z wolna, z wolna rozchyliły się w wąską, rozciętą szparę. Znowu się zapadły. I znowu jęły dźwigać z trudem, z tęnym, twardym wysiłkiem. Szerzej, coraz szerzej. Aż się otwarły całkowicie. Nieludzkie, kamienne oczy spojrzwały tępo na Damiana.

Z zawrotem nieprzytomnego strachu oderwał się od ściany, skoczył w drzwi komórki, zatrzasnął je za sobą, przyparł się do nich plecami, przyciskał całą mocą naprężonych mięśni nóg i ramion. W izbie było ciemno, bo lampka została w komórce, tylko dwie wąskie smużki światła przeciekające od niej przez szpary drzwi, wahały się w mroku.

Bez tchu, bez ruchu słuchał wszystkimi nerwami przypięty do głuchoj ciszy za drzwiami. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo tak stał. Zdawało mu się, że to była wieczność. Ale wreszcie złapał przecież oddech. Tam, za drzwiami, panowała bezwzględna cisza. Choć przyciskał głowę kurczowo do ich desek, nie mógł usłyszeć stamtąd nic, nawet szelestu oddechów. Odsunął się w końcu od drzwi, wyprostował. Nogi gięły się pod nim jak po długiej chorobie. Na palcach, płosząc się przy każdym szmerze, doszedł do zydła, usiadł. Tarł czoło rękami.

A więc... a więc to b y ł o tak. — A może to wszystko tylko sen? Uderzył się pięścią w policzek, w nos. Był przecież trzeźwy, czuł ból uderzenia. Więc to prawda?... I pierwszy raz z dna przerażenia, popłochu i zamętu zamigotała myśl, że przecież tego p r a g n ą ł, że c h c i a ł, że to w ł a d z a, p o t ę g a.

Tak, ale tam, za ścianą ten przeraźliwy, straszny stwór, który... który patrzył tępymi, nieludzkimi, ale żywymi, żywymi oczyma... A może to przecie było tylko złudzenie?

Porwał się z zydła i usiadł znowu. Ale już czuł, że nic na świecie, żaden strach, żadne przerażenie nie zdoła go wstrzymać od pójścia tam, za te drzwiczki i przekonania się, zobaczenia, stwierdzenia. Od przekonania się, czy tamten naprawdę, n a p r a w d ę będzie słuchał każdego jego rozkazu, jak to mówiła księga? Każdego rozkazu jego, bakałarza Damiana?

Ciągle na palcach, jak najbardziej bezszelestnie, podszedł do drzwi, uchylił ciasną, najciaśniejszą szparę. Wzdrygnął się, gdy skrzypnęły i cofnął błyskawicznie głowę za odrzwia, ale gdy w komórce trwała dalej niezmacona cisza, zajrzał znowu ostrożnie.

W gęstym półmroku czerniła się pod ścianą ciężka, przysadzista bryła t a m t e g o. Milcząca, nieruchoma. Od dołu, od rozchwianego płomienia pozostawionego na ziemi nieopodal kaganka, wspinały się ku niej znikome mrugania światła. W jednym z nich zobaczył Damian błady połysk gałek ocznych. Gałek zwracających się ku uchylonym drzwiom, ku niemu, Damianowi... Gałek żywych oczu.

Mimo woli cofnął się przywierając prędko drzwi. Zacerpnął głęboko oddechu i odchylił je znowu, tym razem szerzej. Zbierając wszystkie siły wytchnął zachrypłym z przejścia półgłosem:

— Idź!

Znowu chwila martwej ciszy. I lejące z szybkością huraganu myśli:

Nie rusza się. Nic z tego. Więc przecie złudzenie wszystko...

Ale oto ciężki kloc jednej nogi tamtego zaczął wolno wolniusieńko unosić się niemal sztywnie, z ledwo widocznym zgięciem kolana. A potem równie sztywno, powoli, tępo zadudnił niby stępor o podłogę. Ruszył się kloc drugiej nogi.

Stuk — stuk — stuk — stuk — rozległo się ciężko, głucho, tak ciężko i powoli, że czas między jednym stuknięciem a drugim wypełniało kilka uderzeń tłukącego się nieprzytomnie serca.

Stwór stapał. Jeszcze dwa kroki, krok i znajdzie się w uchylonych drzwiach.

Damian chciał krzyknąć: stój! — ale ze ściśniętej gardzieli wydobył tylko jakiś kraczący głos. Odskoczył od szpary w drzwiach i cofał się tyłem na uginających się nogach.

Pchnięte ciężarem tamtego strzeliły drzwiczki o ścianę komórki. Stwór stapał wolno, tępo, martwo, łomocąc głucho każdym krokiem. Szedł prosto na Damiana. Damian kurcząc się jał mu się usuwać z drogi i wtedy z lodowatym przerażeniem ujrzał, że tamten — tamten skręca za nim!

— Stój! — wykrztusił wreszcie i z trudem jał chwytać oddech. Bo podniesiona noga tamtego zatrzymała się w powietrzu a potem wolno, ciężko opadła. Stuknęła w kamień posadzki, znieruchomiła. Stwór stał. Jeszcze z lekka pochylony w zastygłym półruchu, z kamiennymi a przecie żywymi ślepiami wbitymi w Damiana — stał. Stał, nie ruszał się!

Damian ocierał pot lejący się strużkami z czoła, dyszał ciężko. W głowie huczała mu tylko jedna jedyna myśl:

A więc prawda!

Potem przechynęło w nim coś jak zdziwienie, że on, Damian — pragnął przecie tego! Że nie sypiał w oczekiwaniu tego po nocach, że nie jadł, zaniedbywał szkołę, nie pamiętał o całym świecie! W tej chwili czuł tylko oddech niewyraźnej ulgi, że stwór stanął, że się nie rusza, że nie zbliża się ku niemu i jedno, coraz mocniejsze, coraz bardziej niezmożone pragnienie: pozbyć się tego potwora! Przecież może, to w jego mocy! Wystarczy, by wyjął tamten kabalistyczny znak i — i co potem, co stanie się z tamtym wtedy? Ale jak się zbliżyć, jak podsunąć pod te przerażające, straszne, tępe jak u węża, kamienne oczy?

Zaczął przytomnieć, myśleć spokojniej.

Tak, ale skoro tamten słucha? Słucha? Tak, przecie na rozkaz ruszył i stanął. A czy i zrobi, gdy mu każe... co? Co mu kazać, co?

— Przynieś wiadro wody — powiedział starając się bezwiednie mówić powoli i wyraźnie jak do upośledzonego na umyśle czy tępego niemowły.

Stwór nie drgnął.

— Tam, z sieni — wskazał Damian w nagłym popłochu zdumienia i zawodu. — Stoi za drzwiami.

I o dziwo! Przeszępując kłocami nóg ciężko niby jarmarczny niedźwiedź na łańcuchu, potwór odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Niekształtna łapa podniosła się do zasuw drzwi, strzelił nagły trzask łamanego drzewa i Damian, który z krzykiem rzucił się ku drzwiom, zobaczył już w nich tylko majaczące świeżą bielą resztki wylupanych jednym szarpnięciem desek i grzbiet znikającego w ciemnej sieni potwora. Porwał się po kaganek pozostawiony w komórce. Kiedy podnosząc go wysoko wracał do izby, ciężkie stapania stukały już z powrotem. Tamten szedł z wiadrem wody.

— Postaw wiadro — krzyknął z rozpaczliwym pośpiechem Damian — i idź... idź... do komórki!

Zadudniło ciężko stawiane wiadro i młasnęło szerokim chlustem wody, który buchnął z niego na kamienie podłogi. Stwór stapał posłusznie do komórki. Wszedł do niej. Ściana zatrzymała go po kilku krokach, ale kłocce nóg podnosiły się i opadały dalej na tym samym miejscu, w tym samym rytmie, żmudne, niestrudzenie, bez końca, jak stęporę we foluszu. I właśnie wtedy, kiedy stał tak pod ścianą zwrócony grzbietem do Damiana, przyszła Damianowi ta szczęśliwa myśl. Podkradając się na palcach do potwora, stanął za jego plecami i sięgnął dygocącą ręką ku piersi tamtego.

Gdzie ta szczelina... gdzie...? Jest! Ale teraz, teraz jakby fałd skóry... i... jest! Jest znak, już go ma w ręce — i nagle poczuł przechylającą się sztywnie, jak podcięty słup i walącą mu się na piersi bryłę tamtego.

Zaledwie zdołał się oprzeć jej ciężarowi i chwycić ją w ramiona. Chroniąc ją z okrutnym wysiłkiem przed nagłym runięciem składał sztywny słup na ziemi.

Tak, słup. Sztywny i zimny słup. Skamieniałą bryłę gliny. Ale oczy?... Tamte straszne, tępe jak u węża oczy?

Były zamknięte. Nie patrzyły. Nie odbiły światła nachylnego nad nimi kaganka.

Odetchnął. Wtedy poczuł, że nogi się pod nim uginają. Dowlóknął się do tapczana i ciężko nań zwałił. Potem poderwała go myśl, aby zamknąć drzwi do komórki. Ale gdy zobaczył wyszarpaną zasuwę i potrzaskane drzwi do sieni, opadł z powrotem na tapczan. Jednak po chwili zwlóknął się z niego i przecie zamknął tamte drzwiczki. Pewnie, że to by się na nic nie zdało, gdyby... gdyby...

Gdzie jest ten znak? Gdzie on dał ten znak, gdzie?... Aha, ściska go przecie w garści — aż się zagiął. A może to co zaszkodzi, że się zagiął, może straci przez to swój czar?

Rozprostowywał i wyglądał gorączkowo pergaminowy krążek. Może by zaraz spróbować, czy czar działa? Nie, za nic. Spróbuje jutro, za dnia. A może czar działa tylko w nocy?

Nie, o tym nic w księdze nie było.

Ale porwał ją jednak i po raz tysięczny jął odczytywać tych kilka kart. Nie, o tym nie było.

Kaganek skwierczał i dopalał się śwędząc. Damian poczuł nagle okrutne, nieludzkie strudzenie. Położył się ale nie potrafił zasnąć. Kilka razy podrywał się, bo zdawało mu się, że słyszy szelesty w komórce. Raz nawet, że stapania. Prędko przekonywał się, że to złudzenie i przewracał dalej bezsennie na tapczanie przyciskając kabalistyczny znak za pazuchą. Zwierał mocno powieki, starał się leżeć nieruchomo, ale sen nie przychodził. Z wściekłością prawie miarkował, że błona w oknie zaczyna szarzeć, że za chwilę trzeba się będzie zwlekać, iść do szkoły, szarpać z bandą dzikich chłopczyków. I wtedy nagle zobaczył tamtego przed sobą. Szedł spod ściany wprost na tapczan tłukąc niezdarnymi kulasami tępo i powoli. Już zbliżał się, już Damian widział tuż nad sobą błysk kamiennych, nieludzkich a przecie żywych ślepiów, gdy nagle tamten znalazł się znów pod ścianą i znów szedł, przybliżał się, był tuż nad nim — stuk — stuk — stuk — stuk.

Zerwał się w dzikim popłochu otwierając szeroko oczy. W jasnej zupełnie izdebce nie było nikogo. Pod ścianą trwała tylko plama słonecznego światła.

— A więc to sen! — odetchnął ocierając pot z czoła. — Ale te dudnienia, te krzyki...?

Pchnął okienko i wyrzwał. Tam, na dole w uliczce, rozkraczał się szeroko pachol miejski i wrzeszcząc zadzierał skołtuniony łeb ku jego oknu. Że czemu to mistrz Damian do szkoły nie idą? Pan burmistrz pytają! Tam te szkolne bękarty dom roznoszą, psia im mać! A tu się do domu nie dobić — schlaliście się wszyscy, jak państwo wyjechali, czy co? — pyskował teraz już ku bramie właśnie ze zgrzytem otwieranej i zabierał się wchodzić do domu.

Zobaczy rozbite drzwi i...! — mignęło Damianowi przez głowę. Co tchu porwał się zbiegać na dół. Pachol na jego widok urwał nagle pyskowanie. Patrzył rozdziawiając gębę tak jak i rajcowy pacholek i dziewczki.

— He? — bąknął wreszcie. — A wam co? Chorzyście?

— Chory, bardzo chory — odmruknął Damian. Nie może dziś iść. Niech chłopaki do domu...

III

Bakałarz Damian nie wyszedł z domu i następnego dnia. Wykorzystując to, że jego gospodarz, rajca, wraz ze swą połowicą z wesela na wsi ciągle nie wracali, usiłował połatać jakoś wyłamane drzwi sam, żeby obcych do izby nie ściągać, powodu do pytań i gadania nie dawać.

Żył zresztą przez te dwa dni jak w gorączce. Dużo czasu zajęło mu biedzenie się z naprawą drzwi. Trzeba było nie tylko dziurę załatać i łataninę możliwie niewidocznie zasmarować, ale i zasuwę naprawdę umocnić — przecie mógłby mu tam w czasie jego nieobecności kto wleźć, zajrzeć do komórki, zobaczyć....! Trzeba było w poszukiwaniu desek, farby i narzędzi chyłkiem myszkować po strychach i szopach i przerywać na długie okresy robotę, gdy tylko posłyszał, że ktoś krząta się na dole. Pierwszy chyba raz odczuł z ulgą, że nikt się o niego w domu nie troszczy.

Ale wśród tej krzątaniny nieruchomiał czasem wbijając niewiadomo gdzie nieprzytomne oczy. Jak to, więc on, bakałarz Damian, on stworzył tego tam w komórce? I tamten ożywa, gdy on, Damian, zechce, i robi, co mu rozkaże? Przecierał oczy, szczypał się w policzki i rzucając całą robotę biegł na palcach do drzwi komórki. Uchyłał je ostrożnie, zawsze z tłukącym się sercem — tak, tam, nakryty wszystkimi łachami, jakie Damian zdołał zgarnąć, leżał ten bałwan gliniany, ciężki, ogromny, nieruchomy. I to — t o może ożyć? Po sto razy

wyciągał zza pazuchy tajemniczy znak i wyciągniętą z nim rękę cofał znowu. Ze strachem, z niedowierzaniem, z nasłuchiowaniem każdego głosu w domu. Nie, nie teraz jeszcze... To byłoby zanadto nieostrożnie. Wieczorem. W nocy.

Tymczasem wieczorem spadł na niego nagle ciężki, nieodwalony jak góra sen i morzył go aż do świtu. Trzeba było znowu czekać wieczora. Musiał zresztą dokończyć jeszcze robotę koło drzwi. A potem siadł i długo, długo układał plan, jak to wszystko urządzić. Wymyślił.

Strzępy starej, słomianej rogoży wyciągnięte ukradkiem z gospodarskiej szopy rozplótł na sznury i nimi i szmatami poobwijał kłocowate nogi stwora. Żeby nie dudnił nimi na cały dom. A potem, kiedy wymiarkował, że służba poszła już spać, po wielu znowu zawahaniach się i cofnięciach, drżącą ręką, przymykając oczy, wsunął tajemny znak w szczelinę na pierśsiach tamtego. Wsunął i cofnął się mimo woli.

Z okrutnym natężeniem i hukiem serca patrzył...

Tak. Drgnęły kamienne powieki, uniosły się ciężko w górę. Powoli, powoli przesunęły się gałki oczu bladymi, ledwo widocznymi źrenicami w kąty powiek. Ku niemu, ku Damiano-wi. Znieruchomiały tam ciężkie, nieludzkie a jakby się czające.

— Wstań — powiedział Damian.

I tamten wstał. Dźwignął się ciężko i tępo. Stał rozkraczony i czekał. Wtedy kazał mu wziąć wiadra na wodę i iść za sobą. Cicho, powoli.

Schodzili tak ze schodów. Damian naprzód, nieznacznymi zerknięciami upewniając się, czy i jak tamten idzie a równocześnie całym słuchem wpijając w ciszę domu. Nie drgnęło w niej nic.

— Patrz — powiedział Damian odryglowując bramę domu — tak masz to robić. A teraz pójdiesz ulicą tam — pokazał — zaczerpniesz, o, tak, wody ze studni i wrócisz.

Wyjrzał gorączkowo przed dom. Było pusto i głęboko mroczno, księżyc był za gęstą chmurą.

— Idź — powiedział prędko.

Patrzył za stworem jak szeleszcząc szmatami chodaków wtapiał się w mrok. Ale nagle wystąpił z niego jasną wyraźną plamą. To księżyc znalazł sobie niespodzianie dziurę w chmurze i wyglądnął przez nią pełnym światłem. Damian cofnął się odruchowo w cień sieni tłumiąc wydzierające się mimo woli przekleństwo. Bo właśnie w tej chwili z pustej zdawało się całkiem uliczki nadchodził ktoś wprost na tamtego, na jego potwora... Nadchodził i — najwidoczniej wzdrygnął się i ustąpił na bok. A potem stanął i oglądnął się za tamtym człapiącym ciężko, ślepo, powoli.

— Olaboga — struchlał Damian — przecie to Piotr!

Tak, to był Piotr. I teraz skreślił na schodki przedproża, zobaczył uchyloną bramę i powiedział:

— O, dobrze, że tu otwarte, bo... Co, to wy, mistrzu Damianie? — zdziwił się. — A ja właśnie do was.

— Do mnie? — zmieszał się okrutnie Damian. — A ja... ja...

— Tak — potwierdził tamten i nagle przerywając sam sobie cofnął się z progu i wyziera-
jąc w ulicę spytał z jakby nie dającym się opanować, przechodzącym wszystko zdumie-
niem:

— Co to za jeden jakiś ten, co wyszedł teraz stąd z wiadrami?

Damianowi zapało oddech.

— To — wybełkotał — to jakiś tam ich nowy parobek... Rajcy... Taki przyglupek... ze wsi prosto.

Piotr patrzył w ulicę chwiejąc w ciągłym zdumieniu głową.

— Takiego to by się naprawdę można przestraszyć. Ale co to wam, mistrzu Damianie? Przyszedłem, bo tak w mieście gadają, żeście okrutnie chorzy?

— Ale ja was, mistrzu Piotrze — przeraził się Damian — nie... nie proś... nie

przyzywałem... Jakże... po cóż bym was te... trudził. Przecież zdrow... już zdrow.

— Wyglądać to tam nieszczególnie wyglądacie — stwierdził lekarz przysuwając twarz do twarzy Damiana. — Wiem przecie, żeście mnie nie wzywali — uspokajał wystraszonego bakalarza — ale cóż to, czy ja nie mogę z własnej woli zajrzeć do znajomka, kiedy słyszę, że chory, co? To przecie tylko tak po znajomości, po znajomości.

Damian bełkotał gorączkowo, że wiedzą wszyscy, jakie mistrz Piotr serce dla ludzi ma. Nie tak jak te inne łupiskóry, co tylko patrzą, by grosz wydrzeć. Ale jemu, Damianowi, minęło już doprawdy, całkiem minęło choróbsko. Kurcze jakieś, co tak zaraz z nóg zwałą. Ma on, ma taki pierścień przez kowala w Wielki Piątek wykuty — wiecie, mistrzu Piotrze, taki kowal musi kuć go całkiem goły — co od tego chroni, ino że mu kiedyś wypadł i w szparę i tego... To zaraz przyszły te kurcze. Ale teraz już dobrze, jak mu Bóg miły, całkiem dobrze! — zapewniał żarliwie.

— Hm — mruknął lekarz. — Potem jakimś dziwnym tonem spytał: — Toście znaleźli już ten pierścień, co go goły kowal w Wielki Piątek?...

— Właśnie, właśnie! — O, tu, tu jest!

Mistrz Piotr kiwnął nieznacznie głową w milczeniu. Na pierścień rzucił okiem obojętnie.

— No to jak was tak ten pierścień wykurował — powiedział i zrobił krok jakby ku odejściu.

— A cóżbyście się mieli po próznicy trudzić! — wpadł co tchu Damian. — Pewnieście strudzeni... po całym dniu tego... krętaniny.

Przerwał im krzyk w głębi uliczki i szybki, zbliżający się tupot nóg. Dwie dziewczki chlując wodą z wiader przedyrdały oglądając się z widocznym strachem za siebie.

— Uhm — mruknął mistrz Piotr wyglądając w ulicę — straszy ludzi, straszy.

— Niby kto? — wybąkał Damian udając, że nie rozumie.

— Co on miał na sobie za dziwne jakieś obleczenie? — powiedział jakby nie słysząc zapytania z głębokim zastanowieniem lekarz.

Damian zbył to co prędzej. On tam nie przypatrywał się głuptakowi. A mistrzowi Piotrowi to on bardzo dziękuje, e, bardzo.

Przez szparę drzwi wypatrywał z bijącym sercem, jak lekarz obchodził z daleka i oglądał się długo na człapiącego ciężko z wiadrami potwora. Damian pchnął go na schody i zaryglowawszy bramę biegł za nim na górę oddychając z ulgą po każdym przebyтым piętrze. Zagnał go do komórki, wyciągnął znak i bezwładny kloc przyrzucił czym prędzej szmatami.

Dopiero odetchnął głęboko. Ale i zafrasował się ciężko. Patrzcież, co to się zbiera nowych kłopotów z tym wszystkim. Że też on o tym przedtem nie pomyślał. Jak się takiego potwora ludziom pokaże, to co o nim powiedzieć? Będzie straszył, zwracał na siebie uwagę. Trzeba by go koniecznie jeszcze jakoś ociosać, okrzesać. Ba, to by się dało zrobić. A może lepiej go nie pokazywać nikomu, tu trzymać w komórce, a jak wypuszczać na świat, to tylko nocą? No to co mu przyjdzie z tamtego? A i tak się może wydać. O, zaraz dziś: myślał, że już nikogo na ulicy nie będzie a tu i Piotr, i te dziewczki. Patrzajcież, ten Piotr. On tak by naprawdę z dobroci tylko chciał był zajrzeć do niego...? Hm... Zresztą choćby potwora tylko nocą wypuszczał, to i tak może kto niespodzianie do izby mu wleźć, zobaczy bałwana, oskarżą go o czary. Wstrząsnął się. A tak by miał pachółka, ba, niewolnika. To się znowu ludzie zdziwią, że taki głodomór może sobie trzymać parobka... I przecie trzeba by jakoś to wszystko wymyślić, skąd się tamten u niego wziął i jak się na niego woła. Prawda, toć przecie trza by mu jakieś imię dać.

Trzasnął się dłonią po czole.

No i co tamten będzie — niemowa? A to by się dopiero wszystko na niego gapiło, dzieci by za nim na ulicy latały. Bo to i poczwara, i jeszcze niemowa. Żeby choć gadać umiał.

Ej, prawda, o tym też nie pomyślał. A może będzie i gadać jak mu każe? I w szmaty

jakieś także trza go przyodziać. Już się Piotr dziwował, co tamten ma na sobie. Ale przede wszystkim okrzesać go i to zaraz, póki rajcy z żoną nie ma i nie będą słyszeć jak się tłucze. Dziewki i parobek w indermachu, na podwórzu, nie usłyszą.

Zabrał się zaraz do roboty. Naprzód do poczwarnego łba. Ociosał go trochę po bokach, przez nieuwagę nos przy tym wyszczerbił. Myślał jakby to załatać, kiedy uderzyły go nieludzkie kloce nóg potwora. To trzeba jakoś pościnać! Do nosa i łba wróci jeszcze później, nos zresztą mógłby zostać i taki. Ale nogi, nogi!

Mocował się nad nimi ciężko. Glina się kruszyła, lewy kikut wypadł teraz krzywo. Jak to będzie wyglądało, kiedy tamten będzie szedł? Może będzie kulał? I co z tym gadaniem? Potrafi gadać czy nie? Zdjęła go ciekawość zobaczyć, wypróbować. Ale się wahał. Ciągłe jeszcze nieopanowany strach brał go za każdym razem, kiedy wyciągał ku stworowi rękę z tajemnym znakiem. I ciągle jeszcze serce podchodziło do gardła, kiedy wetknąwszy znak — czekał.

Jednak ciekawość wzięła górę. Wetknął znak i nagle nowe przerażenie przeszło go dreszczem. Bo stwór — jęknął. Damian wzдрыgnął się i cofnął mimo woli. Wychylając się cały w przód słuchał i patrzył z zapartym tchem.

Cichy, głęboki, bezbronny jakby jęk powtórzył się. A potem z nieprzerwywającą się już głuchą strugą tego niby podziemnego bolesnego lamentu jęła dźwigać się kłocowała łapa niezdarnie, po omacku, ku głowie, ku policzkowi. Bodła weń jakby na oślep ciężkimi stuknięciami. Potem się obsunęła. Jęk urwał się, przeszedł w zdyszane rżężenie. W okrutnym widocznym zmaganiu się z własną bryłą ruszyło się poczwarne cielsko, wspierało na łokciu, podwijało pokraczne kikuty, dźwigało.

Aż wstało. I wtedy...

Nie, to już nie był tamten cichy przejmujący jęk. To był stłumiony urwany ryk, groźniejszy niż zwierzęcy. Ryk wraz z chwytem łapą za lewy kikut. Właśnie lewy.

Potem ucichło wszystko.

Stali naprzeciw siebie obaj, dygocący i zlany potem Damian i tamten, już nieruchomy i milczący. Tylko małe jego oczka — czyż to możliwe — nie były już tak kamienne? Czy to było złudzenie, gra niepewnych błysków kaganka czy też... czy naprawdę patrzyło z nich tak... tak dziko i strasznie? Damian zapomniał na chwilę o zamiarze, w jakim ożywił przed chwilą tamtego, o chęci wypróbowania czy nie kuleje, o całej swej ciekawości. Była w nim tylko jedna jedyna myśl, jedna chęć ucieczki za wszelką cenę przed tymi oczyma i tą straszną ludzką-nieludzką bryłą. Z całym wysiłkiem, by się opamiętać, opanował ślepią chęć rzucenia się do drzwi, byle przed siebie i jak najdalej. Nawet w tym przerażeniu rozumiał, że to by przecie na nic. Potwora musi się obezwładnić. Ale jak zdobyć się na podejście tuż pod te straszne ślepie? Prawda, jest przecie sposób!

Wychrypiał:

— Obróć się!

Cisza. Nieruchawa cisza. I serce walące pod gardłem, jakby rozerwać chciało piersi. I nareszcie — nareszcie ciężki, oporny jakby, szum.

Odwraca się. Odwraca!

Teraz podejść jak najciszej, wsunąć rękę.

Ale rękę wsunąć było dziwnie ciężko, tamten przyległ prawie piersią do ściany. Damian wpychał ją co siły i nagle jęknął, tak ciężar tamtego cielska przygniół ją do ściany.

— Odstap! Nazad! — krzyknął. Czuł ból, jakby mu kości w ręce pękały. Gniot nie sfolgował.

— Caf sie! — wrzasnął jak na konia i dopiero teraz uczył, że ucisk słabnie. Zdrętwiałą ręką zaczął gmerać za znakiem. Nie mógł go namacać. Cóż się stało, na Boga, gdzież ta szczelina? Zniknęła czy co? Wymacał ją nareszcie, ale wspinając się na palcach szarpał się znowu długą chwilę, zanim zdołał znak uchwycić i wyciągnąć, tak się tam ustawicznie o coś

zahaczał i opierał. Nareszcie wydobył go.

Kloc walił się już ciężko na ziemię. Damian odskoczył na bok nie powstrzymując go. Niech się wali, niech się rozbije w kawały!

Pochylił się nad leżącym i świecąc kagankiem wypatrywał chciwie i pożądliwie.

Nie, nie rozbił się. Nawet nic się nie odkruszyło.

I nagle uprzytomnił sobie, że stwór dzisiaj, po ożywieniu go, powstał z ziemi sam bez rozkazu. Zostawił potwora tak jak upadł. Z kagankiem wracał wolno do izby.

Mąciło mu się w głowie.

IV

Cóż za przenikliwy ziąb! — wzdrygał się Piotr otulając mocniej płaszczem. — Teraz się tak zrobiło czy co? Nie było tak przecie, kiedy szedł do Damiana. Pomyślał z tęsknotą o swym domu, o cieplej, spokojnej izbie z krzątającą się, wartką w ruchach i sprawną Moniką. Miał się też po co tłuc po nocy do tego tępego bakałarza, miał! Żeby usłyszeć, że go wyleczył pierścień od gołego kowala. Może i rację ma Monika, że on często niepotrzebnie kwapi się sam tam, gdzie, jak ona mówi, ludzie powinni go prosić. Ale znowu czy to kwapienie się, że chciał pójść do chorego? To przecie jego zawód. I niedobrze to, że go tak byle co od ludzi odtrąca. Jak teraz od tego bakałarza... Czy to próżność urażona? A zdawało mu się, że kiedyś, jako młodziak jeszcze, z pokory chciał iść na księdza czy zakonnika. Wtedy myślał, że tylko tak można zasługiwać się na tym świecie. Minęło mu to, kiedy zobaczył z bliska klasztor i zakrystię. Dość jeszcze wcześniej, by wymknąć się stamtąd po cichu, nie czekając na krzyki Lutra i jego adherentów. Całkiem zresztą niegłupi chłop z tego Lutra. A najważniejsze, że kazał ludziom samym czytać biblię i myśleć nad nią. Ale klątwy i wygrażania pięściami — nie, to nie jego, Piotra, gust. Nie lubił krzyku nawet jak był całkiem młody. Że to może tchórzostwo?

A no, cóż robić. Na lancknechta czy kondotiera się nie urodził, to pewne.

Tak, nigdy człowiek właściwie nie wie, jak do tych bliźnich, jak z nimi... Jakoś się ten stwór, co go nazywacie człowiekiem, chyba nie udał waszemu Panu Bogu — pomyślało mu się i odruchowo rzucił niespokojnie oczyma w koło, aż sam ruszył nad tym ramionami. Na szczęście tego, co się myśli, tego ludzie nie mogą słyszeć ani wywęszyć. Ludzie... Ten parobek Adrianowy teraz... To także miał być człowiek?

Tu Piotr spostrzegł się nagle, że ta przykra jakaś drzazga, jaką niesie w sobie od chwili rozstania się z Damianem to, prócz odrzucenia jego lekarskiej pomocy przez Damiana, także wrażenie tamtej nieludzkiej gęby i figury. Aż znowu ruszył sam nad sobą ramionami. Ma się też z czym nosić. Jeszcze jedna poczwarka ludzka, z której się chyba nie wylęgnie już człowiek. Ba, ale co za poczwarka! To już nie poczwarka, to poczwara. Na niej dopiero widać, w czym to się naprawdę musi lęgnąć i z czego wylęgać ta wasza dusza.

A tam Monika już w oknie! — uśmiechnął się widząc, jak okno na piętrze jego domu przez chwilę mżące bladą poświatą zaszło w połowie cieniem.

Co by też — pomyślało mu się — powiedziała ona jakby się dowiedziała, co on sobie myśli o Bogu, o duszy? Ejże, to by się dopiero przeraziła, przeraziła! Chociaż Monika myśli. Sama nawet nie miarkuje, jak zaczyna myśleć coraz śmieiej. Może i będzie można kiedyś mówić z nią o takich sprawach otwarcie? Bo dotąd to można było tylko z Urbanem. Urban, Urban — pomyślał z bolesnym skurczem serca.

Nie doszedł jeszcze do bramy, kiedy postyszał łoskot rygli. Rzuciła mu się na szyję pół z płaczem, pół ze śmiechem.

— Ty wagancie! Ty włóczykiju! Gdzie się wałęsasz tak długo? A ja tu czekam i czekam i myślę już nie wiem co! — Oderwała się od niego i zaryglowując bramę i świecąc mu latarnią na schodach mówiła już coraz gniewniej: — Że się prom przewrócił, że konie poniosły, że cię gdzie zbóje napadli!

— Monika, Monika — uśmiechał się do niej perswadująco — jęzdo kochana, poczekajże, wszystko opowiem. Prom się nie przewrócił, konie nie poniosły, ino jeszcze przed piekarską bramę wyległ po mnie Mikosz, no ten ławnik, że żona dostała krwotoku, że już jej na koniec, bo baby rady se dać nie mogą. Ale te baby wołał najpierw, mnie dopiero jak białka już ledwo zipała. Musiałem lecieć.

— Mikoszka? To ta, co się tak wdzięczy i wykręca? No, do gładkiej białki, toś ty zawsze skory! I do domu ci nie spieszo. I tamesz tak długo siedział? — Łypała na niego podejrzliwie.

Ale gdy jej opowiedział, że był — to znaczy, że chciał iść do Damiana — cały jej gniew skierował się przeciw bakałarzowi.

— Patrzcie się go — fukała przynosząc miskę z wodą do umycia się — taki głąb kapuściany! No, przynajmniej ty tak o nim mówisz — spłoszyła się zerkając nieśmiało na męża. — Bo ja zawsze myślałam, że taki, co po łacińsku potrafi gadać jak po naszemu, to już wszystkie mądrości pojadł.

— Ii — zbył to Piotr ręką — jak sobie chce. Może bał się, że czekam na zapłatę. Wiem przecie, że bieda u niego aż piszczy i od razum powiedział, że ja tylko jak do znajomka. A coś tam z nim jest, bo zmieniony i bełkoce jeszcze bardziej niż zawsze. A co tu z tobą, Monika?

— Ach, Piotrze — wybuchnęła radośnie składając ręce jak przed świętym obrazem — ja bym cię ozłociła!

— He, za cóż tam znowu?

— Żeś mnie takie łacińskie księgi czytać nauczył! Wiesz, tylko dziewczki poszły na targ, ja wszystko insze w ką i łaps za te łacińskie komedye. Co ja się nie uśmiełam! Ażem się złąkła, że kto z ulicy przyleci pytać, co się dzieje. Tylko jeszcze nie wszystkie słowa rozumiem. Wiesz, jak ten niewolnik przychodzi wycyganiać od swojego pana pieniądze i potem...

— Tak, tak, ale daj no mi jakiś ostrzejszy nóż.

Przyleciała z nożem. Mówiła gorąco, namiętnie prawie:

— I tylko sobie nieraz dumam, co ci się też we mnie mogło podobać, jakeś mnie brał, w takiej głupiej smarkuli? Głupie to było jak cielę, paskudne.

— Paskudne, okropnie paskudne — przytaknął szelmowsko Piotr gębą wypchaną grochem i baraniną. — Chyba zazionęłaś mnie jakimiś czarami, co, czarownico? Ty się przecie zawsze kręcisz między jakimiś takimi czarami, zamawianiem, odmawianiem.

Łypnęła na niego prawie ze strachem.

— Piotruś, teraz już przecie nie, jak na mnie tak za to wydziwiasz i śmiejesz się!

— A jakże, Bogać tam nie.

— Naprawdę ci mówię, że nie... tak jak dawniej.

— Ale jeszcze dość, o ho-ho!

— Bo co się tego nasłucham od wszystkich naokoło!

— He! — sarknął z pogardliwą pasją — to wiem dobrze! Aż zanadto.

— I od dziecka słyszałam! A ty byś się niedowiarku także z czarów nie prześmiewał! Już sobie tam i nie wierz, ale się nie prześmiewaj, bo ci się jeszcze jakie lichy wykrzywi...

— Masz ją — mruknął. — A tu mi gada, że ona teraz już nie!

— Bo naprawdę, jak mnie tak uczysz, że nie ma czarów i nie ma...? Żeby mnie tak był kto od dziecka uczył... Chciałam ja się zawsze uczyć, ej miły Boże, jak chciałam! To mi mama mówiła: co ty, na księdza ci iść ochota? Garnków pilnuj i kur jak insze. Słyszane to rzeczy, żeby dziewczka...? Aha, wiesz, była tu Brygida.

Skrzywił się.

— Widziała, że czytasz łacińską książkę?
— Nie, wtedy nie czytałam, ale wiesz szperałam w tej nowej księdze z ludzkimi kośćmi i kiszkami.

— I ona to widziała? — przerwał jedzenie zaniepokojony.

Zachichotała.

— A właśnie że nie! Bom prędko narzuciła na to prześcieradło i łataam tę dziurę w nim, tak gorliwie łataam, że ino furczy! Bom i naprawdę łatała przedtem, ale mnie skusiło zaglądnąć jeszcze jak się tam łączą ze sobą te dwie kości w stawie, coś mi pokazywał, więc odłożyłam na chwilę prześcieradło. No co się tak chmurzysz, przecie ci mówię, że nie widziała!

— Boś nieostrożna. Tym razem nie widziała a na drugi zobaczy i rozniesie cię na gębie po wszystkich sąsiadkach. Ciebie i mnie.

— No to co może powiedzieć, co? — broniła się zadąsana.

— Że z kościotrupami mamy sprawy, że czary, że Bóg wie co. Nie udawaj, że nie wiesz sama.

— Ale przecie tyś lekarz, to możesz.

— Lekarz, lekarz! — przedrzeźniał ją zniecierpliwiony. — Dla Brygidy i dla nich lekarz to ten, co podagre razem z uciętymi paznokciami i włosami zaszpunktowuje w dziurze wywierconej w dębie. — Wychylił resztę piwa z kufla i fuknął: — A febrę leczy odmawianiem „exaltabo te deus, meus rex” albo każe łykać zielone żabki czy pić świńskie łajno z miodem, jak mnie dziś przekonywał o tym przy promie jakiś wędrowny mnich!

— Piotruś, ale zielone żabki naprawdę pomagają! — poderwała się z najgłębszym przekonaniem. — U nas jednego chłopca...

— Tobie zielone żabki tu skaczą — klasnął ją dłonią w czoło.

Protestowała prawie z płaczem.

— Kiedy naprawdę, Piotrze! U nas jednego chłopca, co go okrutna febra trzęsała, baba tak wykurowała! Naprawdę, ja sama widziałam!

— Ona sama widziała — mruknął. — A myślałem, żeś trochę zmadrzała.

Krzyknęła wielce rozżalona:

— Co ja tylko kiedy widziałam i słyszałam, to ty zaraz nie i nie! Zawsze wszystko mi na przekór! Żeby tylko było inaczej niż ja przyzwyczajona! — zbierała nadąsana ze stołu trzaskając misami i kuflami.

Zerkał na nią spod oka wiedząc, że jej to prędko minie. Żeby ją udobruchać, powiedział żartobliwie:

— Ty to byś w sam raz była do pary z tym nowym aptekarzem, Dominikiem.

Klasnęła w ręce i zerwała się.

— Przysłał — mówiła zapominając już o gniewie i dźwigając zdyszana ciężki dzban — że to jakieś leki.

— Ale kto?

— No, ten Dominik. Że mistrz Piotr będzie już wiedział.

Piotr wahał, ulewał na miseczką, próbował.

— Czysty węgrzyn — mruknął. — I nawet dobry. Jutro mu się to odeśle. Dzbanem wina chciał mnie chytrą przekupić, patrzcie się go — unosił brwi gorzko i pogardliwie.

Ponieważ patrzyła i słuchała z wielkimi oczyma, wytłumaczył. Podczas corocznego obowiązkowego badania leków w aptece przekonał się, że to prosty oszust. Z czego ten nie potrafi zrobić leku! Ale on, Piotr, zrobi z tym koniec. Doniesie do Rady. Takich Dominików to do wieży, nie do apteki.

— On ma możnych kmotrów w Radzie — powiedziała niespokojnie. — A jak Rada stanie za nim a przeciw tobie?

Ruszył ramionami.

— Musiałaby Rada być już chyba całkiem obrana z rozumu. Nie grzeszy nim, wiem, ale

znowu aż tak? Na własny mieszek a i na własną skórę chyba są czuli? Przecie to i w nich może uderzyć, nie tylko w pospólstwo, gdyby nawet pospólstwo nie grzało ich ani nie ziębiło. Zbyttno się oni nie przejmują, pewnie, ale przecie nie wszyscy tacy. Burmistrz może i chciałby coś zrobić. Insi mu nie dają.

— A widzisz? Sam mówisz, że kijem rządzą, krzywdzą, prawo na pośmiech wystawiają!

— To ja im mam jeszcze w tym pomagać?

Powiedziała ze szczerym udręczeniem:

— Żebyś ty się, Piotrze, do tych spraw nie mieszał, żebyś się nie mieszał!

Wbił głowę w obie ręce. Powiedział gorzko:

— A no nie mieszam się, nie. Aż zanadto się nie mieszam.

— Czemu: zanadto?

— Bo to nie sztuka, Moniko, tak siedzieć z boku i na świat się patrzeć jak na kukły w budzie kuglarzy na jarmarku.

— A co ty możesz zrobić przeciw nim, co? Mają w garści panowanie i pieniądze, i prawo, co nim, jak sam mówisz, kręcą jak szewc skórą. Ja się tych opasłych hyclów z ratusza tak boję, że strach!

Omiał mu się nie wyrwało: i ja się boję, ale wstyd mu się zrobiło przyznawać do tego Monice. Czy zresztą naprawdę aż tak się ich boi? Mruknął po chwili:

— I cechy się już przeciw nim burzyć poczynają i całe pospólstwo. Pokazania przywilejów żądają, przywrócenia wigintiwirów. Dziwne to w tym właściwie tylko to, że dopiero teraz. Ale cóż, pospólstwo to tylko pięść. Pięść bez głowy. Jeszcze teraz, jak Rada sprzątnęła im krzywego Jakuba.

— A ten. cały Jakub, to właściwie kto? — powiedziała chmurnie. — Nie krzykacz to tylko taki z wielką gębą?

— Czy ja wiem? Suchotnik. Takim to się nieraz wydaje, że lepsi od wszystkich naokoło i do wielkich rzeczy stworzeni. Ale pospólstwo staje za nim murem.

— Jak barany wszystkie za jednym — mruknęła niechętnie.

— A no, może, może. Ale mało spraw tak się między ludźmi dzieje po baraniemu? A jak teraz wszystkie białki w całym mieście pakują sobie na głowy te piętrowe kornety nowomodne, bo jedna jakaś upstrzyła się takim — to nie po baraniemu?

— Mnie się te nowe kornety nie podobają — odęła się.

— I nie nosiłabyś, jakbym ci kupił?

Widział, że ją zatchnęło na chwilę.

— A... kupiłbyś? — szepnęła niedowierzająco.

Śmiał się bardzo. Monika czerwona jak rak śmiała się także, naprzód trochę wymuszenie, ale niedługo już z całego serca.

— Ej, białki, białki — kiwał głową — co wy byście na siebie nie wdziały, jakby było tylko nowe i modne! Krowi ogon byście sobie przypięły.

— A wy niby nie! — odcięła mu się jeszcze czerwona. — No, nie mówię ty, ale przypatrz się ino na sukiennika Bernarda i na Gładysza. Tyś pewnie nawet nie widział, co on miał za płaszcz na sobie w kościele ostatniej niedzieli.

— Nie, nie widziałem.

— Juści! Ty byś tam zobaczył! Co komu w brzuchu burczy, to zaraz wypenetrujesz, a co kto na grzbiecie nosi, to nie widzisz. A w kościele to też! Siedzisz i dumas, dumas, nie wiem o czym. W ostatnią niedzielę na podniesienie dopiero cię Łukasz musiał szturkać, żebyś ukląkł. Widziałam, ty heretyku, ty poganinie!

— Gadaj tak, gadaj. Niech cię jaka Brygida albo i domowa dziewczka usłszy i rozgada: „sama pani mówiła, że heretyk”. Proboszcz i tak już na mnie zezem patrzy.

Przestraszyła się.

— Piotruś, ja przecie tylko tak na śmiech! I do ciebie tylko!

— No, no. Więc cóż ten płaszcz?

— A no z takim dziwnym kołnierzem futrzanym, ale takim dziwnym! Brygida mówiła, że jakiś kupiec wenecki miał taki i teraz wszystkie chłopy — te bogacze, ma się rozumieć — nic, tylko takie płaszcze.

Ruszył ramionami.

— A czy ja chłopów bronie? Tacy sami mądrzy jak białki. I w ogólności coraz częściej myślę sobie, czy ja mam jakieś bielmo na oczach czy dur we łbie, czy ludzie naokoło? Aż strach pomyśleć co się głupstwa w ludzkim łbie nie potrafi ulęgnąć. A może i w moim także?

— Idźże, idź! — oburzyła się zapalczywie. — Co tak, Piotruś mówisz! Taki uczony, jak ty!

— Urban także był uczony — przerwał jej. — Naprawdę uczony, nie jak jakiś Damian czy różne kanoniki i prałaty a potrafił czasem coś takiego powiedzieć, że człowiekowi gębę rozdziawiało i tylko ramionami można było ruszyć. Jeszcze ostatniego wieczora, przed śmierzczą — a! — zbył ręką niechętnie.

— A co ostatniego wieczora, co? — dopraszała się z zaokrąglonymi z ciekawości oczyma.

— E, takie bajania, że aż szkoda gadać — odsunął to niechętnie. Jej właśnie jeszcze opowiadać o Urbanowej księdze z czarami... Mądrze by to było, nie ma co. Ale westchnął ciężko mimo woli.

— Z tym wszystkim — mruknął — to teraz już całkiem nie będzie do kogo gęby otworzyć, jak jego nie ma. Z nim przynajmniej można było pogadać otwarcie, choć on się pod koniec taki gorzki zrobił jak zółć. Ale się człowiek nie musiał kryć z tym, co myśli, żeby go głupie gawrony nie zakrakały albo i nie zadziobały.

Wstał odsuwając stołek i zaczął chodzić po izbie.

Monika wodziła za nim spochmurniałymi oczyma. Powiedziała:

— Ja wiem, ja ci za głupia do gadania o uczonych rzeczach.

— Jakbym myślał, żeś za głupia, to bym i tego do ciebie nie mówił, Monika. Całkiem nie za głupia, ale tyle się jeszcze musisz nauczyć tego, co on już wiedział. Ale nauczysz się, nauczysz, bo łebek masz. — I dodał z szelmowską powagą: — Chociesz jeszcze smarkuła głupia i okrutnie paskudna.

Rzuciła mu się na szyję.

V

Bakałarz Damian w napięciu nadśluchiwał. Nie, z komórki obok nie dochodził żaden głos.

— Śpi — mruknął. Rozwalił się szeroko na tapczanie.

Więc ma już za sobą tę kłopotliwą sprawę. Już im go pokazał. No i teraz zobaczył już purchawka Adrian i cała jego hołota domowa, że on, Damian, coś tu znaczy. Że wystarczy, by palcem wytknął a już taki parobek — prawda, że mu to już teraz „Pankracy”! — gdaknęło mu się krótkim śmiechem — gnaty wytrzęsie, ba, drzazgi z gnatów z każdego, z kogo on, Damian, zechce. Jutro cała ulica będzie już gadać o tym parobku mistrza Damiana, co wóz z drzewem z błota wydzwignął jak piórko! Pro certo! Jak się też to wszystko dziwnie załatwiło i prędko, i nad spodziewanie. A on się tak głowił i trapił, jak to zrobić! A to prawie samo.

Bo i jemu przecie nie od razu do głowy skoczyło, żeby tego „Pankraca” tak ludziom pokazać. Patrzył z okna, jak się na dole szarpali nadaremnie ludzie i konie przy Adrianowym

wozie — i raptem jakby mu kto do ucha szepnął: puść tam tego stwora! Jak on kawał drzwi wrywa jednym szarpnięciem, to by i wóz pewnikiem wydobył. Nie o Adrianowy wóz mu przy tym szło — niech by mu się dziesięć wozów w błocie topiło! — ale że przy tej sposobności można było tak sobie jakby nigdy nie wyprowadzić stwora na świat i pokazać ludziom od razu tak, żeby go sobie pochwalili. Że Bogu dziękować taki się znalazł, co wóz z błota sam wyciągnął. Dość on się nastrachał, co to będzie pyskowania, jak Adrianowie stwora pierwszy raz zobaczą. A skąd, a czego tu, a że oni ni» pozwalają na trzymanie takiego! Co prawda... co prawda, to im na razie powiedział, że ten przygłupek za wsi przyszedł do niego tylko na kilka dni. Ale to się przeciągnie, coś on tam już wymyśli — dubio procul! — jak wymyślił teraz choćby i z imieniem dla stwora. Łeb ma na karku nie dla śmiechu, sam Arystoteles by mądrzej nie potrafił — nadał się. — Przecie mu przedtem w głowie nie postało, że trza by stworowi jakieś ludzkie imię dać, a gdy się Adrian spytał, jak się parobczysko woła, to mu migiem w głowie wyskoczyło, że „Pankrac”, bo jak raz słyszał od Urbana, po grecku znaczy to: okrutny osiłek. Adrian się o to już po wszystkim spytał, bo z początku nikt na nich, na Damiana i stwora, uwagi nie zwrócił: chłopcy szarpały się z wozem i końmi, Adrian na nich wrzeszczał, była noc i ledwo jedna pochodnia. Dopiero jak Pankrac na jego rozkaz wlaź w błoto i dźwignął wysoko tył wozu — nie, to i wtedy jeszcze go nie zobaczyli. To dopiero, kiedy kazał przy bramie Pankracowi wóz pociągnąć do przodu i konie tak się stwora przelękły — plane, ita erat! — wtedy go tamci dopiero zobaczyli.

Z mściwą uciechą przypominał sobie ich rozdziawione gęby i wystraszone ślepia. I parobków, i gapiących się dziewczek, i Adriana... I jak potem gały i na niego wybałuszali, na Damiana, widząc jak stwór wszystko zaraz robi, co on mu każe! Bo jak Adrian coś mu krzyknął, to Pankrac ani drgnął.

Znowu się roześmiał, kiedy sobie przypomniał, jak to Adrian wielce rad, że Pankrac mu wóz na podwórze aż wypchał — rozumie się na jego, Damiana, rozkazanie — chciał stwora w pierwszej chwili poklepać po ramieniu. Ale jak Pankracowi w gębę spojrzął — akurat koło łuczycywa to było — to ręki do ramienia nie doniósł. Po powietrzu nią klapnął...

A inna rzecz, że z tą gębą stwora trza koniecznie jeszcze coś zrobić. Jakoś ją okrzesać, ogładzić. Że się będą cudować, że zmieniony? Ii, powie, że się im wtedy po nocy ino wydawała inna.

Ale naprzód trzeba mu wyjąć znak. Teraz wstanie i weźmie się do roboty. Nie pali się przecie, do świtu jeszcze daleko.

Szkoda jednak może, że stworowi od razu, jak od wyciągania wozu wrócili, znaku nie wyjął. A nie wyjął, bo się bał, że gotów Adrian albo i kto inny zaciekawiony tym osiłkiem przyjść i chcieć go jeszcze zobaczyć. Niechby tak wtedy zobaczyli zamiast żywego człowieka gliniany klocek!

Wzdrygnął się. Niemal zaleciał go swąd palonego ludzkiego ciała i trzask płomieni, i wycie tłumu.

Ech, co o takich rzeczach myśleć. Ale przez to wszystko zdarzyło się tak po raz pierwszy, że tam, obok, w komórce, leży już nie gliniany bałwan ino taki śpiący Pankrac.

Zamyślił się głęboko. Czy on tak naprawdę śpi? Bo jak mu z wieczora kazał legnąć i spać, to legnął i jakby naprawdę spał. Może się uda wyciągnąć mu znak we śnie, żeby tych jego strasznych ślepiów nie musieć widzieć?

Zaraz wstanie i spróbuje. Za chwilę, bo i strudzony jest i humory się w nim przez to wszystkie wzburzyły.

Tu rozeznał, że właściwie jest głodny i że dobrze by też było podjeść sobie co nieco przed robotą. Siadł na tapczanie i zaczął gryźć owsiany placek popijając z dzbanka zimnym żurem.

Rozmyślał. A jakby tak kiedy, jak go w domu nie ma, potrzebowali do czego u Adrianów pomocy takiego osiłka i jakby przyszli po Pankraca? Hm. To znaczy, że kiedy on,

Damian, z domu wychodzi, musi tamtego zostawiać ożywionego. Chyba żeby go ze sobą brał. Do szkoły? Ba, na małych łotrów to taki byłby w sam raz ino, że rodzice gotowi wrzeszczeć. No dobrze — rozważał ani się nie spostrzegając, że zaczął rozmawiać sam ze sobą głośno — ale choćby przyszli tu i wołali stwora, to on się przecież nie ruszy. Może słuchać tylko jego, Damiana i póki on mu nie powie „chodź!” nie ruszy się. Z drugiej strony musieliby, żeby wejść, zamek przemocą otwierać. Tylko że cóż taki zamek. Palcem go otw...

Znieruchomiał nasłuchując. Co to za głos...? To w komór...?

Porwał się na równe nogi i stanął jak wryty otwierając usta. W drzwiach od komórki stał — wszyscy święci! — tamten! Nie, już nie stał, już kusztykał tępo ku niemu, ku Damianowi...! Jak to, bez rozkazu, sam ze siebie? Nagle błysnęło mu w głowie: może usłyszał, jak on, Damian, wymówił przed chwilą półgłosem słowa „chodź”?

Tamten już dochodził. Stanął przed Damianem ciężki, klocowaty, nieruchomy. Głęboko wbite pod czoło małe ślepia patrzyły z tępym uporem. Czająco się, zdradziecko, bezmyślnie czy jak? Ale stał, czekał niby na rozkaz.

Damian chłonał powoli z obezwładniającego przerażenia i zdumienia. Nieznacznie cofnął rękę, którą podnosił, aby otrzeć pot kroplący się na czole. Trzeba się opanować, nie zdradzić ze strachem. Cokolwiek sprawiło, że tamten przyszedł, trzeba teraz, trzeba — co trzeba teraz?

Udawać, że niby nic. Że on dalej spokojnie je, nie patrząc nawet na stwora.

Wciągnął głęboko powietrze i przełknął kęs, który trzymał w ustach. Odgryzł kawałek placka usiłując żuć go całkiem spokojnie. Trzeba mu... trzeba mu kazać wrócić do komórki, zasnąć. A potem co prędzej wyjąć znak, co prędzej...

Wrzasnął przeraźliwie, bo poczwarna łapa wydarła mu w tej chwili resztę placka z ręki. Tępyimi, niezdarnymi ruchami szturkał stwór plackiem w swoją brodę, w policzek, w nos. Nareszcie trafił. Damian z jeżącym włosy na głowie zdumieniem ujrzał, jak tam, pod nosem stwora, otwarła się dziura gęby błyskającej białymi kłami. Potężne szczęki miażdżyły placek, gardziel łykała.

Damian patrzył jak urzeczony. Patrzył póki tamten nie przełknął ostatniego kęsa i nie znieruchomiał znowu w tępym klocowatym bezruchu. Dopiero wtedy zbierając wszystkie siły wykrztusił zachrypłym szeptem:

— Idź... tam. Legaj. Śpij.

Stwór odwrócił się ciężko, odkuszykał posłusznie, zniknął za ścianą komórki. Wtedy Damian chwycił oburącz dzban z zurem i pił, pił bez końca nie zważając, nie czując chlustających bokiem na brodę i ubranie strużek płynu.

Wreszcie odstawił dzban. Przecierał oczy jak po zmorowatym śnie. Potem poderwał się. Zgarniał całą moc woli, żeby pójść tam, do komórki. Pójść i wyjąć mu znak. Głowić się nad tym będzie później. Nad wszystkim. Teraz tylko wyjąć, wyjąć znak, żeby wiedzieć, że tamten nie wstanie, nie przyczłapie, nie będzie patrzył nieludzkimi ślepiami. Wyjąć znak.

I nie wsadzać go więcej! — krzyknęło w nim coś błagalnie i rozpaczliwie. — Nie wsadzać! Rozwalić kukłę glinianą! Na kawałki, na gruz, na proch — i odetchnąć spokojnie. Nareszcie znowu odetchnąć raz spokojnie.

W tej tu norze? Znowu, ciągle w tej norze? Dalej kłaniać się w pas brzuchaczom z Rady i Ławy, nadętym pychą kupczychom i kanonikom? Dalej być popychadłem — on, mąż uczony, bakałarz?

Zgrzytnął zębami z wściekłości.

Niedoczekanie ich! Tego paroba mógłby przecie wyuczyć, wyuczyć!

Czego wyuczyć, nie wiedział sam w tej chwili, czuł tylko, że to mogłaby być jakaś potęga w jego, Damiana, rękach. Tylko ten strach, ten ciągły strach przed nią... I jeszcze teraz tamten żre, teraz jeszcze sam żre! Skąd mu żarcia nastarczyć, jeszcze i jemu? I jak to możliwe, żeby on potrafił żreć? Przecie to kloc z nabitej gliny?

Co robić, co robić? — chwiał się w rozpaczliwej niepewności, zdumieniu i strachu, ale zamarł znowu w bezruchu, bo mu się zdawało, że usłyszał szelesty w komórce. Podkraść się z kagankiem do drzwi i zajrzeć: nie, stwór leżał pod ścianą.

W nagłej determinacji wszedł i klęknął nad nim. Nieznacznie, ostrożnie sięgnął mu ręką do piersi. Ale ledwo jej dotknął, stwór poruszył się i obrócił ku ścianie. Teraz było już znacznie trudniej dosięgnąć ręką miejsca, gdzie był wetknięty znak. Damian dygotał ze strachu. W chwili, gdy już zdawało mu się, że czuje pod końcami palców brzeg pergaminu, tamten ruszył się gwałtownie przewalając tym razem jeszcze bardziej na piersi. Wtedy Damian w desperackim porywie przerażenia i wściekłości porwał go obiema rękami za ramię usiłując przewrócić na grzbiet.

To, co się potem stało, nastąpiło tak błyskawicznie, że Damian ani wtedy, ani nigdy później nie potrafił zdać sobie z tego sprawy. Pamiętał tylko, że wrzasnął przeraźliwie, kiedy uczył wbijające mu się w dłoń zęby potwora.

Odkoczył z krwawiącą ręką, z rozdartymi szeroko w nieprzytomnym zdumieniu oczyma.

Potwór ciężko rozciągał się już z powrotem pod ścianą. Damian usłyszał rzadkie równe szmery chrapliwych oddechów.

Tamten spał.

VI

Na taflach kamiennej podłogi kładła się skośna, krótka smuga światła słonecznego. W chwili ciszy słychać było gruchające na gzymsie okiennym gołębie. Rytmicznie, w równych odstępach czasu dochodziło rosnące, potem oddalające się wywoływanie przekupki:

— Bób, placki jęczmienne, orzechy!

— Rozumiecie przecie, panie burmistrzu — podjął po chwili perswadująco Piotr — że to straty i szkody dla wszystkich, nie dla jednego tylko i nie tylko na własnej rodzonej skórze i żywocie, ale i — podkreślił nieznacznie — i na mieszk. całej rzeczypospolitej miejskiej. Ba, i jeszcze ludzi spoza miasta, co do apteki przychodzą.

Burmistrz zbył to krótkim odrzutem ręki. Wstał, podszedł ku wąskiemu oknu i wyjrzał na rynek, z którego dolatywała wrzawa dnia targowego.

— Ci spoza miasta — sapnął — co oni nas obchodzą? Ci się leczą swoimi lekami. Jeszcze gorszymi. Sami przecie wiecie, mistrzu Piotrze, co oni tam wszystko — zagadał prędko nieopatrnie własne stwierdzenie.

Ale Piotr pochwycił je.

— Skoro mówicie: jeszcze gorszymi, to widzę, miarkujecie sami, co warte to, co sprzedaje nasz Dominik.

Wielka, okrągła twarz burmistrza z ciemną, ceglastą niemal skórą i mięsistymi policzkami nabiegła krwią jeszcze mocniej. Oddychał ciężko.

Astma — stwierdził w myśli Piotr. — Oczywista astma. — Podejrzewał ją u burmistrza już dosyć dawno.

Szymon mówił zacinając się i nie patrząc.

— Wyście człowiek uczony, mistrzu Piotrze i tego... Ja przecie wiem, rozumiem. Ino może... Bo teraz takie czasy. Pełno takich, co uczą, że wszystko stare trza wyrzucić. Nie mówię, że wy. Ino że może i w tej waszej sztuce taka przyszła moda, że co stare, to złe. No, ja nie wiem — popatrzył niepewnie na Piotra — tak ino mówię. Bo te olejki z glist i zajęcze łajno — co mówicie — to jakem ja był dzieckiem, sprzedawali na zęby zawsze. I matka moja

mówiła, że bolący ząb sam wyleci, bez bólu, jak się takim olejkiem posmaruje.

— Uhm — mruknął Piotr. — I wyście sobie też tak radzili, panie burmistrzu?

Burmistrz zakłopotał się.

— Ii... Mnie, wiecie, tak rzadko zęby bolały. Zdrowe mam — błysnął nimi ku Piotrowi. — To, com to chciał gadać? Aha, że powiadacie: białkom sprzedaje na gładkość skóry wodę ze śniegów marcowych — jaką to? — aha, wytopioną jak pioruny biją, to każdej białogłowie, powiadają, pstro w głowie. Zresztą o tej wodzie tom i ja słyszał. Od moich ciotek. Że to na gładkość bardzo skuteczne. Babka i matka też tak mówiły — co, wy nie myślicie? Ba, kiedyż bo jak wszyscy tak gadają...?

— Hm — odchrząknął Piotr. Zawahał się, ale przecie mruknął: — Że wszyscy gadają, to dlatego już nie ma być głupstwo?

— Nie mówilibyście tak, mistrzu Piętrzę — obruszył się burmistrz — nie mówili! — Zerknął na Piotra podejrzliwie, ale za chwilę zagadał już ugodowo: — A z takiej wody, cośmy to mówili, to tam zachorzeć chyba żadna nie zachorzeje, co?

— Ale grosz im wyłudza z mieszkań!

— Ii, tańsze to niż aksamity a ptasie piórka do czepców a manele i jak im tam, tym wszystkim świecidłom białogłowskim. Grosz puszczać na swą gładkość to każda skora. To lepiej już, że na to.

Piotr wyprostował się sztywnie.

— Jest uchwała Rady — powiedział zimno i urzędowo — „ma co roku medyk badać lekarstwa w miejskiej aptece i ich ceny. Ma zdać sprawę Radzie”. Zdaję, jak robiłem co roku.

— No właśnie, właśnie — sapnął burmistrz. — I nigdyście, mistrzu Piętrze, nie... nie tego... nie gwałtowali na aptekarza.

— Nie gwałtowałem na starego, na Pawła. Com mu kazał usunąć z półek, usunął.

Burmistrz powiedział prędko nie patrząc:

— Może tylko na inszą półkę przełożył.

— Nie miarkowałem ja tego. A ten Dominik...

— No, juści, juści — mruknął burmistrz z szukającym porozumienia prędkim spojrzeniem na Piotra. — Z tym młodym to tego...

— To Rada w rękawiczkach — uniósł gorzko brwi Piotr. — Czyżby dlatego, że to rajcy Gładysza szwagier a Adriana pociotek a ławnika Mikosza kum? Ja mam zdać Radzie sprawę i zdam.

Burmistrz Szymon sapiąc ciężko obciągał niespokojnie złoty łańcuch na szyi.

— Wyście, mistrzu Piętrze, człek gorący.

— Ja, gorący? — uśmiechnął się z żalnym trochę zdziwieniem Piotr.

— Tego... rzec chciałem: uparty. Krzyne uparty. Tylko byście sprawę zaognili, jakbyście od razu tak gwałtowali. To trza powoli, spokojnie. Ja to już jakoś — sami wiecie: Rada ma teraz takie ważne sprawy. Pospólstwo się burzy, zuchwałę się robi bez miary, przeciw Radzie powstaje, jakby Rada nie miała za sobą prawa!

— Hm... Kazaliście zamknąć cechmistrza szewskiego w wieży ze zbójami.

— Zasłużył! — powiedział groźnie burmistrz i popatrzył, pierwszy raz dzisiaj, prosto i surowo w oczy Piotrowi. — Za takie sprawki zasłużył, żeby ze zbójami!

— Jakież to „takie sprawki”? — zdumiał się Piotr. — To niedość, że go synkowie radzieccy napadli i obili.

— To wy nie wiecie, jak to naprawdę było? — przerwał mu. — Z tym napadem to wszystko łgarstwo. Sam się spił i...

— Nigdy nie pije! — przerwał z naciskiem Piotr. — Wiem to najlepiej!

Burmistrz podniósł na niego chmurne oczy. Powiedział po chwili gładząc swój łańcuch:

— To jak się nie spił, to może co inszego. Aptekarz — odwrócił głowę ku oknu — zeznał, że dzień przedtem kupił Jakub u niego cały funt jakiegoś zielska, co od niego —

stuknął się w czoło — kręćka można dostać, jak się go za wiele wypije.

— Co to za ziele? — przerwał Piotr rzeczowo i nieustępliwie.

— Wiecie... już nie pamiętam. Mnie się głowy nie trzymają te wasze nazwy. Wy będziecie sami lepiej wiedzieli. Jeszcze się aptekarz dziwował, na co mu tyle tego. Może się tego opił. Sam upadł gdzieś na kamienie czy jakieś żelazo, potłukł się i poranił a potem na synów radzieckich czekał.

Piotr patrzył osłupiały. Na Boga, co on, ten Szymon, kpi z niego? Czy sam ma klepki nie w porządku? Komu on to plecie? Jemu, lekarzowi? Ale co: lekarzowi! Dziecku to mówić, to nie uwierzy! Więc to do tego jeszcze aptekarz im potrzebny?

Wstał zdecydowanym ruchem.

— Wiecie, panie burmistrzu — powiedział przesadnie cicho i uprzejmie — jeśli Rada chce takimi baj... — takimi historyjkami ludzi i pospólstwo przekonywać, to tumultów się nie pozbędzie.

Twarz burmistrza pociemniała jeszcze bardziej.

— Jakże to — zaczął poprawiając niespokojnie złoty łańcuch, kiedy drzwi się otworzyły i wsunął się złoty trójkątny łeb rajcy Adriana z ogromnymi odgiętymi łopatami uszu.

Miał świeżą kolkę wątrobianą — rozpoznał Piotr, gdy odpowiadając wraz z burmistrzem na podejrzliwe „pochwalony” tamtego, rzucił okiem na jego twarz.

— Zwołaliście Radę, burmistrzu Szymonie — cedził Adrian obmacując ich szpiegującymi, wąskimi ślepiami — a nie przychodzicie?

— Zaraz idę — odsapnął burmistrz i obciągnął łańcuch. — My tu z mistrzem Piotrem o choróbskach w mieście i tego...

— Hm, widzę, widzę, ale sławetna Rada czeka — skrzyphiał Adrian nie spuszczać oczu z Piotra. Zza jego futrzanej czapy wyjrzała strojna w fantastyczny kapelusz głowa rajcy przezwanego Gładyszem.

— No to bywajcie, panie burmistrzu — rzekł sucho Piotr a przechodząc koło Adriana popatrzył na niego uważnie. Mruknął kiwając głową: — Wątroba, wątroba.

— Co? Co mówicie, że wątroba? — przestraszył się Adrian. Od razu stracił całą godność rajcy.

— A no — rozłożył ręce Piotr wychodząc — trudno.

— Co trudno? — poderwał się za nim Adrian. — Co, powiadacie, trudno?

— Ba — odwrócił jeszcze głowę Piotr — kiedy sławetna Rada czeka.

Wychodził z ratusza zagryzając zły, mściwy uśmiech. Ale już się mieszał do tego niemily posmak niezadowolenia z siebie. Obrzydły lis był z tego Adriana, chciwiec i pijawka, wszystko prawda, ale... Godzi się to, żeby lekarz tak straszył chorego? Ze też się nie potrafił opanować. A nie potrafił — tłumaczył sam sobie — bo go tak rozjątrzył burmistrz i ta cała banda złodziejskich kmotrów ze sławetnej Rady i Ławy. Dominik im na dziś potrzebny do doraźnego pogiębienia krzywego Jakuba, to mu pozwolą przez cały rok truć ludzi. A to głupcy, głupcy, głupcy! I im się zdaje, że ktoś uwierzy w te brednie, które wysiedzieli, o krzywym Jakubie! Boże wielki, jakże niepojęta i nieogarniona jest ludzka głupota na tym świecie, któryś pono miał tak doskonale stworzyć! Cóż to znowu za wrzaski — przerwał rozmyślenia.

Nad zgiełk targu buchała głośnie wrzawa z jednej z uliczek wychodzących z rynku. Ludzie biegli i szli w tamtym kierunku. Przez wrzawę przebijał się czyjś zachrypnięty, rozdygotany głos. Kiedy Piotr doszedł do wylotu uliczki, zobaczył kotłujący się z wrzaskiem tłum. Ze zbitego kłębu szamocących się błyskały halabardy miejskich pachołów. Brzuchaty kanonik Grzegorz zwany przez pospólstwo szyderczo „Oddziwkim” ryczał wniebogłosy ze schodków przedproża narożnego domu:

— Brać go! Na ratusz! Przed burmistrza! Brać go!

Stojący obok siwobrody mistrz kowalski w skórzanym fartuchu odpowiedział dygocącym głosem na pytanie Piotra, że to jakiś mnich pomstował na papieża rzymskiego i na sprze-

dawanie odpustów. Kanonik Grzegorz kazał go ciągnąć na ratusz a ludzie poskoczyli bronić mnicha.

— Nie dali go! — wrzasnął nagle. — Nie dali! Sprali pachołków! O jak wydzierają! Aż się kurzy!

Żeby go tylko w bramie nie capnęli — pomyślał z niepokojem Piotr odchodząc. Ej, ludzie go ukryją jakoś, przez bramę przemycą, zwłaszcza że to targ. Ba, niechby tylko do szewców poszedł. Ale i inni. Ot, zaraz ten kowal teraz. W ludziach aż kipi. Na klechów, na rajców, na wszystkich, co gnębili i ssali. I to właśnie w takim czasie sławetna Rada chce pospólstwo w ryzach trzymać takimi bredniami! Głupcy, głupcy, matoly! Wylezie im gardłem ich mądrość, wylezie, jak tu zacząć świstać kamienie. A ani chybi, że zaczął niedługo.

Z niejaką ulgą pomyślał, że jego dom daleko od ratusza i że żaden rajca nie mieszka w jego sąsiedztwie. Choć co to! Kamienie to jeszcze mniejsza, gorzej jak żagwie i pochodnie. — Całe miasto może pójść z dymem — myślał z nawrotem niepokojem przeciskając się z trudem między wozami, chłopstwem z sąsiednich wsi i miejskim pospólstwem. Niby to było jak zawsze w dzień targowy a przecie w widnych przez przestrzały bram podwórzach domów, w sklepionych piwnicach warsztatów a i na ulicach widziało się często skupienia nachylających się ku sobie tajemniczo głów, spotykało ludzi z nagłą, wśród nieufnych spojrzeń dokoła, przerywających rozmowę Kiedy skręcił na Garbarską, znalazł wąski i krzywy chodnik zatarasowany przez dziewczkę z pełnym koszem i kroczące przed nią dwie strojne mieszczki. Szły przed nim nie spiesząc się, głośne, dufne w siebie i pyszne. Poznał: Gładyszowa i żona czarnego Pawła. Nie sposób było je wyminąć, jeśli się nie chciało grzęznąć do pół kolan w błocie ulicy. Szedł więc cierpliwie za nimi, zwłaszcza że dochodziło go każde słowo ich rozmowy.

— Taka piekarczycha! — parskała głośno Gładyszowa. — Miała w kościele taki sznur pereł na szyi, że ja takiego nie mam ani wy, Joanno!

— A rzeźnica Maciejowa? — buczała swym grubym głosem Pawłowa. — Widzieliście wy jej futrzany kołpak? Obraza boska, żeby taka tłuka od świńskich gnatów tak się stroiła? To w co my mamy się, ubierać?

— Rada powinna wilkierz wydać z zakazem! Ja już mojemu mówiłam. Neta! — wrzasnęła nagle do służki — wóz!

Dziewczyna gruchnęła koszem o chodnik i, z wystraszonymi gęsiami oczkami, rozczapierając obiema rękami kiecki niby kokosz skrzydła osłaniała panią przed strugami rzadkiego błota bryzgającymi spod kół wozu powozonego przez podchmielonego wrzeszczącego chłopca.

Posypały się w uliczce kpiące prześmiejchy i szyderskie docinki. Piotr skorzystał ze sposobności i przemknął się bokiem chodnika. Ne jego ukłon odpowiedziała Gładyszowa ledwo widocznym kiwnięciem nosa, Pawłowa tocząca rozwścieczonymi oczyma za kpiarzami dokoła, nie odpowiedziała wcale.

Chciał przyszedłszy do domu opowiedzieć o tym Monice, ale nie dopuściła go do słowa.

— Ja ci muszę naprzód opowiedzieć, co ja dziś zrobiłam! — chwaliła się zadyszana z pośpiechu i dumy. — Wiesz, dziewczki przyleciały z okrutnym wrzaskiem, że święty Antoni, ten co stoi na podwórzu obok, u Maciejów, daje jakieś znaki oczyma i jakiś głos, jak z nieba, coś gada. Poszłam ja tam, a tam już Maciejowa i wszystkie dziewczki, i parobki z sąsiedztwa, i Brygida, i Mikołajowa i nawet stary Wawra, no mówię ci, pół ulicy. Maciejowa z dziewczkami klęczy i litanije wywodzi. Patrę ja się — naprawdę jakby mrugał i jakby jakiś cienki głos coś piszczał gdzieś z góry. Oblazła mnie naprzód gęsia skóra, ale potemem sobie przypomniała, jak mi to zawsze przykazowujesz, żeby otwierać szeroko oczy i iść po rozum do głowy.

— No i poszłaś i nic tam nie znalazłaś?

— Właśnie, Piotrusiu, zem znalazła, właśnie! Rozglądam ja się i widzę: małe strychowe okienko u Brygidy otwarte, rusza się na wietrze i skrzypi tak cienko.

— Aha — roześmiał się — to to był głos z nieba!

— ...a jak się odchyli, to słońce się w nim odbija i taki błysk pada na twarz posążka. Poradziłam, żeby zamknęli okienko — ale, mówię ci, nie chcieli z początku! — i zaraz święty Antoni przestał piszczeć i mrugać. To co ty powiesz, niektórzy uwierzyli, że to okno a nie żaden cud, ale Maciejowa i Petronela to tylko głowami kiwały i mruzczały coś a Petronela powiedziała, tak mi się przynajmniej coś posłyszało: żeby ona się jeszcze czego nie dopytała — niby ja, wiesz? I że, aha, że zobaczymy, co ojciec Łukasz na to powiedzą, wiesz, ten od Dominikanów. No co, i ciągle będziesz gadał, żeś głupia? No powiedz!

— Nie będę, nie będę — zapewnił ją z przekonaniem i patrzył ze szczerym uznaniem.
— Myśli niewiastka, myśli.

Była uszczęśliwiona. Ale po chwili spochmurniała.

— Piotrze — zaczęła z wahaniem — ale to może wielki grzech, co mnie teraz przeszło przez głowę? Z tymi cudami...

— No?

— Że to może i z innymi, niektórymi rozumie się, niektórymi, tak było jak i z tym dzisiejszym tu?

— A możliwe — odparł rzeczowo i obojętnie. Zastanowił się i dodał: — W każdym razie nigdy nie słyszał ani nie czytał, żeby jaki święty sam opowiadał co o swoich cudach. O tym, że robił cuda.

— Nie opowiadał? — dopytywała się chciwie.

— Nie. A znowu poganie także gadają o swoich cudach. Turcy o cudach tego ich Mahometa a inni też.

— Ale te ich cuda to już naprawdę chyba tylko jakieś czary, co?

Patrzył na nią chwilę nic nie mówiąc. Zrozumiała jednak widać, co sobie pomyślał, bo sczerwieniła się gwałtownie i fuknęła popędliwie.

— Co się tak patrzysz? Przecie nie powiesz, że nasze cuda to takie akurat jak tamte ich czary?

Roześmiał się.

— Nie, to ty tak mówisz.

— Ja nie mówię! — krzyknęła ze strachem. — Ja tylko mówię, że tak to chyba i ty nie powiesz? Nie patrz się tak na mnie!

Zaczął chodzić wolno po izbie. Wodziła za nim niespokojnie oczyma.

— Wiesz co, Monika — powiedział po chwili — czytałem raz dawno w jednej księdze, że dawni Grecy — a będzie już ze dwa tysiące lat temu — mówili, że z głupotą nawet bogowie walczą na próżno. Myślałem sobie wtedy: zmyślnie i do śmiechu powiedziane, ale to tak może wtedy było, bo od tego czasu ludzie ani chybi zmądrzeli. A teraz... — urwał.

— Co: a teraz, co a teraz? — nalegała niecierpliwie.

— Teraz — mruknął wreszcie — to już czasem naprawdę sam nie wiem.

Podparła głowę obiema rękami i siedziała chmurna. Od czasu do czasu odczuwał na sobie jej niespokojne i badawcze spojrzenie.

Drwa zatrząsały mocniej w kominie, ogień podniósł się znieacka burzliwie, huczał chwilę mocno i znów opadł.

— To jak to — odezwała się wreszcie — jak to napisał ten tam w księdze, że głupotę... że bogowie głupotę...?

— Że z głupotą nawet bogowie walczą na próżno — poprawi! siadając przed ogniem.
— Że z głupotą nawet bogowie — pomrukiwał — nawet bogowie...

VII

Piotr zdziwił się trochę zobaczywszy, że Jan, starszy cechu piekarzy, stoi z gołą łysiną na schodkach piekarni, bo dął chłodny późnolistopadowy wiatr a Jan skarżył się na strzykanie w głowie i uszach. Ale podszedłszy bliżej spostrzegł, że i w całej postawie Jana było coś osobliwego. Stał z rękami wetkniętymi pod fartuch, z opuszczoną głową, zgarbiony i tak zamyślony, że może i nic byłby zauważył Piotra, gdyby go Piotr pierwszy nie pozdrowił. Wtedy się z nagłą ożywił, rzucił oczyma bacznie w jedną i drugą stronę ulicy i ze spojrzeniem żywej prośby wskazał Piotrowi drzwi do piekarni. Weszli do mrocznej izby pełnej zapachu świeżego chleba i przegrzanego powietrza. Jan podsunąwszy lekarzowi zydel przestępował frasośliwie z nogi na nogę i niskim basem wymrukiwał zakłopotane przeproszania i usprawiedliwiania.

— Strzyka w uszach, co? — ośmielał go Piotr. — Pewnie, jak tak stoicie z gołą głową na zimnym wietrze.

Ale Jan machnął zbywająco ręką. Co tam jego głowa. To nie o to. Raczej o inne głowy. A naprzód o Jakuba, cechmistrza. Co z nim, jak mistrz Piotr myślał, zrobią tam, na ratuszu? Bo się tam na niego, gadają ludzie, okrutnie odgrazali. Że na Radę powstawał, pyskował, a teraz jeszcze ten napad na siebie przez radzieckich synków zmyślił. A znowu przecie jakby po pijanemu zmyślił albo że się go jaki dur chwycił...

— To i wy, majstrze Janie — powiedział spokojnie Piotr — wierzycie, że on ten napad zmyślił? I że był pijany?

Jan miętosił frasośliwie palcami gęstą, czarną brodę.

— Że był napity to i ja nie wierzę — mruknął jeszcze niższym niż zazwyczaj basem. — Ale że się go dur czepił — a no czy ja wiem? Może kto jakie czary na niego rzucił? Albo po tym jakowymś zielu z apteki? No, tak sobie ludzie powiadają.

— Tak — pokiwał głową ironicznie Piotr — słyszałem to od wielu. Ino myślałem, że wy, majstrze Janie...

Jan drapał się w głowę.

— Widzicie, mistrzu Pietrze, kiedy to w s z y s c y naokoło tak gadają... Już i zawziętość ludzi odpada, bo powiadają: popsuł nam tylko naszą sprawę, bo teraz na ratuszu krzyczą i gębę nam tym zatykają, że widno już za jaką to my sprawiedliwością, kiedy sami łzemy i oczerniamy.

— Odpadła ludzi zawziętość, powiadacie? — uniósł brwi Piotr. — Właśnie jak usłysze-
li tę ratuszową gadkę o Jakubie, to im odpadła? A no — westchnął wstając — trudno. Bywajcie, majstrze Janie.

Jan srodze zakłopotany biegł za wychodzącym. Zgoła nie pojmował, czemu się mistrz Piotr jakby obraził. Chciał go jakoś udobruchać a nie wiedział jak. Ale dopiero na ulicy Piotr odwrócił się do niego i powiedział łagodniej:

— A wy byście tak z gołą głową na wiatr nie wychodzili.

Szedł i ruszał ramionami. No i poradź tu co z ludźmi. Zdawałoby się, że dziecko w te brednie ratuszowe nie uwierzy a oni wierzą. I „zawziętość ich odpada”. A Bóg z wami, róbcież sobie, co chcecie.

W zamyśleniu minął wąską drewnianą kładkę przeprowadzającą na tę stronę ulicy, po której stał Adrianowy dom „Pod nosorożcem” i spostrzegł to dopiero stanąwszy prawie naprzeciw domu. Przejście przez bagno uliczki było tu niemożliwe. Kiedy chciał zawrócić, ściągnęła jego uwagę grupka małych dzieci na tym samym chodniku o kilka kroków przed nim. Zadzierały wysoko łebki i pokazywały sobie rękami coś na szczycie domu Adriana. Spojrzał tam mimo woli, ale nie widząc nic osobliwego, zapytał:

— Co wy tam tak wypatrujecie, urwipołcie?

Mała dziewczynka wytykając ku górze brudny paluszek powiedziała z wystraszonymi niebieskimi oczyma:

— Tam jest jeden taki strasny, co dzieci zjada.

— Gdzie?

— W oknie.

— Wilkołak — potwierdził z powagą chłopczyk z wydętym brzuszkiem. — Abo sam dziabeł.

Teraz Piotr zobaczył. W małym otworze najwyższego okienka tkwiła nieruchoma, niby grubo w kamieniu wyciosana wypoczwarzona maskara ludzkiej twarzy. Znikła jednak tak prędko, że Piotrowi pozostało mało uchwytnie wrażenie.

Gdzie ja to widziałem jakąś taką gębę? — biedził się w myślach zawracając. Ale dopiero gdy dochodził do przedproża domu Adrianowego, przypomniał sobie. To przecież jakby... jakby niesamowity łeb owego parobka Adrianowego, którego raz wieczór widział tu z wiadrami, tego, o którym Damian mówił, że przyszedł tu ze wsi taki półgłupek. Tak, ale to okienko na górze, w którym go teraz zobaczył, to chyba izdebka Damianowa? Cóż ten tam robił?

Przestał myśleć o tym, gdy wszedł do Adriana i gardło przygniótł mu od razu gorący zaduch nie przewietrzanej izby, pełnej ogromnych szaf, zamczystych skrzyń, rzędów cynowych i srebrnych dzbanów i mis, i kosztownych, wielobarwnych gobelinów. Niknąca w tym spiętrzeniu majątności spelzno-ryża, trójkątna twarz rajcy była na białej pościeli łoża jeszcze bardziej żółta niż zwykle a odgarnięte równolegle do jej płaszczyzny łopaty uszu wydawały się jeszcze większe. Siedząca po drugiej stronie Agata, młoda żona Adrianowa, ledwo podniosła przy powitaniu Piotra na mgnienie oczy. Z zaciśniętymi wąskimi ustami schylała, zawsze milcząca, głowę nad jakąś robotą.

W szóstym albo siódmym miesiącu — ocenił Piotr jej figurę odcinającą się od tła żółtawego gobelinu. — A gobelin mają nowy.

— Tak się we mnie wszystkie humory wzburzyły — skrzypiał Adrian słabym głosem ale świdrując oczyma ugniatającego go dłońmi i opukującego Piotra — po wczorajszym zebraniu Rady. Z łaski naszego burmistrza. Naszego dobrotliwego burmistrza.

— Tu boli? — pytał Piotr nagniatając.

— Bardzo boli. Bardzo. To co że boli? To niebezpieczne, co? Niebezpieczne?

— Zaraz tam: niebezpieczne — wymijał Piotr dyplomatycznie. — Lepiej byłoby, żeby nie bolało. Zwłaszcza jak się minęło sześćdziesiąteczkę.

— E, jeszcze niewiele, niewiele — pospieszył zastrzec się rajca z prędkim łypnięciem ku żonie.

Piotr prowadził milcząco dalej swoje praktyki, skończył je i chwilę się zastanawiał. Niespodzianie usłyszał drewniany, bez wyrazu głos Agaty. Mówiła nie podnosząc oczu znad roboty:

— Spytajcie się czy kurze łajno z winem...

Adrian zakaszłał się gwałtownie, ale ona, jakby nie słyszała, kończyła monotennie:

— ...macie dalej łykać.

— Kurze łajno? — wytrzeszczył oczy Piotr. — Ja wam zaleciłem kiedy łykanie kurzego łajna?

Adrian odchrząkiwał długo uparte zakrztuszenie.

— E tam — zaskrzypiał wreszcie — to jakeśmy teraz na wsi byli, jedna baba doradzała, znachorka. Ja tam zgola nie na to... Agacie się coś ino pomieszało w jej białogłowskim pomysleniu.

Nie ruszyła się ani nie odezwała.

— To znów może na poty miało być, to kurze łajno? — spytał chłodno Piotr.

— Poty i przeczyszczenie na uwolnienie od wzburzonych humorów — najważniejsza

rzecz — stwierdził uczenie Adrian ale łypnął niepewnie na Piotra. — Nie pisał tak sam mędrzec Galen w tej księdze... jakże jej tam? E, wy już wiecie, mistrzu Pietrze.

Piotr nie odpowiedział. Siedział zamyślony i dopiero po chwili mruknął kwaśno:

— Mędrzec Galen mędrce Galenem a własne doświadczenie doświadczeniem. Tyle wam kurzy gnój i poty pomogą na waszą wątrobę, co umrzykowi kadzidło. A jak się, panie rajco, chcecie u mnie leczyć...

— Ino to, co wy nakażecie — uprzedził raj a ze zgodliwą godnością — ino to — ale Piotr przychwycił jego złe błysnięcie oczyma ku Agacie.

— Jak mnie się nie ma żółć ulewać — skrzybiał Adrian — jak, gdzie się ino obrócisz, kłopoty i utrapienia? O, słyszycie? — wskazał oczyma ku powale — aż się dom trzęsie, jak chodzi ten kloc u Damiana.

Głuche, powolne, dudniące jak uderzenia stępora stąpania przesunęły się rzeczywiście gdzieś nad powałą. Piotr już chciał się głośno zdziwić, czemu Damian w swoim czasie wypierał się „tego kłoca” twierdząc, że to nowy parobek Adrianów, ale pomyślało mu się, że lepiej o tym nie wspominać. Zauważył tylko z uśmiechem, że żeby takiego w swojej izbie trzymać, to trza mieć serce męzne niczym święty Jerzy.

— O! — pochwyił rajca i aż palcem przybił w powietrzu swoją aprobatę — o, to właśnie! Jak z księgi gadacie, mistrzu Pietrze! Jeszcze mi... jeszcze Agatę będzie straszył — wysilił skrzeczący głos na ojcowską czułość. — A w błogosławionym stanie, sami wiecie.

Piotr spojrział mimo woli na młodą kobietę. Nic podniosła głowy.

— Ona wprawdzie ma, jako wy powiadacie, serce męzne, he, co? — zwrócił głowę ku niej.

Nie ruszyła się, nie podniosła oczu. Jakby nie słyszała.

— Agata! — zaskrzeczał. — Słyszysz, co gadam?

Odpowiedziała drewniano:

— Nie miarkowałam, że do mnie.

— Więc co to ja? — chrząkał Adrian. — Aha, o tym przygłupku Damianowym. Żebyście wy jeszcze wiedzieli, co to za osiłek! Strach pomyśleć, jakby się taki rzucił... Jak nie-dźwiedz.

— Gdzie on takiego wynalazł?

— Ba, gdzie? Sam bym rad wiedzieć. Bo on raz gada...

— Ten pacholek?

— Gdzie tam pacholek. Pacholek nic nie gada. To znaczy... Bo i z tym sprawa osobliwa. Naprzód wydawało się — niemowa. Aliści teraz powiada nasza czeladź, że on bełkoce, ino niewyraźnie. Ale pytaliście, skąd on. Damian raz gada, że to znajda, parobek u jego pociotków, to znów, że sam daleki pociotek. Bądź tu mądry z tego.

— Ale na co taki Damianowi?

— O, widzicie: i ja się o to pytam — na co? Sam do gęby nie ma co włożyć ten łupiskóra — indyczył się Adrian — za izbę mi już przeszło florena winien, a takie parobczysko u siebie trzyma. Co taki musi zeżryć!

Piotr zauważył, że może i Damian sam się tym kłopotczy — tym, czy czymś innym — bo w ostatnich czasach dziwnie odmieniony. I na twarzy i w ruchach. Sam do siebie na ulicy gada.

— Ba, i grzebień mu mocno urósł — z mściwą obrazą unosił Adrian wysoko żółte brwi — gębę zaraz szeroko otwiera. A wiecie, co on tak do siebie gada? Nie? Nie wiecie? To ja wam powiem. Bo go tu już w domu nasze służki słyszały a i na ulicy poniektórzy. Tak sobie powtarza to, co ten mnich heretycki jakiś na rynku tu wyrzaskiwał, póki go kanonik Grzegorz nie przepłoszył. Ej, że to się takiemu udało wymknąć z miasta, ej, że mu się udało! — zaciskał bezkrwiste wargi.

— Hm — mruknął robiąc obojętną minę Piotr — a cóż to było?

— Ba, jeszcze pytacie! Cóżby w dzisiejszych czasach mogło być jak nie pomstowanie na wszelką sprawiedliwą władzę. Na papieża rzymskiego i na naszą Radę, na rycerstwo i księży. Powiada, że tak w Piśmie świętym napisane, czarci pomiot. Że jak prorok Izajasz mówi, iż Bóg zniży mieszkające na wysokościach, to to o nas, o Radzie. I dziw to, że pospólstwo po takich kazaniach głowę butnie podnosi? A cóż wy na to, mistrzu Piotrze, że nasz burmistrz, właśnie w takim czasie, zamiast pospólstwo znowu na mocny kantar wziąć, ustępstwa mu chce czynić?

— Ustępstwa? — powtórzył wyczekująco Piotr.

Ale Adrian uniósł głowy i nasłuchiwał głosów za drzwiami.

— Wyjrzyj no, Agata, kto to przyszedł — powiedział,

Wstała i przy tym ruchu rozwiązała się jej zawitka na głowie. Piotr zobaczył, po raz pierwszy, że ma bujne, kasztanowate włosy osobliwie kontrastujące z jej czarnymi oczyma i że właściwie nie byłaby wcale brzydka, gdyby nie drewniana nieruchomość twarzy. Teraz zresztą, w szybkim spojrzeniu jakie rzuciła na męża poprawiając zawitkę rozluźniła się, zdało mu się, jej twarz jakby w błysku szyderskiego tryumfu.

Wszedł rajca Bernard, sukiennik, bogacz, wysoki, strojny, w świecie otarty i niby to wielce układny a za nim wtoczył się mały, z okrągłym brzuszkiem ławnik Łukasz. Piotr przygryzł mimowolny uśmiech widząc jak Łukasz, bardzo przejęty swą świeżą godnością ławniczą usiłował miarkować nią wrodzoną ruchliwość gestykulacji i mimiki. Nie odchodził zaciekawiony przerwany przez przyjście gości gadaniem Adriana.

Jakoż Adrian wrócił do tego tematu nawet jakby z wyraźną skwapliwością. Mówił, zwracając się do Bernarda, że mistrz Piotr widać nie wie jeszcze, że nasz sławetny burmistrz przemógł wczoraj na Radzie, żeby łotra Jakuba z wieży wypuścić.

— „Chory”, powiada — udawał z przekpinami głos burmistrza Bernard — a że Rada to przecie prawie tak jak klasztor franciszkański, więc puścić, puścić, powiada. A na drugi raz jeszcze mu pewnie dukata nawiązki każe dać, miłosierna dusza.

— Niestychane! Zgoła niestychane! — wiercił się na zydlu Łukasz i zaraz chował ręce w szerokie rękawy delii wodząc przy tym łakomym wzrokiem za wnoszonym przez Agatę na rozkaz Adriana dzbanem wina i srebrną misą pełną konfektów.

Mnie winem nie prosił — pomyślał Piotr z urazą. I postanowił: Nie będę pił!

Adrian świdrował go oczyma.

— Hm, a wy nic o tym nie wiecie. I co też to ludzie nie wymyślą. Bo gadano, że to wyście, mistrzu Piotrze, burmistrza do tego nakłonili.

— Ja? — zdumiał się w pierwszej chwili szczerze Piotr, ale zaraz przypomniał sobie swą rozmowę z burmistrzem sprzed kilkunastu dni. Powiedział bardzo spokojnie, ale z pewnym naciskiem: — Do niczego burmistrza nie nakłaniał. Powiedziałem tylko, że nikt nie uwierzy w to, że Jakub upadł, czy co tam, i sam się tak potłukł i poranił. — Kątem oka spostrzegł, że rajca Bernard zaczął bardzo skwapliwie zdrapywać z rękawa jakąś imaginacyjną plamkę. — Burmistrz zresztą — kończył Piotr — był wtedy przekonany, że właśnie wszyscy uwierzą. — Pochwycił krótkie, porozumiewawcze spojrzenia tamtych.

— Uwierzyli, mistrzu Piotrze — kiwał głową Adrian z obłudnym ubolewaniem — uwierzyli. Uwierzyli, bo im zaraz rura zmiękała.

— Prawdziwe czary — przecisnął przez zęby ironicznie Piotr.

— Jakie czary? — zaniepokoił się Adrian i aż się na łokciu uniósł z pościeli. — W czym widzicie czary?

— A no w tym, że uwierzyli.

— Nijakich na to czarów nie trzeba! — rozżłościł się Adrian. — I nie wiem, z czego se prześmiechy czynicie, mistrzu Piotrze! Wie Rada, co czyni i czemu — mówił już się pohamowując — byle jej tylko sławetny nasz burmistrz na drodze nie stawał.

— Od razu przestali krzyczeć o pokazanie przywilejów i restytucje tych jakisich wygi-

ntywirów! — podskoczył Łukasz i czym prędzej ściągnął wytwornie gębę i splótł ręce na brzuszku.

— Pani szewczycha Mikołajowa nawet już tak zadem na ulicy nie kręci — wtrącił z kpiarską powagą Bernard i zaraz skłonił się dwornie ku milczącej ze spuszczonej oczyma Agacie — uczciwszy wasze piękne uszka, pani Agato.

Nie ruszyła się. Tylko z wątego rumieńca wypełzającego na jej blade policzki zmiarkował mimochodem Piotr, że w ogóle słyszała.

— I właśnie teraz — skrzyział Adrian nie spuszczać z Piotra oczu — na to, jak pospólstwo przycichło, na to sławetny Szymon wypuszcza buntownika.

— I tym uznaje, że krzykacze mieli rację — wtrącił Bernard. — Nie ma co, udał się nam nasz burmistrz, o, udał.

— No i czy tym pospólstwa dopiero nie podburzy? Sami powiedzcie, mistrzu Pietrze?

— To bardzo możliwe — przyznał Piotr rzeczowo i powstał.

— A co, sami przyznajecie, sami przyznajecie, mistrzu Pietrze! A czemu to nie pijecie?

— Nie przyznaję, tylko powiadam, że bardzo możliwe. Więc, panie rajco, pilnie ziółka pić i nie myśleć o kurzych gnojach. Bywajcie.

Teraz zaczynają na mnie gęby rozpuszczać — myślał wymacując nogami schody w mroku sieni i przypominając sobie porozumiewawcze spojrzenia tamtych. Nie doszedł jeszcze do połowy schodów, kiedy usłyszał zbliżające się z dołu kroki i mamroczący głos. Przystanął słuchając.

— Biada, który łupisz, aza i sam złupiony nie będziesz? I który gardzisz, aza i sam nie...

— Dzień dobry, mistrzu Damianie — powiedział prędko i głośno Piotr — słyszę, że sobie coś podśpiewujecie, więc myślę, że nic u was niedobrego, co?

— Boga-ć tam nic — mruknął posepnie tamten mijając Piotra. — Utrapięń tyle, że nie wiadomo gdzie i głowę skłonić.

— Cóż wam takiego? — pytał Piotr zachęcająco. — Ze zdrowiem może coś kiepsko?

Damian, już o kilka schodów wyżej, stanął i odwrócił się. Piotrowi zdawało się, że odczuwa niemal fizycznie, jak tamten zмага się z chęcią powiedzenia czegoś. Ale w mroku sieni zamajaczyło tylko zbywające machnięcie ręką.

— Et! — powiedział Damian i poszedł dalej.

Coś go mocno uwiera — myślał Piotr. — I to głośne gadanie do siebie? — Ale myśli uskokczyły mu zaraz na bliższe mu sprawy.

Więc przecie wypuścili Jakuba! I burmistrz to przepaął. A burmistrza — gadali ci teraz — on? — uśmiechnął się mimo woli mile połechtany. A może i naprawdę on? No, to przecie choć czasem i on by coś zrobił... Ten Szymon to nie najgorszy jednak, pokazuje się. Jakieś się w nim sumienie kołacze. Nie tak jak w tych innych pijawkach.

Ale zrozum tu co! — myślał. — Zrozum, bo przecież ci także twierdzą, że pospólstwo nie uwierzyło bredni o Jakubie. I nie tylko go to nie rozjątrzyło ale nawet sprawiło, że przycichli. Tak wynikało i z tego, co mówił Jan. W co ludzie nie potrafią uwierzyć? A inna rzecz, że teraz miały rację te trzy łepaki ratuszowe, że wypuszczenie Jakuba dopiero pospólstwo rozjuszy.

A niechże sobie panowie Rada chłepcą piwo, które sami nawarzyli!

VIII

Chór dziecinnych głosów skandował wrzaskliwie:

— ...intelligebamus, intelligebatis, intelligebant...

— Futurum! — warknął Damian i zaraz nagłym ruchem ze spojrzeniem pogromcy odwrócił się ku przeciwnemu kątowi izby, gdzie mieściła się najbardziej groźna i nieobliczalna lokacja czyli klasa. Grupa starszych już nieco chłopaków kiwając się tępo wbijała tam sobie w głowy obojętnymi głosami za przewodem gorliwego i zawsze grzecznego Pawełka, że orationis partes sunt nomen, verbum, participium, articulus, pronomem.

Nie, stamtąd na razie nic nie groziło. Ale tu drgnął jakby żgnięty pod żebro.

— Satis! — wrzasnął. — Iterum a principio!

Który to...? — zaczął się słuchać — który to powiedział drugą osobę: intelligas...? O, zezowaty Wojtek rusza teraz tylko wargami a nic nie wymawia. To pewnie on... Czekajże ty!

Niby to patrząc ze skupioną uwagą na innych nieznacznie zbliżał się do winowajcy mocniej już ujmując różgę trzymaną za plecami.

— Intelligas? — wrzasnął nad nim znienacka.

Świsnęła różga.

— Intelligas?! Secunda persona singularis futuri — intelligas? — pienieł się rżnąć zaciekłe.

Świst różgi zmieszał się z wyciem chłopaka. Na jego szczęście kąt oka mistrza Damiana pochwyił w tej chwili jakieś płynne poruszenie zarysów rzeczy w niebezpiecznej lokacji. Zostawiając szlochającego Wojtkę rzucił się bakałarz w tamtą stronę. W pierwszej chwili nie zauważył nic szczególnego. Chłopcy siedzieli sztywno na swych niskich ławeczkach i zydelkach bębniąc tępogłosym chórem po raz dwudziesty, że orationis partes sunt nomen, verbum.

Ale kilka podejrzanych łypnięć łotrowsko obłudnych oczu zaostrzyło uwagę Damiana. Te łypnięcia kierowały się zarówno ku niemu jak pod tę ścianę izby, gdzie na misternym stosiku leżały systematycznie ułożone i przygotowane do całorocznego użytku pęki różg. Raptem zaszeleściło coś w tym stosiku i nachylający się nad nim Damian ujrzał wsuwający się giętkim skrętem głębiej pod pręty żółto-zygzakowaty grzbiet i ogon ogromnej żmii.

— Vipera! — wrzasnął odskakując mimo woli.

Zaniosło się przeraźliwym piskiem, wyciem i jazgotem. Najbliżsi, właśnie owi najstarsi, zadyszani z łganej nadgorliwości, czerwoni z udawanego strachu i oburzenia, walili ławeczkami i zydlami w kupę prętowia, skakali na nie obu nogami w ciężkich drewnianych chodakach, cięli porwanymi z rozrzuconego stosu prętami. Za nimi i koło nich kłębiła się wrzeszcząca w niebogłosy gromada wszystkich innych. Klimek podnosił już wysoko w górę z ostentacyjną zgrozą odcięty i drgający jeszcze ogon gada z połową grzbietu, a jego kamrat Szymek, sepleniąc przez wybite zęby wytykał czarnymi jak ziemia paluchami jakieś dziury czy szczeliny w podłodze i ścianie zapewniając krzykliwie po raz setny, że to tędy żmija musiała się wśliznąć.

Na nic mu się to nie zdało, bo mistrz, kiedy zobaczył już połówkę gada w rękach Klimka, wpadł w ślepe wściekłość. Cała lokacja szła po kolei, jeden za drugim, na ławę i tam przytrzymywana gorliwymi rękami kolegów rozgorączkowanego widowiskiem, swoją wagnością i rozbudzonym okrucieństwem, odbierała wśród rozdzierających wrzasków, szlochów i wycia swoje, nie rachowane już przez nikogo plagi. Zawsze greczny Pawełek czepiał się w obłąkanym strachu nóg mistrza wypraszając się od kary wszystkimi znanymi przysięgami na swą niewinność, ale Damian jak zaczadziały od wrzasku i krwi walił, aż mu omdlała ręka. Sam się zataczał i trząsał jak w febrze, kiedy wyszedł tego dnia ze szkoły na mroźne powietrze. Nudności go rozbierały i co chwila, choć ten obraz jak mógl z oczu odganiał, wynurzały się przed nim obłąkane strachem oczy grzecznego Pawełka.

— Nie zaszkodzi mu! — usiłował rezonować w duchu gromko. — Będzie miał przestrozę!

I nagle aż stanął. Teraz sobie dopiero przypomniał, że podczas polowania na żmiję i podczas egzekucji dzieci krzyczały — nie po łacinie, tylko gminnym, barbarzyńskim językiem! Co gorsza, tegotygodniowy „lupus” czyli wilk, wyznaczany w tajemnicy przed kolega-

mi chłopak, mający sekretnie zapisywać odzywających się po barbarzyńsku, był również wśród sieczonych. Pewnie nie zapisał przestępców. I, co gorsze, nie zapisze... Sam może nie spamiętał albo na złość... To przecie łotry jeden w drugiego, co dla nich obowiązek! Dobrze że przynajmniej sam na nich ręki nie żałował. Co dostali, to już będzie za to gadanie nie po łacinie.

Uspokojony znacznie postanowił wstąpić jeszcze do majstra Nikodema. Syn Nikodema, mały Bartek, jako należący do lokacji siedzącej jak najdalej od źmii, nie został objęty dzisiejszą srogą egzekucją ale widocznie o niej ojcu właśnie opowiadał, bo na widok bakałarza uciekł w popłochu.

Wielki, kościsty i prędko w ruchach Nikodem poderwał się również na widok bakałarza odsuwając zszywane płaty brązowego sukna. Jego pytające i niespokojne spojrzenia dodały Damianowi pewności siebie. Godnie i wcale łaskawie odpowiedział na niecierpliwe zapytanie krawca, że nie, tym razem nie przychodzi ze skargą na Bartka. On tam nawet jeszcze nie z tych najgorszych.

— Takie zbóje! — wytrząsał pięściami Nikodem. — Żmiję do szkoły przynieśli! Słyszane to rzeczy? Sprawiedliwieście im przyłożyli, mistrzu Damianie, sprawiedliwie! Czyste łotry i zbóje z tych dziecisków dzisiaj! Było to coś takiego za naszych czasów, mistrzu Damianie, no powiedzcie sami? Dobrze w Piśmie Świętym mówi: bij a ręki nie żałuj! Mój Bartek to przynajmniej raz na tydzień łanie musi dostać, żeby se pamiętał!

O, właśnie: żeby se pamiętał! — pochwyił w myśli z wdzięcznością i ulgą Damian odpychając prędko wspomnienie obłąkanych strachem oczu grzecznego Pawełka. Zmarszczył się władczo i mądrze a potem niby mimochodem zapytał, co tam z tym łachem, co dał do przerobienia?

Nikodem drapał się zakłopotany po łbie.

— Stare to wszystko, coście przynieśli, mistrzu Damianie, zleżałe, sparciałe, co pociągniesz, to się rwie i drze. Próbuje się, próbuje coś z tego ześcibać, o, patrzcie się sami — mówił wyjmując wytarty i wyblakły łachman z rąk jednego z czeladników. — To przecie — zawahał się — chyba nie dla was, mistrzu Damianie?

Bakałarz ruszył ramionami.

— Gadacie też! — burknął z obrażoną godnością.

— Zaraz-em se tak думаł — powiedział śmiejąc Nikodem. — Boby się i nie godziło nawet dla was takie, jakże!

— Ja to tak z dobrego serca tylko — mruknął Damian — dla jednego parobka. Czasem mi tam coś usłuży, więc za to... Bo chodzi pół goły.

— A, to dla tego może tam u was jakiegoś — zaciekał się Nikodem — co ludzie gadają? Że tam u was jakieś dziwadło? To rajców parobek czy wasz? Jak szyjesz? — wrzasnął i strzelił dłonią w łeb ponurego czeladnika w zielonej mycce. — Wszystko krzywo! Spruć i na nowo!

Drzwi skrzypnęły i w izbie wionęło jakby nagłym zakłopotaniem. Spozrzegłszy je na twarzach czeladników i Nikodema Damian obejrzał się, ale dopiero po chwili rozpoznał w kuszykającym chudzielcu cechmistrza szewskiego, krzywego Jakuba. Płaszcz z dobrego flamandzkiego sukna wisiał na nim jak na dragu. Potoczył po wszystkich spojrzeniem podejrzliwym i wypatrującym. Czeladnicy umykali przed nim oczyma, ale Nikodem witał go skwapliwie a nawet żarliwie, podsuwał zydel. Jakub zbył to lekceważącym ruchem ręki. W odętym milczeniu przerywanym suchymi półsłówkami słuchał gorliwych wyjaśnień Nikodema rozkładającego na wszystkie strony jakąś przyodziewę i rzucającego na Damiana spojrzenia jakby niezdarnie zachęcające do rozmowy. Nie zabawił też długo, rzucił jak na odczepne dwa słowa pożegnania pod niewiadomym adresem i spluwając mocno wyszedł nie spojrzawszy już tym razem na Damiana.

Nikodem odprowadził go niepewnymi oczyma. Z ubolewającym współczuciem pokiwał

głową do Damiana.

— Żre go, żre. I nie dziwota.

— Co go znowu żre? — skrzywił się Damian obrażony zarówno na minę Jakuba jak na to, że się nim przez chwilę nie zajmowano.

— A no, że się głupie ludzie tak na niego już nie patrzą jak przedtem. Przedtem mu ino na gębę i w oczy patrzyli, co powie. Jakby był kazał za siekiery i koły złapać i na ratusz iść, byliby wszyscy poszli. I powiedzcie, mistrzu Damianie, czemu to tak? Przecie go nawet te krwio pijęcę ratuszowe musiały puścić z wieży. Pohańbili go, bo pohańbili ze zbójami razem trzymając, ale puścić musieli. To przecie ludzie widzą, że to łgarstwa — co gadali — że po pijanemu sam się pokaleczył. Niby widzą a przecie do niego jakoś serce stracili. Tak sobie to w moim czerepie rozbieram i nijak rozebrać nie mogę. No powiedzcież, mistrzu Damianie?

Bakałarz odymał się niechętnie i lekceważąco.

— Nie wiem, jakie tam macie sprawy. Człek jestem uczony, w księgach łacińskich siedzę.

Nikodem łypnął z onieśmieniem. Ale po chwili mruknął:

— Sam mistrz Piotr się tu kiedyś okrutnie dziwowali. Jakże to tak, powiada, czego, powiada, te Ludzie od niego chcą? Kiedy to taki sobaczy naród — wzburzył się nagle cały — żeby z piekła nie wyrzeli! Zamiast topory złapać i na ratusz gromadą, to przysiedli jak dziady kościelne i tylko się oglądają czy kto przypadkiem nie słyszy, jak powiedzą słowo. Kijem ich prac, kundle, aż człowieka garść śwędzi!

Damian podniósł się. Zgoła mu nie w smak było takie kumanie się z pospółstwem. Odmruknął coś odęty i wyszedł.

Włókł się ociężale brnąc w gęstym śniegu. Jeszcze teraz ten śnieg i mrozy! Przez nie musiał kupić jakiś stary łach i dać Nikodemowi uszyć coś z niego dla tego... tego Pankraca. Musiał, bo go już na gębach zaczęli obnosić, że każe swemu parobkowi chodzić na pół goło. Na pół goło... Gdyby wiedział, że Pankraca i choroba się czepia, kazałby mu przez całą noc stać goło na mrozie — poderwała się w nim nagła nienawiść, ta która budziła się teraz coraz częściej. Było prawdą, że od czasu, kiedy stworzył tego Pankraca — kiedy go z bryły gliny ulepił jak Pan Bóg Adama, on, bakałarz Damian, lekceważony i popychany nie tylko przez odętych rajców, ławników i klechów ale nawet przez nędzne pospółstwo — od tej chwili chodził inaczej po tych uliczkach i wśród tych ludzi. I tym ludziom, kiedy spoglądali mu w oczy, więzły jakoś w gardzielach lekceważące słowa. Tak było, czuł to dobrze. Ale z drugiej strony zdarzały się chwile, kiedy on sam stawał w nagłym popłochu nieludzkiego przerażenia i zdumienia. Niby to przywykł już nawykiem każdego dnia do tego, że ma obok siebie ciągle tamtego stwora, że to już nie jest — jakim cudem, na Boga, jakim cudem? — ten martwy kłoc ulepiony z gliny, ale że się ta kukła rusza już sama, żre — jak żre! — ba, nawet już trochę gada! Całkiem jak żywy człowiek! Jak to się wszystko mogło tak stać, jak?! Jak się stało, że on nie mógł już tamtemu wyciągać znaku z dziury na piersiach, że już nawet na śpiącym Pankracu nie mógł się tej dziury domacać? Ale jeszcze okropniejszy był ten coraz większy, coraz bardziej rosnący strach, co właściwie jest, co dzieje się w tym stworze, co się czai poza jego nieludzkimi, małymi głęboko zapadłymi ślepiami i ich spojrzeniem? Strach przed tym, co tamten może jeszcze zrobić, czym się stać, jeśli będzie się dalej tak niepojęcie i przerażająco stawał podobny do człowieka, prawdziwego człowieka z krwi i kości. Jeśli będzie tak — co tu gadać — jakby z garści mu się wymykać. Jeszcze Pankrac słuchał każdego rozkazu, ale czasem trzeba mu go było kilkakroć powtarzać a chwile od wystuchania go do wypełnienia bywały nieraz przerażająco długie. Czy nie coraz dłuższe? W jednym takim nieprzytomnym napadzie nienawiści i przerażenia wyprowadził Pankraca daleko za miasto, w las, tam kazał mu iść dalej wprost przed siebie a sam się ukrył i potem co prędzej wrócił do miasta. Niby to oddychał z ulgą kładąc się tego dnia spać i wiedząc, że tamtego w komórce obok nie ma. A przecie kiedy na drugi dzień szedł wąskimi uliczkami, czuł się jakby kaleki, zerkał niespo-

kojnie na twarze ludzi i ustępował im z drogi, a w szkole na próżno pokrywał swą bezradność dzikimi rykami i łamaniem różg na chłopakach. I kiedy następnego dnia rano usłyszał ciężkie a tak dobrze znane mu człapanie na schodach, zamarł w radosnym niemal oczekiwaniu. Nawet błyskawiczny strach: a nuż tamten za to porzucenie go w lesie zechce, zechce... co zechce...? Bo a nuż on potrafi już sam co chcieć? — nawet ten strach rozplątał się jakoś prędko, gdy Pankrac wszedł zupełnie taki sam jak co dzień, jak kiedy przynosił wodę czy drwa. I Damian chwycił kawał chleba i wetknął go w łapczywe, olbrzymie garście Pankraca omal nie uzaliwszy się głośno nad jego wygłodzeniem...

Ale wybuchy strachu i nienawiści zaczęły powracać znowu. Prędko i bodajże ze wzmoczoną siłą. Bo nie można już było ukrywać przed sobą, że Pankrac spełniał rozkazy coraz oporniej a przede wszystkim, że zaczynał robić różne rzeczy — bez rozkazu. Że na przykład, jak twierdził stolarz Hieronim, który raz Pankraca widział na ulicy z Damianem, Pankrac wczoraj był sam w mieście wtedy, gdy Damian był w szkole.

Doszło do tej rozmowy z Hieronimem, ponieważ Damian idąc rano do szkoły zaczął spotkanego stolarza upominając się o nie zapłaconą dotąd opłatę szkolną, dwa i pół grosza za miniony kwartał. Hieronim wykręcał się brakiem gotówki a wreszcie zaproponował Damianowi zamiast pieniędzy wielki pniak drzewny do stolarskiej roboty mało przydatny a na opał w sam raz.

— Wasz parobek pewnikiem wydoli zataszczyć go wam — mówił z latającymi niespokojnie chytrymi ślepiami. — Jakże, takie chłopisko to by i byka uniósł! — a kiedy Damian odburknął, że nie ma czasu, aby pokazywać parobkowi, gdzie iść po to, bo półgłupek wiejski sam się nie dopyta, Hieronim oświadczył, że widział wczoraj owego parobka pod swoim domem.

Czy to prawda i czy to możliwe? — rozmyślał Damian otwierając drzwi swej izby. I jakby w odpowiedzi na to czy możliwe, zobaczył Pankraca rozsiadłego na jego, Damiano-wym tapczanie i pożerającego łakomie bochen chleba, który Damian przezornie i chytrze ukrył przed żarłocznością Pankraca za oderwaną na pół łątą pułapu. Porwała go na ten widok taka wściekłość, że chwycił mały zydell i rzucił co siły w ramieniu w tamtego.

Zydell stuknął głucho o łeb paroba i z hałasem spadł na ziemię. Pankrac z wypchaną jeszcze chlebem gębą siedział znieruchomiały. Małe straszne ślepia patrzyły z głębokich oczodołów bez drgnienia w Damiana. Na czole występowała szeroka, sina pręga.

Całkiem jak u żywego człowieka! — przeleciało z chłodzącym błyskiem zdumienia przez wściekłość Damiana.

— Ruszaj tam! — ryknął z gestem ku komórce.

Pankrac nie drgnął.

— Słyszysz? — wrzeszczał Damian porywając zydell i groźnie się nim zamierzając. — Ruszaj!

Trwali tak chwilę naprzeciw siebie: Pankrac nieporuszony na tapczanie i Damian z podniesionym zydlem i coraz większym popłochem i zamętem w głowie. Bo co będzie, jeśli tym razem całkiem nie posłucha?

Ale Pankrac ruszył się nareszcie. Ciężko, powoli, dźwignął się z tapczana cisnąc do siebie mocno resztę bochna. Skierowywał się już ku drzwiom komórki a jeszcze łeb sztywnie skręcając nie odwracał ślepiów od Damiana. Bakałarz uczył, że nie potrafi przemóc rosnącego strachu i zdobyć się na próbę odebrania mu chleba. Gorzej, bo przez dłuższy czas potem nie mógł zdobyć się na wywołanie Pankraca z komórki, aby mu kazać iść z sobą do Hieronima. A kiedy to wreszcie zrobił, kazał mu schodzić ze schodów przed sobą! Nie mógł pozbyć się myśli, że potwór może go od tyłu zepchnąć ze schodów.

Był już całkowity zimowy wieczór, gdy doszli na ulicę świętego Jana, do domu Hieronima i stolarz już przy świetle łuczycywa obciosywał na podwórku sęki i kikuty gałęzi i korzeni z pniaka, aby było poręczniej nieść — jak mówił oblatując ciekawymi łypnięciami niespo-

kojnych oczu nieruchomą i ponurą bryłę Pankraca. Usprawiedliwiając ciągle brak gotówki wzdychał obłudnie na ciężkie czasy, na wielkie podatki i opłaty, jakie nakłada Rada.

— To nie płacicie podatków — ruszył ramionami Damian siłąc się na wyniosłe, lekceważące zniecierpliwienie.

Hieronim znieruchomiał z podniesioną siekierą. Marszczył mocno czoło w wysiłku myślenia.

— Żeby niby... nie płacić? — wybąkał łypiąc niepewnie.

Damian odymał się władczo.

— Pokwapcie się, majstrze Hieronimie, nie mam czasu na wystawanie tu i gadanie.

Hieronim zawahał się, przez chwilę otwierał usta, ale nie powiedział już nic. Ciepnął tylko jeszcze machinalnie raz i drugi siekierą i zabierał się pomagać Pankracowi dźwignąć wykoślawione pniaczysko. Ale Pankrac zarzucił je na ramię jednym ciężkim zamachem.

— Zanieś do domu, zwał na podwórku i zrąb — przykazał mu Damian. Sam poszedł jeszcze do dwu domów upominać się o szkolną zapłatę. Kiedy stamtąd wyszedł, stanął zaskoczony. Z dalszych ulic — i to gdzieś od strony jego domu — doszła go daleka wrzawa, która nagle opadła jakby czyniąc miejsce tubalnemu rykowi ciągle w tej samej niemal kadencji coś powtarzającemu. I znowu: wrzawa i ryk, wrzawa i ryk.

— Znowu hulają synkowie radzieccy? — zaniepokoił się Damian. — Przecie przycichli już trochę po awanturze z krzywym Jakubem. — Chyba że ich rozzuchwaliło znowu, że pospólstwo zwiesiło łby. A on jeszcze — po kiego diabła! — chlapanął dziś przed Hieronimem o tym niepłaceniu podatków! Chlapanął ot tak, żeby łykowi pokazać, jak to on niby nic se z Rady nie robi... Potrzebne to było? Ale to się przecie nie mogło jeszcze rozejść między ludźmi! Skądby!

Szedł z ociąganiem się i wahaniem, czyby lepiej nie nałożyć drogi, nie ominąć jakoś tamtych... Ale że wrzawa a i ów ryk po chwili ucichły, szedł ostrożnie dalej. Na Szewskiej usłyszał zbliżające się głosy.

— Sprawiedliwie gadał! — gorączkował się młody głos. — Sprawiedliwie! Jakby z księgi czytał! Nie płacić podatków i tyle!

Damiana zatrzymało aż w miejscu. Nie płacić podatków...? Kto to tak?

— To chłop! Takiego nam trzeba! — zawodził z podziwem inny głos wśród przechodzącej gromadki.

— I co jeszcze? Co jeszcze gadał? — dopytywał się żarliwie ktoś trzeci. — Bom przyleciał już na koniec.

— Jeszcze? No, gadał żeby podatków nie płacić i że biada tym, co łupią i że takich też trza łupić.

— I co jeszcze, co jeszcze?

— I pomstował, że zaraz juchy rajce znalazłyby wtedy nasze przywileje co się im „gdzieś zatraciły”.

— Gadał tak? — dziwił się ktoś. — Ja nie słyszałem... Tyś słyszał?

— Ja nie, ale Nikodem mówił, że mu ktoś mówił, że słyszał.

— I co to za jeden taki? Nigdy ja go tu nie widział.

— Toć „spod nosorożca”! Parobek kutwy Adriana. Drzewo mu niósł.

— Parobek rajcy i przeciw Radzie pomstuje?

— Kto wie, może i na ciche przykazanie Adriana? Adrian się z Radą dawniej żarł.

— Póki sam rajcą nie został! Teraz już z rajcami rączka w rączkę.

— Ej to chłop! Ten pień to dźwignął jak piórko — cichnęły głosy.

Pień — jak piórko...? Podatków nie... Nie, co znowu! Ten bałwan?! Ale podatków nie... i pniak?

Biegł już prawie ku domowi. I tam, w uliczce, zobaczył ciemniejącą, ruchomą plamę. Ze stłumionego, idącego od niej gwaru wyrwało się, niby warknięcie, niby ryk, bełkotliwie:

— Nie płacić!

— Nie płacić! — odwrzaśnięto głośno z ciemnej plamy.

Skrzypnęły wrótnie podwórca domu „pod nosorożcem” a potem ciemna plama w uliczce jeła rozpląwać się i roztopiać.

Nie było już żadnej wątpliwości...

W pierwszym popłochu Damian zawrócił i pognał z powrotem, skąd przyszedł. Po chwili ochłonął i zwolnił kroku czekając, aż miną go kroki skrzypiące w śniegu za jego plecami. Natężył słuch, co ci ludzie mówią, ale mieszało mu się wszystko w kotłujących się myślach. Jedno było pewne: to pospólstwo — czeladnicy i chłopcy cechowi, gawiedź, biedota miejska — odprowadzali do domu, zachłystywali się podziwem nad jego Pankracem, nad tym, kogo on, Damian, ulepił z bryły gliny... Miejsce zdumienia, jak to wszystko możliwe, zajmowała nieustępliwie coraz bardziej oszałamiająca myśl, że w takim razie, w takim razie on by wszystko mógł przez tego Pankraca jeszcze osiągnąć? Mógłby pociągnąć za sobą pospólstwo...

Zawrócił co tchu. Dopadł Pankraca na podwórzu, rąbiącego przy łuczywie pniak. Stał nad nim chwilę nie wiedząc jak zacząć. Aż Pankrac wyprostował się.

Małe ślepie — czy się Damianowi zdawało czy inaczej już jakoś patrzące — wlepił w bakałarza. Wałąc się olbrzymią łapą w piersi wybełkotał dudniako:

— Krzyczał. Ja krzyczał.

— Czemuś krzyczał? — wyrwało się bez jakiegokolwiek zastanowienia Damianowi. I dopiero, gdy to powiedział, przyszło nań uczucie zdumienia, że on, Damian, mówi do tego z gliny przez siebie ulepionego stwora, jak do człowieka.

Pankrac ogarnął z wolna łapą dookoła.

— Krzyczeli — powiedział. — To i ja.

— O... podatkach? — wyjąkał Damian.

Łeb Pankraca odkiwnął się ciężko i ponuro. Ogromna łapa wytknęła się ku Damianowi i padły słowa niezdarne jak zlepy ledwo tkniętej przez rzeźbiarza gliny:

— Gadał... wy.

IX

— Ino kiedy, radbym ja wiedzieć, kiedy? — cedził rajca Adrian podnosząc żółty łeb znad księgi rachunkowej.

Zapłaci, zaręczał Damian wymownie, zapłaci. Jak tylko wydobędzie, co mu się należy od rodziców za szkołę. Czy pan rajca nie wie, jak się każdy od płacenia wykręca? A to po niedzieli, a to jak jemu zapłacą, a to, a sio — wywodził tetryczako i nagle na widok obsuwających się pogardliwie kątów wąskich ust Adriana poczuł wzbierającą w gardzieli taką złość, że go od razu minął cały poprzedni strach. A czy to tak miało być z nim? — poderwał od jednego razu głos napastliwie. Co mu się nie naobiecowali, kiedy go tu do szkoły ciągnęli?

Rajca siedział nieruchomo z zamkniętymi oczyma i podniesionymi wysoko żółtymi brwiami. Jakby nie słysząc całego gadania Damiana wycedził otwierając oczy:

— Parobka sobie trzymacie. Na niego was stać.

— I wam on się, panie rajco, w domu także nieraz przydaje — odwarknął Damian wymijając znaczenie słów rajcy.

— Wy się już o to — zaczął Adrian ale zachrzęknął to wypatrując jakoś uważnie w bok, za Damiana.

Agata mu coś mrugnęła! — domyślił się Damian z prędkim ukośnym zerknięciem ku

gospodyni. Ale siedziała już nieruchomo ze spuszczonej oczyma.

— Nie gadam, że się nie przydaje — przeciągał Adrian z namysłem przymykając oczy.
— Hm. Co on właściwie za jeden?

— Mówiłem wam już — odburknął Damian niemal grubiańsko. — Moich pociotków parobek. Znajda. Teraz u nich bieda i głód, tom z litości wziął, żeby przeżyć przez zimę. Po chrześcijańsku to. Przygłupek, sam się nie uchowa.

— Przygłupek... Ale na to rozum ma, żeby wśród szewców i pospólstwa na Radę pomstować, he? I jeszcze pono gada, że u mnie służy i w podejrzenia niegodne u Rady mnie podaje.

Damian słuchał z rosnącym zmieszaniem. Tego się bał. Oszołomiła go myśl, że pospólstwo, które w niewytłumaczony dlań sposób dało się porwać rykom Pankraca, mogłoby w ten sam sposób torować jemu, Damianowi, drogę na ratusz. A równocześnie myślał ze strachem, że ściągnie na siebie gniew Rady, ba, prześladowanie. Trzymał więc na razie Pankraca w domu, na miasto wychodzić mu nie dawał, sam nie wiedząc co robić. No i masz. Już go Adrian na spytki bierze.

— Co taki przygłupek może gadać? — zaczął od razu znowu bardzo ugodowo i perswadująco. — I kto go tam będzie słuchał? Że u was służy miał gadać? Ii, skądżeby. A jakby już, to chyba temu, że przygłupek. Co taki wie! „Pod nosorożcem” mieszka, czasem wam coś posłuży, to mu się może zdawać, że on u was.

— Zdawać się mu może? Ale zrobić co najmniejszego na rozkazanie moje czy Agaty to mu nie łaska? Póki wy nie rozkażecie?

Chyba! — pomyślał ze złośliwą pychą Damian. Przypomniało mu się jak raz po wyjściu Pankraca usłyszał na schodach jakieś dziwne głosy, coś niby gołębie gruchanie. Gdy wyjrzał, zamajaczyło mu w mroku sieni jak od nieruchomego jak kloc Pankraca odzepiła się nagle postać białogłowska i, jakby ją zdmuchnęło, zniknęła w drzwiach Adriana. Pomyślał wtedy, że któraś z dziewczek próbowała przymilać się do Pankraca, żeby jej zrobił jakąś ciężką robotę, coś dzwignął czy przyniósł, oczywista bezskutecznie jak zawsze, jeśli on, Damian, sam nie rozkazał.

— Bo on jak ten zwierz bezrozumny — zaczął i nagle aż urwał tak osłepiła go myśl, że może to była wtedy sama Agata? — Jak pies, e... co tylko pana swego zna.

Adrian chrząkał, nieznacznie wypatrywał ku Agacie, maczał pióro w inkauscie i odkładał je.

— Wielce osobliwy jakiś ten wasz... ten znajda od pociotków. A wy tak z litości chrześcijańskiej, hm. Niech no on lepiej z szewcami i piekarzami się nie kuma. Żeby mu się, przygłupkowi, co nie przydarzyło. Żeby sam jeszcze do wieży nie trafił. A on to już na pewno nie do tej „pod dzwonem”.

Cała jątrząca się w Damianie a tłumiona strachem i ostrożnością nienawiść do tego „żółtego gada”, jak nazywał Adriana, buchnęła dopiero piekącym ogniem, kiedy wrócił do swej izdebki i przechodził myślą tę całą rozmowę z rajcą. I nie tylko do niego. Do tych wszystkich pyszałków pomiatających każdym, kto nie siedział jak oni na workach z pieniędzmi. Za garść kłaków im nie stoi wszelka uczoność i powaga. Jemu, bakałarzowi Damianowi, nie raczy taki żółty gad nawet zydła wskazać, kiedy go do siebie jak swojego parobka woła i jak z parobkiem z nim gada? Ale on im jeszcze pokaże, on im...! — zaciskał pięści krztusząc się aż nienawiścią.

Wieżę mu będzie taki groził dla Pankraca, wieżę! — zachichotał z ulgą złego tryumfu. — A niech go sobie próbują wsadzać nawet do pięciu wież! Niech no on, Damian, mruknie tylko dwa słowa Pankracowi a on już połamie gnaty wszystkim miejskim drabom, co by go chcieli brać! Ba, jeszcze i całej Radzie i Lawie może łby porozbijać! I co mu zrobią? Łeb mu utną, glinianemu kłocowi? A jakby też było, jakby mu łeb naprawdę odłupali? Pokazałoby się, że to bałwan gliniany...?

Nagle chwyciło go okrutne przerażenie. Bo jakby się pokazało, to dla niego, Damiana, wtedy — stos! Ale tu przypomniał sobie siną pręgę a potem bliznę na czole Pankracego od tego zydła, którym w niego rzucił. A jakby się naprawdę krew polała? — wzdrygnął się znowu. E, ma się też czym dręczyć!

Jemu się nad tym teraz głowić, jakby przez Pankraca skłonić pospólstwo, by jemu, Damianowi, drogę na ratusz torowało, nad tym, nad tym! Że byłoby wbrew prawu? Że on nawet obywatelstwa miejskiego nie ma? A jak było z Bernardem? Przyjechał tu pono dwa czy trzy lata przed nim, a dziś jaki z niego wielki, jaki zasiedziały rajca! Jakby od dziada, pradziada rajcował. Ba, jakby on miał takie wory z pieniędzmi jak Bernard, toby też Pankraca ani pospólstwa nie potrzebował... Ale czy nie opowiadał jeszcze nieboszczyk Urban o tym jakimś mieście nad morzem, gdzie pospólstwo wymusiło teraz gdzieś niedawno, że do Rady wzięli cechmistrza i bakałarza? I co? Musieli! A cóż to on gorszy od tamtego jakiegoś? Pewnie, trudno od razu do Rady, ale niechby naprzód do Ławy albo choćby na początek do tego trzeciego ordynku, co się go pospólstwo znowu domaga. Potem już łatwiej z niego do Ławy, a z Ławy do Rady... Ale to trza ostrożnie. Przecie Pankraca po warsztatach piekarzy i szewców i wszystkich posyłać nie może, bo zaraz wymiarkują, że to tępy bałwan. On, widno, wtedy ino dobry, jak może ryczeć w tłumie, co nic nie miarkuje ino sam wrzeszczy. A tak to jakoś wygląda, jakby i Pankrac ino wtedy skory był do ryczenia, jak naokoło wrzeszcza...

Długo się z tym wszystkim nosił. Postanawiał już i znowu się ze strachem cofał. Aż do tego spotkania na ulicy z mistrzem Piotrem. Piotr odpowiedział wtedy na jego pozdrowienie i przeszedł już — wyglądało, że nad czymś bardzo zadumany — kiedy nagle się zatrzymał i zawrócił.

— Co to — ściągał brwi niby z niedowierzającym jakimś prześmiechem — z tym tam parobkiem u was?

— O jakim zaś mówicie parobku? — zamrugnął powiekami Damian udając, oczywiście, że nie rozumie.

— Juści chyba tym, com go raz spotkał z wiadrami. On tam jest jeszcze u was czy go nie ma?

— A pląta się, pląta. Czemu go ma nie być? I co tam mistrzowi Piotrowi o takiego przygłupka?

Tamten ruszył pogardliwie ramionami. Jemu nic. Ale na mieście jakieś dziwy o nim gadają. Że przeciw Radzie pospólstwo podburza, że to on pierwszy krzyczał — co tak się wszystkim okrutnie uwidziało — żeby podatków nie płacić. Jeden głuptak przysięgał się nawet, że tamten już przed Radą musiał uciekać, ale wróci, żeby z pospólstwem Radzie do gardzieli się dobrać. On zaś, Piotr, jednemu tylko się cuduje: o kim całe to gadanie? O tym pniaku, którego on przecie widział, tym pono przygłupku, co tak wygląda jakby go Pan Bóg z gliny zaczął lepić i w połowie roboty się rozmyślił? To o n ma tu być reformatorem i hetmanem? Co się w tych łbach ludzkich nie gmatwa! Świat się kończy! Jak Rada rozpuściła bzdury wierutne o krzywym Jakubie, to to ludzi nie wzburzyło? A jak się potem do nich widocznie sama przyznała to też nie? Jeszcze się na Jakuba wykrzywiać zaczęli. A teraz tu, przed tym kłosem ręce składają bodaj jak przed świętym Piotrem przed farą!

Ruszył gniewnie ramionami, jakby rzecz była dla niego nie do pojęcia i poszedł. Ale zdziwienie poruszeniem tak zawsze pomiarkowanego w sobie medyka ledwo się na razie prześliznęło okrajem głowy Damiana.

...wygląda, jakby go Pan Bóg zaczął lepić i w połowie roboty się rozmyślił... jakby go Pan Bóg zaczął lepić... — kotłowało mu się w głowie i rozpierało z okrutną pychą. Ale potem zaczął go strach zbierać. Zwłaszcza gdy przypomniał sobie gadkę, jakoby pospólstwo spodziewało się mieć w Damianie wodza przeciw Radzie. Ten strach uspokoił się dopiero, kiedy mimo czujnego węszenia i nasłuchiwania więcej już o tym nie usłyszał. Teraz upajać go zaczęła myśl o podziwie i posłuchu, jaki Pankrac zdobył u pospólstwa. Już się przestał

dziwować, jak to możliwe a raczej niepokoiło go a nawet jakby gniewało, że ktoś, jak Piotr, mógł się temu dziwować. Ale wszystko to sprawiło, że wszelkie wahania właściwie ustąpiły. W napięciu czekał teraz już tylko na sposobność.

Nadarzyła się niedługo. Wracając raz po południu ze szkoły począł spotykać w dalszych uliczkach, w nadciągającym już marcowym zmroku, większe i mniejsze gromadki ludzi. Głowy skupiały się, czasem zrywały się jakieś groźne pomruki, błyskały złe i nienawistne spojrzenia. Co się stało, o co znów poszło, nie wiedział, nie zamierzał nawet pytać a tylko spieszył do domu. Po Pankraca.

Przykazał mu srogo:

— Masz tam iść, gdzie będą krzyczeli. Masz krzyczeć: Mądrych ludzi na ratusz! Mistrza Damiana do... Do czego? — zawahał się w myśli. — Do Ławy czy... czy od razu do Rady...? Do Rady! — zdecydował. — Niech krzyczy, żeby do Rady. Lepiej za wiele żądać niż za mało, bo jak za mało, to mogą nie dać nic.

Wyprawił go z domu, kiedy nikogo nie było na schodach i w sieniach. Sam otworzył okno i stał nasłuchując, zgorączkowany okrutnie i niecierpliw.

Było już zupełnie ciemno. W ulicze stała pustka i cisza. Raz przedrobił ją lekko, niby równy sznurek ptasich śladów, słaby stukot drewnianych trepów i przesunęła się przez ciemność smużka łukowatych wahnień latarni. Potem w ciepłym podmuchu przedwiosennego wiatru zaleciał gdzieś zza murów zapach rozmięklej ziemi i w nim na mgnienie ujrzał Damian jak żywymi oczyma podwórze ojcowskiego domu pełne takiego zapachu marcowej ziemi. Rozwiało się to zaraz, przepadło, roztopiło znów w mroku uliczek i gorączce oczekiwania, coraz niespokojniejszego.

Bo uliczki wciąż milczały, jak zawsze, jak co wieczora o tej porze. Ale teraz... teraz czy mu się zdawało, czy jakby jakieś głosy...? Znów cisza... Co to jest, czy ludzie już się rozeszli? Czy coś z Pankracem zawiodło? Nie! Krzyk! Teraz był na pewno! Jeden, kilka, teraz już wrzawa i znowu pojedyncze krzyki i — nareszcie! Nareszcie ryk, ryk Pankraca! Tak, to z pewnością jego! Powtarza widać to samo, ciągle powtarza, bo ciągle ryk w tych samych spadkach i podźwignięciach... I znowu wrzawa, nie, wycie, ale jakie! I jakby jakieś błyski przelatujące po dachach dalekich domów.

Nasłuchiwał długo, długo, cały rozdygotany. Aż w pewnej chwili wszystko prawie nagle zupełnie ucichło.

Na próżno natężał teraz słuch i wpijał się oczyma w ciemność. Wrzawa i głosy szczyły, jakby się pod ziemię zapadły. Pankrac nie wracał. Zegar kościelny bił coś raz, potem znowu. Potem jeszcze raz. Pankraca nie było. Czy się tam co stało?

Nie potrafił dłużej opanować niecierpliwości i zaniepokojenia. Zdjął cizmy i przemknąwszy się cicho przez schody i sień wykradł się na ulicę. Począł iść prędko ku tamtym niespokojnym uliczkom, Szewskiej, Garbarskiej. Nie spotykał nikogo. Dopiero na Stolarskiej minęło go biegnąc z naprzeciwka, dwu ludzi. Jeden błysnął przy tym ku twarzy Damiana latarnią dobytą z nagła spod opończy zanim Damian zdołał odwrócić głowę. Tamci raptownie się zatrzymali i Damiana doszły stłumione ich głosy.

Przyspieszył kroku, ale byli już z powrotem koło niego.

— Mistrzu Damianie...? — usłyszał zdyszany półgłos krawca Nikodema. — To wy?

Mimo woli przystanął.

— Dobrze, żeście są! — zadychiwał się Nikodem. — On przecie, ten — gadają, że Pankrac mu? — w tej opończy, com ją szył, coście mi przynieśli! Poznałem od jednego razu, że to musi ten wasz jakiś, co go odziewacie. Powiedzcie mu wy, niech ucieka! Nie czeka, ino w nogi, póki czas!

— Czemu... póki czas? — wystraszył się Damian zapominając przy tym o zwyczajnym wypieraniu się Pankraca.

— Bo przetrącił, a Bóg wie, może i ubił dwu pacholków miejskich! Uciekać mu trza!

Gadamy mu to i gadamy, a on nic!

— Co... nic? — wybąkał Damian pół bezmyślnie w popłochu przerażonych myśli.

— No nic! Stoi, patrzy się, nic nie gada!

— Sam sobie tak umyślą, co robić, czy jak? — wytrzeszczał wystraszone ślepie towarzyszy Nikodema, młody czeladnik.

— Powiedzcież mu, mistrzu Damianie wy, że uciekać mu trza, zabierać się z miasta, bo Rada ani chybi każe za nim jutro wszędy węszyć! Jeszcze mu łeb potem utną! Już my go jakoś stąd wyprawimy i przez mury, ino musi sam zechcieć! Może was prędzej usłucha. I wasza w tym skóra, jak on wasz parobek. I was się gotowi czepiać!

Już i ten gada, że mnie się czepiać będą! — podniosło się nową falą strachu w Damianie.

— Powiem mu — wybełkotał gorączkowo — juści, że powiem. Gdzie on?

Powiedli go w ciemnościach przez jakieś bramy, podwórza, schody i schodki. Stanęli wreszcie w pachnącej chlebem piwnicy. W chwiejnym świetle łuczywa zobaczył tam Pankraca w gromadzie tęgich chłopaków w fartuchach, z siekierami i drągami. Z rozdziawionymi gębami wygapiali się z nabożeństwem na Pankraca, jak z kamiennym spokojem rwał zębami ogromne kęsy z bochna chleba i wypychał sobie nimi szczelnie gębę.

Damian odgarnął ramieniem chłopaków w drugi kąt piwnicy i wskazując Pankracowi Nikodema powiedział półgłosem z rozkazującym naciskiem:

— Masz robić, co on ci każe! I miarkuj se: masz czekać na mnie, tam w lesie — mimo woli uchylił się wzrokiem przed ślepiami Pankraca — tam, gdzie już raz był ze mną... Nie jutro. Miarkuj se: noc i dzień i znowu noc i dzień, i znów noc i dzień. Wtedy.

Pankrac wetknął pieczołowicie resztę bochna pod pachę. Podniósł powoli jedną łapę i przed otwierającym na to szeroko oczy Damianem przebierał drugą ciężko po jej paluchach.

Wytknął wreszcie trzy i gębą pełną jeszcze chleba wybełkotał:

— Jak zejda trzy dni?

Damian kiwnął tylko głową. Zdumienie odjęło mu głos. Jak to, więc Pankrac już umiał l i c z y ć do trzech...? I już... już p y t a ł?

Nikodem czepiał się go niecierpliwie:

— No i co? Co? Godzi się? Chce uciekać?

Damian zamiast odpowiedzi pchnął mu w rękę idącego posłusznie Pankraca.

— Dobra! — zdecydował krawiec zgarniając ramieniem czeladników. — Sznury, kosz! — rozkazywał. Potem chwycił za ramię i pociągnął za sobą Damiana.

— Nie bawcie się i wy ino co tchu do domu! Bo gotowi go tam przyjść szukać do was.

Dobrze to przewidział. Bo nie upłynęło i dziesięciu pacierzy od chwili, kiedy Damian, znalazłszy szczęśliwie bramę domu nie zamkniętą, tak jak ją zostawił, i wśliznąwszy się nie zauważony przez nikogo do swej izby, usłyszał walenie kołatką w bramę. Zgasił czym prędzej swój łojowy kaganek i wyrztał ostrożnie przez okno. Zobaczył w uliczce błyski światła od kilku łuczyw.

Rozdział się co tchu i rzucił na tapczan. Z tłukącym się ciężko sercem słuchał głosów z sieni naprzód dalekich, potem zatrzymujących się przez długą chwilę na piętrze Adrianów, wreszcie zbliżających do drzwi.

Otwarty się od razu — odsunął przedtem rozmyślnie zasuwę — i podniesione w górę łuczywo rozmyślało blade mrok izby.

Błysnęły w nim halabardy i żelazne czepce na łbach a jeszcze za nimi mignął przez chwilę trójkątny, złoty łeb Adriana.

— Tu wasz parobek? — spytali.

— Parobek? — zapienił się Damian w gniewie, udanym ze strachu zgoła prawdziwie. — Ten zbój, ten wisielec? Żaden to mój parobek! Przybłęda z litości przygarnięty na przeżycie przez zimę! Uciekł ode mnie łotr niewdzięczny, jeszcze mnie okradł! Lekkiego chleba

chce se szukać psi syn!

X

I co teraz, co teraz?! — głowił się i dręczył Damian przez trzy dni i większą część trzech nocy. Wszystko obróciło się tak niespodziewanie. Pokazało się wprawdzie, że żaden z pacholków pobitych przez Pankraca nie umarł — jeden miał tylko ciężko rozbity łeb, drugi połamane żebra i rękę ale jasne było, że powrót Pankraca do Damiana był niemożliwy. Jeszcze przed dwoma czy więcej miesiącami byłby Damian tylko odetchnął lżej, ale teraz, kiedy zaczął wierzyć, że dzięki Pankracowi pójdzie w górę na barkach pospólstwa, uczył otwierając się z odejściem Pankraca pustkę dawnej nędzy, poniżenia i beznadziejności. Nadzieja, że pospólstwo jednak połknęło, niby ryba haczyk z robakiem, słowa Pankraca o nim, Damianie — ta nadzieja była wątpliwa. Albo to można wierzyć we wdzięczność pospólstwa? Wdzięczność...? A choćby i wdzięczność! Cóż to, nie zdiera sobie zdrowia ucząc ich dzieci? Ale licz na to! Tu trzeba czarów, tych czarów, które mogły się dziać jedynie przez Pankraca. A przy tym byłaby to już walka wręcz z Radą i to już bez osłony straszliwych barów i mięśni Pankraca... Bo pospólstwo — czy pospólstwo skore było bronić choćby krzywego Jakuba? Nie tylko go nie broniło, ale się jeszcze odwróciło od niego.

No, a z samym Pankracem — co? Co się z n i m stanie? Najniespodziewaniej przewinęło się w Damianie coś jak... aż jak zatroskanie. Aż sam ramionami nad tym ruszył. Nie ma też większego zmartwienia? Choć znowu...

Zaczęło wracać niepojęte zdumienie, że tamten kloc, ten czerep gliniany — nauczył się już l i c z y ć. I pytać, p y t a ć! „Jak zejda trzy dni?” — pytał. I bić się też nauczył bez jego, Damiana, rozkazu... Całkiem, całkiem jak prawdziwy człowiek. Nie, niech się już straci gdzie, niech się odcepi, bo już się we łbie maści od tego, co to wszystko z nim, co to jest...? Co to jest...?

Więc... niech sobie tam czeka w lesie na Damiana choćby do sądnego dnia. Sądnego? — Wzdrygnął się odganiając czym prędzej myśl o tym sądzie. Ale znowu... Jakby tak Pankrac nie doczekawszy się go wrócił sam do miasta, jak już raz? Jakby go tu złapali i wzięli na spytki, na sąd — kto wie, co on by t e r a z, t e r a z już nie zaczął gadać?

Nie, non videtur, non placet. To byłoby jeszcze gorzej. Trzeba spotkać się z nim w lesie i tam dać mu taki rozkaz pójścia sobie gdzie, żeby już nie mógł wrócić. I raz na zawsze — koniec z nim. Tak już! całkiem, c a ł k i e m koniec? A no nie ma rady innej, nie ma. Ino dokąd mu kazać tak iść?

Nie wiedział. Nie wiedział nawet, kiedy na ów czwarty dzień, korzystając z gwaru i zamętu dnia odpustowego wymknął się z miasta i szedł do owego lasu. Nie wiedział błędząc i tłukąc się po nim i gubiąc w pomysłach, w wahaniach, w niepewnościach i rosnącym, niedowierzającym długo zdumieniu, że Pankrac wciąż nie nadchodził.

Dzień mijał, słońce ruszyło już w drogę zachodnią, zapadało coraz niżej — Pankraca nie było.

Damian zrozumiał, że na nic dalsze czekanie. A przecie, idąc już z powrotem, oglądał się jeszcze długo za siebie. Na próżno, Pankrac nie przyszedł. Czyżby zawiodła, czyżby się skończyła siła czaru? Do wszystkich zagadek i niepewności dołączyła się jeszcze nowa: czemu nie zjawił się Pankrac. Co się z nim stało?

Przerwał te rozmyślenia usłyszawszy z daleka dzwon ratuszowy zapowiadający bliskie zamknięcie bram miejskich. Kiedy zdyszany dopadł do zwodzonego mostu przybramnego, zatrzasکیwano z hukiem jedną połowę bramy i w rękach pacholków miejskich zaczynały

pobrzękiwać leniwie łańcuchy i zgrzytać korby dźwigni mostowych.

Dobił się do swej strychowej izby, do p u s t e j izby, i zwałił na tapczan pół żywy.

Chciał już tylko jednego: móc zasnąć i o niczym nie myśleć.

XI

Monika zanosila się od śmiechu, skręcała w jego spazmach, piała. Piotr patrząc na nią czuł, że i jemu zaczynają już ściągać gardło skurcze śmiechu. Pół rozbawiony, pół zniecierpliwiony parsknął wreszcie:

— Ale wykrztuś-że co to było, co się stało!

— Kiedy nie mo... nie mogę! Nie mogę! — ścisnęła sobie boki. — Bo on, wiesz, ten Damian, niósł się tak uroczyście jakby na procesji trzymał jeden drążek od baldachimu, a na targowicy, wiesz, gdzie ino przeszedł, to wszyscy się za brzuchy z uciechy chwyтали i ryczeli ze śmiechu!

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Bo jemu z tyłu, od pasa, merdał się — ojej, pęknię ze śmiechu! — krowi ogon, o, taki długi, taki na czarno zagnojony!

— Krowi ogon?

— No! Żaczki, hycle, w szkole mu gdzieś przypięty, a on nic a nic nie zmiarkował, taki zadumany był czy co? Ale to jeszcze wszystko nic! Bo jeszcze się z babą przy straganie pokłócił o jajo śmierdzące a babsko, takie grube jak fasa, jak pysk na niego nie wyrze, jak go tym jajem w gębę nie chlaśnie! Nie, gadam ci, gadam, ażem się spłakała ze śmiechu — ocierała łzy — szkoda, żeś nie widział! A tobie... tobie się to nie widzi takie śmieszne?

— Ehe, pewnie, że musiało być bardzo śmieszne.

— Ale się nie bardzo śmiejesz — powiedziała z urazą.

— Bo mi tak przeszło przez głowę... Jak temu Damianowi tam było, jak się nareszcie zmiarkował, że to z n i e g o cały rynek za brzuchy się trzyma. To tak jakby stał pod pręgiem.

Wpatrzyła się w niego. Skurcz śmiechu rozplýwał się jej na twarzy jak woda.

— Kiedy bo — zaczęła i skończyła porywczo — e, ty mi zawsze uciechę zepsujesz! Krzywda mu się przecie żadna wielka nie stała — nachmurzyła się.

— Ba, krzywda. Tobie by było słodko, Monika, jakby się tak z ciebie śmiał cały rynek?

— Nie gadaj! — krzyknęła spluwając prędko trzy razy.

— A widzisz.

Siedzieli w ogrodzie za domem. Wieczór był cichy, złotawoczarny, słodki od zapachu rozkwitających lip.

— A jeszcze miarkuj sobie — zaczął po chwili Piotr — że nie tak dawno temu pospólstwo pono krzycało, że on powinien siedzieć w Ławie czy zgoła w Radzie.

— Jeszcze by też tego brakowało — odeła się niechętnie. — Patrzcie się go: taki głąb! A ty to nie, tylko on?

— Głąb nie głąb, ale nie o to teraz, ino że się tym bardziej musiał czuć pohańbiony. Ale powiem ci, że to jeszcze jedna rzecz, co mi się ani rusz we łbie nie chce mieścić: skąd pospólstwu przyszło, że to on właśnie ma bronić ich spraw na ratuszu? Jego całe pospólstwo tyle właśnie obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Tylko się na niego popatrzeć, jak się wlecze ulicą, niby taki kościsty drał a przygarbiony, prawie obdarty, z nosem ku ziemi.

— Ej, dziś na rynku, to szedł z nosem bardzo zadartym. I to właśnie było takie śmieszne przy tym krowim ogonie! — broniła energicznie swej niedawnej wesołości.

— Może tym zadartym nosem tak nadrabia czasem. Na rynku. Bo zwyczajnie to tak wygląda, przynajmniej teraz, jakby go nie ciekawiło ani nie obchodziło zgoła nic, co się naokoło dzieje. Jego tylko jedno zawsze jątrzy: że on pokrzywdzony i upośledzony.

— A mnie Brygida mówiła — zaciekała się — że to ten jego parobek jakiś — Pankrac mu było czy jak? — co pospółstwo buntował i potem uciekł, że on za nim tak wśród pospółstwa gardłował?

Ruszył ramionami.

— Jak ten pniak mógł kogo do czego przekonywać, to też nie na mój rozum. Ale koniec końców pospółstwo się trochę uspokoiło czy też burzy się po cichu i nie tak jawnie, ale o Damianie już nikt nie gada. No a w Radzie, to ho! — jak tam na niego koso patrzą. Przez to, że on Pankraca u siebie trzymał. Ino czemu mnie łągał o Pankracu, że to pacholek Adrianowy? Też nijak mi pojąć. To może go to wszystko teraz tak żre, bo od jakiegoś czasu taki chodzi jakby się miał ochotę topić albo wieszać. Aż patrzeć nieswojo. Bo chyba nie za tym Pankracem tak sumuje?

Siedzieli długą chwilę w milczeniu. Gdzieś cicho grał świerszcz.

— O czym ty tak myślisz i myślisz? — zaczęła Monika podejrzliwie. — O tym, że ja się śmiałam z Damiana?

— E, tam — machnął ręką. — Myślę o tych ranach, com je wczoraj opatrywał. Bo żeby trzy razy zawsze takie same rany? Ci dwaj teraz mieli takie, ten zabity obcy kupiec przed miesiącem...

— A mówisz, że kupiec miał rozbitą głowę?

— Bo miał, ale to tym dziwniejsze, że oprócz rozwalonej głowy miał jeszcze i taką ranę i on, i ci dwaj zabici, których nasamprzód napadł ten jakiś czy ci jacyś. Tamci też mieli łby pomiażdżone, ale oprócz tego wszyscy tu, w środku piersi, jakby wydartą dziurę, skórę i dobry kęs mięśnia. Czym to można było zadać taką ranę?

— A co oni gadają ci dwaj z wczoraj? Przecie coś muszą wiedzieć.

— Niczego się od nich nie dowiedzieć. Noc była, powiadają, drzemali obaj na wozie, raptem usłyszeli śmiertelny kwik konia, szarpnięcie wozu i jeden, że mu coś łeb rozsadza, drugi, że go ktoś dławi i obaj stracili przytomność. A te rany poczuli dopiero, jak się ocknęli.

Załamana ręce, krzyknęła:

— Żeby pod samym miastem tak rozbijali i zabijali od miesięcy i nikt ze zbójami nie skończył, to coś okropnego! Teraz jak gdzie za miasto jedziesz, to ja cały dzień ledwom żywa ze strachu.

— Jak dotąd to oni tylko na kupieckie wozy napadali. No i wyprawiała Rada na nich pacholeków miejskich, tylko że bez skutku. Wczoraj też poszli. Może ich złapią. Ale to chytre jakieś zbóje, głowacze, nie byle jakie paroby czy lancknechty i niełatwa z nimi sprawa. Ostatnim razem, przed miesiącem, konie i wóz tego zabitego kupca potrafili tak uprzętać, że i śladów na drodze nie zostało. Jakby się w ziemię wszystko zapadło. Na rękach przenieśli czy jak? Trupa kupca też do rzeki cisnęli, ale woda wyrzuciła. Jak on miał dziwnie ten łeb rozbity!

— Piotrze — zaczęła i zawahała się. Łypnęła na niego niepewnie i skończyła nieśmiało: — A może... może to jaka nieczysta siła?

— Brudna na pewne — zauważył z humorem, ale zaraz zamyślił się głęboko. Mruknął:

— Jakby próbować zaszyć?

— Zbójów? — pochwyciła żarliwie.

Roześmiał się.

— Nie, rany.

Tupnęła ze złością.

— Mnie o to, jak zbójów wytłuc a ty tylko o ranach i rozbitych łbach! Zabitym już nie pomożesz! Wieczne odpoczywanie im i już!

Nie odezwał się. Widziała, jak natężone myślenie marszczyło mu czoło i jak przygryzał mocno dolną wargę. Znak nieomylny, że myślał o swoich chorych i ich chorobach. Przeczekała póki nie podniósł głowy jak po powzięciu decyzji.

— Piotrze — zaczęła.

— Hm?

— Co to właściwie „wiecznie”? Jak to jest, jak jest „wiecznie”? Jak to wyrozumieć? Czy to tak jakoś jak... jak te gwiazdy? — wytknęła palcem.

— Myślisz, że ja wiem? — powiedział z głębokim zastanowieniem. — Sam nieraz się głowiłem. Jakże to tak zawsze i zawsze, i zawsze, i zawsze i nigdy temu końca? I skąd to się wzięło w ludzkich głowach, jak człowiekowi tego nie wyrozumieć?

— Właśnie! Skąd? Chyba Pan Bóg tak dał?

— Uhum — mruknął nijako.

— Co „Uhum”? Co nic nie gadasz?

— Bo nie wiem — powiedział wymijająco. Myślał zresztą już o swoich rannych i o tym, że trzeba zajrzeć do nich, zanim jeszcze pójdzie do burmistrza, który go przez przysłanego niedawno pacholka przyzywał do siebie na rano.

Od rannych nie dowiedział się jednak na drugi dzień niczego. Jeden był ciągle nieprzytomny, drugi po niespokojnej nocy zasnął niedawno, nie chciał go więc budzić. Wiadomości, jakie w przechodzie usłyszał o wyniku wyprawy na nieuchwytnych zbójów, były również tak mętne i sprzeczne, że machnął na nie ręką.

Był cudowny poranek. Rynek, niemal zupełnie bezludny, leżał jeszcze w rzeźkim, wczesnym chłodziu. Na kamiennej ławie przed ratuszową bramą siedzieli jacyś ludzie, ale twarze ich zasłaniał postawny strojniś zwrócony tyłem do zbliżającego się Piotra. Nietrudno było jednak poznać w nim rajcę Bernarda. Z aktorską płynnością wywodził właśnie swym stale dowcipkującym i przekpiwającym głosem coś, z czego Piotr słyszał już tylko:

— ...ale taki filozof, taki Awicenna i Galenus w jednej osobie, on to oczywiście musi wiedzieć lepiej, on przecie w ogóle wszystko lepiej wie!

— O to, to! — przytaknął spoza niego ze skwapliwą jadowitością skrzeczący głos rajcy Adriana.

Ejże — przeleciało Piotrowi przez głowę — czy to nie o mnie...? — Poczuł, że robi mu się ciepło.

W tej chwili Bernard oglądął się. Jego nagłe zmieszanie upewniło Piotra w domyśle. Ale tamten już się opanował. Z dobrze udaną kordialnością wyciągał ramiona ku Piotrowi.

— A, nasz miły medyk! Witajcie, mistrzu Piotrze! Właśnie tu obrabiamy waszego niefortunnego Charona, z którym macie tyle kłopotów.

— Charona? — zdziwił się grzecznie Piotr witając się z rajcami i udając, że nie spostrzega załganej miny Adriana ani zakłopotanej, zalanej tłuszczem gęby jego sąsiada, rajcy zwanego powszechnie „Czarnym Pawłem”.

— Oczywiście że Charona! — dowcipkował usilnie Bernard. — Jeżeli lekarz jest Merkuriuszem, co dusze prowadzi do Orku, to aptekarz chyba jego Charonem, co? Nie zgadzacie się, mistrzu Piotrze?

Aha — błysnęło Piotrowi — tak to wykręcił.

Szukał jakiejś odpowiedzi nie zdradzającej zaskoczenia i przykrości, ale od kłopotu wybawił go rajca Paweł najniespodziewaniej obruszając się na słowa Bernarda:

— Wy, kmotrze Bernardzie, nic tylko o tych pogańskich jakichś diabłach! Obraza boska tylko z tego, tfu!

— Nie trąpcie się tym, kmotrze Pawle — uspokajał go Bernard rzucając Piotrowi porozumiewawczo drwiące spojrzenia — te diabły już nie niebezpieczne a zresztą nasz Awicenna-Dominik, bo ja tak zawsze nazywam naszego pigularza — zwracał się objaśniająco do Piotra — on tam już pewnie i na nich ma jakąś odtrutkę. Może z gnatów czarownic

albo ze spróchniałej beczki ze skisłego piwka, co, mistrzu Piotrze?

Rajca Paweł splunął raz jeszcze i prędko się przeżegnał. Piotr uśmiechając się chłodno i nic nie mówiąc kierował się do bramy ratusza, ale Bernard go zatrzymał.

— A gdzież wam tak spieszo, mistrzu Piotrze? Po nowiny o zbójcach?

— Niewiele tu do słuchania.

— Z niczym pachoty, oczywista, wróciły — konkludował z kpinami Bernard. — Czyście kiedy słyszeli, żeby te darmozjady...

— Przy kuflach gdzieś pod wiechą siedzieli — sapał Paweł — a nie za zbójcami chodzili. Wszystko takie rządy w mieście!

Adrian chrząknął mocno raz i drugi. Ale rozsierzony Paweł nie zważał na to. Buczał dalej, że nie dziwota! Jak pospólstwu zaczyna być wszystko wolno, to i pachotki miejskie robią, co chcą. Wiedzą, że jak z pustymi rękami wrócą, to Szymon —

— ...tylko się spyta — wpadł mu Bernard — czy im piwko pod wiechą smakowało? Co, kmotrze Pawle?

— Ale jak moje konie i wóz, i wasze kmotrze

Adrianie, stały trochę na miejskiej stajni i skubnęły gdzieś czasem miejskiego obroku a nikczemne pospólstwo teraz o to wrzask robi, to burmistrz zaraz: a trzeba zabrać konie, kmotrze Pawle, a pospólstwo pyskuje, a nie trza ich drażnić — tfu!

Ładne „trochę” — pomyślał Piotr. — Stoją tam od dwu lat.

— Do mnie przecie on znowu z tym, że mój wuj w miejskim młynie za wielkie odsypki bierze za przemiał. Ale że pociotek Szymonowej naprawy murów pod basztą kowalską nijak nie może skończyć, ale sobie drugą kamieniczkę już kończy, to naszemu burmistrzowi nie dziwne?

— A teraz jeszcze z tymi wygintywrami! — pienił się Paweł. — Pospólstwu się zachciało, to dać im zaraz! Że przywilej mieli kiedyś! Gdzie ten przywilej? Niech go pokażą pyskacze!

— Juści! Niech pokażą! — zadrwił Bernard.

Adrian wstrząsnął się demonstracyjnie i wstał z ławy.

— Chłodno tu jakoś, e... I iść mi trzeba. Idzicie, kmotrze Pawle?

Bernard patrzył drwiąco za odchodzącymi.

— „Wygintywry” powiada... Ma nasze miasto senatorów, ma, co, mistrzu Piotrze? Niczym owi rzymscy.

Przekorna irytacja, jaką w Piotrze budziło stałe wykpiwanie wszystkich przez Bernarda, kazała mu odpowiedzieć:

— Myślicie, że oni — omal nie wymknęło mu się: także nie brali za wielkich odsypek? — ale powiedział tylko: ...nie budowali własnych kamieniczek z kamienia na naprawę murów?

— Rzymianie? — zdumiał się Bernard ze zgorszeniem.

— Tacy sami ludzie jak my.

— No chyba jak wy! — zadrwił z nie ukrywaną irytacją Bernard.

Piotr poczuł, że i jemu krew napływa do głowy.

— I jak wy, panie rajco, i jak wy — powiedział z wysiłonym ściszeniem głosu.

Cała wytworność Bernarda przepadła od razu w grubiaństwie jego tonu.

— E, co ja mam z wami gadać! Nie czytaliście, widzę, zgoła rzymskich pisarzy.

— Trochę tam czytałem. Ale ludzie są zawsze tylko ludźmi.

Bernard opanował się. Coś mruknął, że musi doglądnąć wyładunku sukna. Wczoraj dostał z Brugii. Dotknął palcem kapelusza, cofnął się nagle przed przebiegającym drogę kotem i poszedł — inną uliczką...

Z leków Dominika sobie dworuje, przynajmniej przy mnie — uśmiechał się Piotr wchodząc do ratusza — ale przed kotem zawraca. Mąż uczony, co z takim prostakiem jak ja gadać

nie chce.

Burmistrza znalazł wielce frasobliwego.

— Więc to i wy powiadacie, mistrzu Piotrze — wzdychał ciężko — że znów takie same dziwne rany? Właściem chciał jeszcze, od was usłyszeć. Jakby od tej samej ręki, co, jak myślicie? Ani chybi od tej samej. Od trzech miesięcy już tak rozbija i ani go dopaść. I straty dla miasta i despekt. Zaraz się nazywa: Rada winna. Jakże tak: w podmiejskim naszym lesie? A i tak nie jest dobrze. Pospółstwo coraz zuchwalsze. Przez zbójów oni najmniej cierpią, bo zbójce ino za worami z dukatami węszyli — i umieli je też wywęszyć! A z pospółstwa tyle że pachotka czy koniucha ubili. Ale krzykaczom w to graj. A i podatków zaczynają naprawdę nie płacić. I o tych wygintywirów. Przywrócić im wygintywirów! — rozkładał ręce, zafrasowany. — Wczoraj znowu byli z tym u mnie starsi cechowi. Nic, tylko że jest taki przywilej i jest taki przywilej.

— No, ale to tylko gadanie o tym przywileju? — chytrze niby to zlekceważył Piotr.

Brązowa twarz Szymona pociemniała jeszcze mocniej. Kilkakroć otwierał usta i znów odwracał głowę. Nie wytrzymał.

— Ja wam powiem, mistrzu Piotrze — powiedział konfidencyjnym półgłosem nachylając się ku Piotrowi — wyście przecie — niech oni tam sobie, co chcą gadają! — machnął dłonią ku sali posiedzeń Rady — wyście swój człowiek. Ja to dobrze wiem. Taki przywilej jest.

— Ejże?

— Jest — przymykał Szymon potwierdzająco oczy — ale wy! — Przestraszył się i kładąc znacząco palec na wargach skończył: — Ja tylko do was to.

— No, ale Rada wie?

Szymon machnął ręką.

— Ba, pytacie! Wszyscy wiemy. Pergamin tu, w tej skrzyni — wskazał. — Gadało się ino tak, że się zgubił, bo od kiedy to już Rada ich nie zwoływała! Za mojej i waszej pamięci już ich nie bywało. Ale pergamin jest, co prawda, to prawda. — Zawahał się a potem dodał niepewnie rzucając pytające spojrzenia na Piotra. — Ja wam nawet powiem, ale! — położył znów palec na wargach — że ja bym się już zgodził. Oni nie chcą — skinął znów ręką ku sali Rady. — Co prawda nie wszyscy. Bernard powiada: zgodzić się, ale tak to obwarować, aby to był tylko pozór. A Adrian znowu nie i nie. Daj im palec, powiada, to zaraz za całą garść chwyć. A ja sobie myślę, że jakby starszym takich wygintywirów był na ten przykład... no choćby i ten krzywy Jakub, to jakoś by my się może dogadali.

Piotr zdumiał się. Ale to zdumienie rozplywało się już w nagłym przypomnieniu. Oto przed kilku dniami wracając późnym wieczorem od chorego zobaczył człowieka, widocznie chyłkiem i z ostrożnym oglądaniem wymykającego się z bramy domu burmistrza. Sylwetka zdała mu się podobna do krzywego Jakuba, ale zbył to pomyśleniem, że skądżeby buntowniczy Jakub od burmistrza!

— Co? A wy co myślicie, mistrzu Piotrze? — dopytywał się niespokojnie Szymon.

— Nie znam się na tych sprawach — odmruknął wymijająco. — Tylkom się trochę zdziwił, że właśnie Jakub. Pospółstwo wołało pono raczej o tego bakalarza, Damiana.

— Tego, co zbója u siebie jakiegoś trzymał? — odzyskał od razu energię burmistrz. — Niech Bogu dziękuje, żeśmy go z miasta nie wyświecili. — Zawahał się a potem mruknął: — Co prawda, to nie mieliśmy nikogo inszego do szkoły. Z tych dwu, co się trafiali, jednemu taki obwieś patrzył z gęby, że się człowiek za mieszek chwycił, a drugiego we wszystkich karczmach znali na dwadzieścia mil naokoło. Ten Damian przynajmniej nie pijanica.

Bo nie może, nie może pić — chciał powiedzieć Piotr, ale się ugryzł w język. A niech mu tam burmistrz zaliczy to raczej na rachunek cnoty niż kiepskiego żołądka czy kiszek. Hm, ten burmistrz dzisiaj... Byłem dla niego tym Midasowym dołkiem w ziemi, któremu musiał się zwierzyć z sekretami, urzędu — myślał Piotr wychodząc z ratusza.

XII

Nad miastem rozpinął się suchy, pachnący kurzawą, letni upał. Po kamieniach rynku kroczyły z powagą gruchające gołębie.

Damian zbudził się, poderwał gorączkowo i usiadł na tapczanie. Miał coś przecie robić, zaraz, w tej chwili, bez zwłoki...

Nocna ciemność izby ledwo, ledwo poczyniała szarzeć. Oprzytomniał. Przecież Serwacy, Serwacy! Trzeba go kończyć, spieszyć się, nie tracić czasu!

Ale było jeszcze za ciemno na robotę a kaganka już się świecić nie opłacało. Za chwilę się rozjaśni.

Siedział z podciągniętymi pod brodę kolanami. Myślał. Serwacy! Trzeba go kończyć czym prędzej, czym prędzej! Być znowu kimś, móc znowu komuś rozkazywać, znowu czuć choćby tę tajoną z konieczności ale mściwą radość, że od nich wszystkich tu naokoło większy, że ma w ręku moc, taką moc! Że wszystkie upokorzenia, cała poniewierka, nienawistne mu, drwiące czy nie widzące go gęby naokoło, że on to wszystko ma w rzyci, że jeśli zechce, to on im może pokazać, może im takie sztuczki pokazać, że się będą dławić własnym strachem!

Jak to właściwie długo było tej poniewierki teraz, od odejścia Pankraca? Chyba rok? Nie, więcej! Teraz gdzieś będzie akuratnie rok, jak był ten ostatni zbójcecki napad pod miastem. Tak, to już było lato wtedy.

Te napady...

Nie, to niemożliwe, żeby to był Pankrac. Po raz tysięczny odrzucał tę ciągle przecież natrętnie przyczołgującą się myśl. Pewnie, ta nieludzka siła, o której krążyła wystraszona wieść i te rany na piersiach, te rany!... Akurat w tym miejscu, gdzie Pankracy miał kiedyś włożony znak...

Damian nie potrafiłby powiedzieć, co za związek mogłoby to mieć ze sobą, a przecie myśl o ranach przywoływała niechybnie myśl o znaku Pankraca. Niechybnie, choć — ruszał ze złością sam na siebie ramionami — choć ślepy musiałyby zobaczyć, że zbój był nie tylko dziką, lecz także jakąś okrutnie chytrą i przebiegłą bestią, głowaczem kutym na cztery nogi. Skądże to tego Pankracowi, temu tępemu pniakowi, glinianemu czerepowi! I jak w ogóle taki może sobie sam, tam gdzieś w świecie, dawać radę bez niego, bez Damiana? I jak to możliwe, żeby taki odszedł i gdzieś chodził sam po świecie? Nie, nad tym jak możliwe, głowić się nie będzie, to sobie przecie poprzysiągł wiele razy. Zwariować mu nie ochota. Jak możliwe, tak możliwe. Abo to jedno w życiu takie?

Więc teraz Serwacy, Serwacy!

Spostrzegł, że w izbie się już rozwidniło i począł się zbierać gorączkowo. Juści, były i kłopoty z tamtym, z Pankracem, były, i był przede wszystkim ten strach, ten, wieczny przed nim strach! No ale z tamtym wszystko się zrobiło tak właściwie niespodzianie, bez obmyślenia, bez przygotowania. Teraz on wszystko z góry już se obmyślił, od przyodziewy dla tego nowego do imienia. Tak, Serwacy mu będzie, Serwacy, że niby ma być tylko pokorny jak servus, jak niewolnik. I nie będzie już straszył ludzi i zwracał uwagi nieludzką mordą jak Pankrac, nie. Od zimy się przecie wprawiał w rzeźbienie gąb i przypominał sobie sekrety i nauki wuja Łukasza. Czy nawet jeszcze od jesieni? Od kiedy mu to właściwie ta myśl przysła, żeby w miejsce Pankraca zrobić drugiego takiego?

Nie mógł sobie już dokładnie przypomnieć. Ale błąkać się poczęła ta myśl w głowie chyba niedługo po zniknięciu Pankraca. Jak tylko zrozumiał, że Pankrac nie wróci. I jak wytchnął trochę po strachu, po strachu i przed Pankracem, i strachu po jego ucieczce. Po strachu przed Radą i przed tym, by go pospółstwo nie zaczęło kompromitować okazywaniem zbyt-

nich afektów, że to niby Pankrac u niego... Strach o t o — pomyślał z jeszcze jednym napływem goryczy i zawodu — był niepotrzebny, doprawdy zgoła niepotrzebny. Nikt z pospólstwa już się na niego nawet nie oglądał. Chyba z przekpinami. Nawet ten Nikodem i słowem nie pisał o mistrzu Damianie jak do restytuowanego ordynku wigintywirów Rada ludzi wybierała. No i ma tam teraz pospólstwo za swojego trybuna zamiast niego krzywego Jakuba, który nie wiadomo jak i kiedy z Radą się zwąchał i teraz jej jak kundel w oczy tylko patrzy. Dobrze im tak, optime, magnifice! Zasłużyli za swą niewdzięczność wobec niego, Damiana! Nagryzł on się dobrze, nagryzł tym, że go nawet do tych wigintywirów nie wzięli. Do kufla nawet na pociechę jał zaglądać, ino że się od tego ciężko pochorował, to i przestać musiał. Może i od tego czasu najbardziej się ta myśl o Serwacym rozrastać w nim zaczęła, choć ją z początku ze strachu odpychał. Ale potem już nie wydolił. Zaczęła być silniejsza od wszystkiego. No i teraz Serwacy. Nie, tego się już nie będzie potrzebował bać, myślał przemierzając po raz tysięczny oczyma chudą, drobną, małą figurkę przed sobą. Nie, wozu z błota ten nie wyciągnie, pewnikiem nie, ale już on pożytek i z tego cherlaka będzie miał. Będzie miał, bo go wyuczy wszystkiego, co będzie trzeba, wyuczy teraz, skoro wie, że i jak to można. Już tak robi, że Serwacy będzie miał dobrą głowę, ho-ho! Ba, nawet zrobił mu ją trochę za dużą, ale to nic, niech już taka zostanie.

Pracował gorączkowo. Nauczony doświadczeniem wykończył już drobiazgowo wszystkie szczegóły. Teraz, kiedy patrzył na to swoje dzieło, drapieżna, nie zaznana nigdy w życiu radość ponosiła go i rozpiezała. Radość i pycha. Czymże wobec niego ten tłum ludzki dokoła, co ośmielał się go przekpiwać?

— Wszystko masz takie, mój synu, jak prawdziwy człowiek — przemawiał do tamtego niby do żywego i chichotał. — Przyrodzenie też. A nawet tęgie ci je uczyniłem, żebyś się lepiej bawił na tym świecie.

Była niedziela. Do szkoły nie potrzebował iść. Niedługo Adrianowie pójda do kościoła, dziewczki i parobek też, on zostanie sam. A wtedy...

Jakoż niedługo usłyszał głosy na piętrze Adrianów, kroki, trzask bramy. Więc teraz — teraz ta chwila, wobec której serce jak młotem zaczyna walić i oddechu piersiom za mało. Chwila wetknięcia znaku... Trwożny odskok. Czekanie. Chwila-wieczność...

Nic. Cisza — pustka — martwota...

Ale oto — drgnienie przeszło przez tamte szare powieki i w Damianie serce zamarło a potem buchnęło w nieludzkiej obłąkanej radości. Drgnienie jedno, drugie. Z wolna, z wolna rozchyliły się powieki w wąską, rozciętą szparę. Znowu zapadły. I znowu jęły dźwigać z trudem, z tępym, twardym wysiłkiem. Szerzej, coraz szerzej. Aż się otwały całkiem. Błede, nieme, tępe oczy spojrzwały na Damiana.

Z krzykiem i płaczem szczęścia rzucił się Damian ku niemu. W ramiona go chwycił, ścisnął, płakał. Tamten trwał sztywny, nieporuszony.

— Chodź! — krzyknął Damian odskakując wstecz.

Stuknął wolny-powolny wahający się kroczek jeden, drugi, jeden — drugi. A potem, ciągle sztywno, drobno, niby na teatrum łątek w budzie jarmarcznych kuglarzy, ale coraz już sprawniej, coraz lżej zastukały te kroki w izbie przed Damianem cofającym się tyłem przed nimi niby przed dzieckiem, które się uczy i zachęca do chodzenia.

— Stań! Siądź! Połóż się! — wykrzykiwał Damian, odruchowo pokazując nakazywane ruchy i aż rechotał z radości na widok coraz większej szybkości i sprawności, z jaką Serwacy powtarzał i wykonywał każde poruszenie.

— Masz! — krzyknął w porywie zachwytu i wdzięczności chwytając ze stołu i wtykając w drobne ręce Serwacego kawał jęczmiennego placeka. — Jedz, o, tak!

Stwór stał chwilę nieruchomy. Potem nie spuszczać oczu z dłoni Damiana podniósł placek do ust. Trafił w nie już za drugim razem. Powoli ruszał szczękami, oczy zaokrąglały mu się coraz bardziej. Łyknął, znieruchomiał znowu a potem przewrócił oczyma. Wytrze-

szczył je znów na Damiana.

— Przecie on już patrzy bardziej po... po ludzku! — stwierdził w myśli Damian i serce zalał mu jeszcze większy podziw dla siebie i swojego dzieła.

— Czekajcie! — krzyknął grożąc widnym przez okno dachom miasta. — Ja wam jeszcze pokażę!

XIII

Co to jest, że to się tak długo nie chce goić? — krzywił się Damian z trudem usiłując przy pomocy łokcia otworzyć od sieni drzwi swej izby i mimo woli oglądając przy tym opuchły i zaropiały palec prawej ręki. Zdawałoby się nic: drzazga wbita pod paznokiec, co prawda gdzieś przekłucie głęboko. A ani przez to uchwycić co ręką.

Jadziło się to tak już dobrych kilkanaście dni. Rankiem wtedy wychodząc do szkoły spostrzegł się, że poprzedniego wieczora zapomniał wyjąć Serwacemu znak. Zdarzało się to już kilka razy a nawet coraz częściej. A można było zapominać, bo też udał mu się ten Serwacy, udał! — myślał o tym z coraz większą pychą Damian. To nie tak jak tamten potworzysko, Pankrac. Tamtego by się pewnie nie dało za rok wyuczyć tego wszystkiego, czego on Serwacego wyuczył za kilka tygodni. Jak to było, że tamtemu czasem — zwłaszcza pod koniec — trza było rozkaz i trzy razy powtórzyć, a temu to niemal mrugnąć wystarczy?

Jak to było, nie chciał zresztą Damian rozważać. Raz na zawsze. Dość, że można było aż czasem zapomnieć, kto to. Widziało się: zwyczajny człowiek na ławie siedzi, po izbie się krząta. I może to właśnie dlatego — choć krzątał się zawsze tylko tak, jak mu się raz kazało i pokazało — może dlatego była w człowieku ta jakaś niepewność czy stwór nie zrobi czego nieoczekiwanego i dlatego nie lubił Damian zostawiać go ożywionego na czas swej nieobecności.

Tamtego zatem ranka wsuwając śpiącemu posłusznie Serwacemu za pazuchę dłoń, aby wyciągnąć znak, syknął aż Damian z bólu i szarpnął wstecz rękę. Za paznokciem głęboko siedziała ta drzazga: ani chybi musiała tkwić gdzieś w zgrzebnej koszuli Serwacego. Bardzo mu niewygodnie było wyciągać znak lewą ręką. Tak trudno go było jakoś uchwycić. Osobliwy jednak traf zdarzył, że na drugi czy trzeci dzień potem rozciął sobie niebezpiecznie palec lewej ręki na pasku ostrej jak nóż blachy przy zasuwie u drzwi. Zdziwiło go, że nigdy tej blachy dotąd nie zauważył. Jeszcze dziwniejsze było, że i to skaleczenie goiło się bardzo powoli i opornie. Przeszło mu nawet raz i drugi przez głowę, aby pójść z tym do Piotra. Ale zaraz podnosił się w nim przeciw temu uparty jakiś opór. Od pewnego czasu czuł rosnącą w sobie niechęć do medyka i do stykania się z nim. Zaniechał jednak wyciągania znaku. Póki mu się palec całkiem nie wygoją.

Ale choć mu one bardzo utrudniały wszelkie czynności a zwłaszcza wymierzanie żakom w szkole plag, co było z wielkim uszczerbkiem nauki i wychowania, to przecie jakże inaczej nosił się teraz Damian po mieście! Miarkował to czasem sam po zaskoczonych jakby jego widokiem gębach ludzi, po tym jak rozplywały się w nich w zdumieniu zwyczajne drwiny czy lekceważenia. Dodawało mu to jeszcze pewności siebie i animuszu. Dopiero tu, przy otwieraniu drzwi, bolące palce przypominały się natrętnie.

Otworzył drzwi nareszcie i wszedł. Pierwszą rzeczą, którą jego oczy napotkały, było szybkie, zaraz uciekające łypnięcie Serwacego siedzącego posłusznie i nieruchomo przy stole. W izbie było niby wszystko jak zawsze: zagracony niechlujnie stół, zarzucony łachami tapczan, żelazny trójnóg z brudnym na nim garnkiem w palenisku komina, a przecie od pierwszej niemal chwili po wejściu miał Damian dziwne wrażenie, że coś tu było i n a c z e j

niż zwykle. Począł się uważnie rozglądać. Czy stół nie był jednak trochę bardziej odsunięty od tapczanu? A i ławy na tapczanie jakby zmierzwiłone trochę inaczej niż zwykle...

Podrapał się po łbie. Jednak jakoś nieswojo było zostawiać w izbie Serwacego samego, z nie wyjętym znakiem. A nużby tak ogień zapuścił kiedy? Bo teraz spostrzegł Damian, że w palenisku dychał jeszcze pod popiołem błady żar. Trzymałby się tak od rana?

Ale co z Serwacym zrobić? A jakby — stuknął się raptem w głowę — jakby go tak brać ze sobą do szkoły? Posadzić go osobno w kącie, daleko od innych i kazać tam cicho siedzieć a tylko się wszystkiemu przypatrywać? O, przypatrywać! Żaczkom powie, że to jego, Damiana, „locatus” czy „prowizor”, który ma tylko na nich bez przerwy mieć oko i potem o wszystkich ich psich figlach dokładnie jemu, mistrzowi Damianowi, opowie. No a on zrobi już z takimi obrachunek. To może być jeden postrach więcej na tych psich synów! I — magnifice! — do różgi będzie pomocnik! Choć co on tam tym chudym piszczelem usiecze... Ba, może za to bić dłużej. Zamiast dziesięciu plag, piętnaście albo dwadzieścia. A najważniejsze: ten się z małymi łotrami nie zwącha! Tego sobie oni nie skaptują ani nie przekupią, oho, nie!

Zatarł aż ręce z uciechy. Z uciechy i rosnącego podziwu dla siebie samego. I takiego to męża sławetna Rada nawet do wigintiwirów wziąć nie raczyła! A barany z pospólstwa zamiast niego przystały na krzywego Jakuba? Czekajcież, jeszcze zobaczycie!

Tak, będzie zabierał Serwacego do szkoły. Zdziwić się nikt nie zdziwi. Ma pomocnika, lokata. Swojego pociotka. Tak go zresztą już Adrianowi sprezentował. A to sprezentowanie! O nim też myślał z podziwem dla siebie samego. I za swoje dzieło: Serwacego, i za własną przemyślną głowę.

Po historii z Pankracem wprowadzenie tego nowego domownika nie było łatwe ani proste. Przy wyciąganiu wozów z błota i rąbaniu drew nie pomógłby Serwacy tak jak Pankrac. Tu trza było iść pokorą. Tak też wszystko obmyślił Damian i Serwacemu nakazał. I Serwacy rozkazania najdokładniej wykonał. Adriana za kolana tak pokornie podjął, że aż żółty gad zaakceptował nowego domownika łaskawym milczeniem, Agata zaś...

Tego Damian nie mógł sobie przypomnieć bez łaskotliwego prychnięcia. Bo to podjęcie jej za kolana przez Serwacego tak jakoś wypadło, że aż się wiedźma gwałtownie cofnęła i na gębie cała szczerwieniła. Dobrze, że żółty gad właśnie nie patrzył...

Żaczki przyjęły pojawienie się Damiana z Serwacym z otwartymi gębami i podejrziwym milczeniem. A kiedy usłyszały do jakiej to roli nowy przybysz jest przeznaczony, zerkać ku niemu poczęły spode łba ślepiami młodych wilczków. Damian rósł raz jeszcze w poczuciu własnej mocy i przemyślności widząc jak nieruchoma, pozbawiona wszelkiego śladu niepewności czy zakłopotania twarz Serwacego najwidoczniej onieśmielała bandę dzieci i poskramiała.

Czekał niecierpliwie na sposobność wypróbowania ręki Serwacego. Kiedy więc syn ławnika, mały Jaś, na nagłe i podstępnie rzucone pytanie o wyjątki z wyjątków rodzajowych trzeciej deklinacji utknął zaskoczony, potem rozpędził się powtarzając ostatnie własne słowa i znowu ugrzązł w przerażonym milczeniu, Damian nie chcąc zostawić mu możliwości oprzytomnienia czym prędzej rozkazał pouczonemu uprzednio dokładnie Serwacemu:

— Quinque plagas!

Starając się nie zwracać uwagi na rozpaczliwe wrzaski chłopca obserwował zachłannie Serwacego. Tamten brał się do roboty z początku jeszcze niesprawnie, różgę na chłopcu złamał już za drugim uderzeniem. Ale za następnym razem poradził sobie już znacznie sprawniej z zuchwałym, rzucającym się i kopiającym Domkiem.

Nie, udał się, nad podziw się udał! Certius certo, verius vero — myślał z pychą Damian, gdy wracali obaj do domu. I w przystępie tej rozpierającej go uciechy mrugnął do Serwacego, gdy zamknęły się za nimi drzwi izby, niby do żywego ucznia:

— Quot sunt verborum coniugationes, he? Dic mi... — ale „puer” uwięzło mu w gardle. Bo oto Serwacy odwrócił się doń od razu twarzą, wyprostował i głosem i intonacją grzeczne-

go Pawełka zaczął bez wahania recytować:

— Verborum coniugationes sunt quattuor, quorum prima est verborum...

Damian stał jak skamieniały. Oczy wychodziły mu z orbit. Dopiero przy trzeciej koniugacji zachłysnął się gwałtownie oddechem niby człowiek wynurzający się na mgnienie z toni wodnej.

Czy to była jawa? Czy to było możliwe?

Serwacy recytował bez błędu to, co dziś w szkole wypytłował raz — jeden jedyny raz! — grzeczny Pawełek! To, na czego wyuczenie się on, Damian, zużył kiedyś, jako dziecko, kilka miesięcy...

XIV

— Masz na groch — mówił Damian z zafrasowaniem wyławiając z kątów mieszka ostatnie denarki. — Tak kupuj, żeby ci jeszcze na cebulę wystarczyło. I żeby miara była dobra! — dodał surowo i popatrzył srogo.

Bo z tą miarą a i w ogóle z kupnami Serwacego była rzecz dziwna. Z początku, kiedy go Damian zaczął posyłać na targowisko, kupował świetnie. Czasem aż dziwiło Damiana, jak tanio. Ale potem się coś z tym psuć poczęło. Z wyrachowywaniem się z pieniędzy także bywało bałamutnie. Ale Damian machał już na to nieraz ręką, byle tylko nie musiał sam użerać się z pyskatymi przekupkami.

Serwacy wyszedł, za nim po chwili wychodził do szkoty i Damian. Na dole, w sieni, przypadkiem jakimś obejrzał się i zdziwił zobaczywszy koszyk Serwacego pozostawiony w drzwiach z sieni na podwórzec. Poszedł tam i wyjrzał. Zalany rannym jesiennym słońcem podwórzec był pusty. Rozglądając się ujrzał po chwili dopiero wypięty zad i nogi Serwacego a podszedłszy bliżej i jego pochylony tułów z głową przylepioną do szpary w ścianie szopy z sianem. Zaciekawiony zajrzał sam przez inną szparę. Z mroku dochodziły lubieżne chichoty, potem zdyszane sapania...

Zrozumiał. Któraś z dziewczek Adrianowych z nowo przyjętym parobkiem.

Surowo złapał za kark Serwacego chcąc go odciągnąć od szpary. Ale Serwacy trzymał się ściany jak kleszcz nie odwracając nawet głowy ani nie patrząc kto go odciąga. Dopiero kiedy na odgłos ich szamotania się zakotłowało się w szopie w popłochu i zatętniły na deskach boscie uciekające nogi, dał się Serwacy oderwać od ściany. Oczy miał błędne. Oblizywał się...

Damian dał mu tego po karku i kopniakiem skierował w stronę sieni, rzucając potem za nim jeszcze kosz, koło którego Serwacy przeszedł jak nieprzytomny.

Damian szedł za nim dusząc w gardle podrywy rechotów. No, odezwało się to tęgie przyrodzenie, którym wyposażył Serwacego, odezwało.

Ale prędko odwróciło jego uwagę co innego. To było to imię, które usłyszał w przechodzie raz, a potem niedługo drugi.

— Nic teraz ino kupiec Melchior i kupiec Melchior — mrucał do siebie ze złością. — Gdzie się tylko obrócić: kupiec Melchior. Jakby już nic innego nie było w mieście tylko kupiec Melchior.

Sam jednak nastawił ciekawie uszu słysząc jak dwie kumochy opowiadały sobie w bramie domu, że kupiec Melchior posłał burmistrzowi wspaniałe futro — dwa, kumo, dwa! — Adrianowi dla żony sznur wielkich pereł, czarnemu Pawłowi beczkę wina.

Ten ci na worach złota musi siedzieć! — myślał Damian zawistnie. — A on, Damian, maż uczony, frasuje się czy mu. na cebulę do grochu starczy — zaciskał pięści.

Rozjątrzony i gorzki zaczął naukę nie szczędząc od rana różgi. Groch i cebule, które niedługo przyniósł Serwacy, wydały mu się kiepskie i drogie. I właśnie gdy je z dezaprobatą obmacywał, przyszedł pachoł miejski, że pan burmistrz wołają zaraz na ratusz mistrza Damiana.

Przestraszył się, ale usiłował zachować godną minę. Zostawił w szkole Serwacego i poszedł z pachołem łamiąc sobie głowę, co ma oznaczać to nagłe wezwanie. Pachoł wprowadził go do pustej izby przylegającej do sali Rady, wetknął sam łeb w drzwi tamtej sali, coś powiedział, dostał jakąś odpowiedź ginącą we wrzawie wielu głosów i wreszcie zamykając drzwi burknął do Damiana:

— Macie tu czekać — i wyszedł sam do sieni.

Więc to do Rady wołali go? — myślał z rosnącym niepokojem Damian. — nawet już nie do burmistrza ale do całej Rady? Bo oczywiście było, że tam, za tymi drzwiami, siedziała teraz cała Rada.

W izbie było cicho, chłodno i pusto. Na taflach kamiennej podłogi kładła się skośna, krótka smuga światła słonecznego. Za oknem dreptały po kamiennym gzymsie tam i z powrotem gruchające gołębie. Od czasu do czasu dobiegały z rynku wywoływania przekupniów:

— Jajka, mleko, ser, jajka, jajka!

— Bób, placki jęczmienne, orzechy!

Damian siedział chwilę na kamiennej ławie. Potem poderwało go. Podsunął się pod drzwi Rady i ostrożnie, nie spuszczać z oczu drugich drzwi do sieni, którymi wyszedł pachoł, próbował nasłuchiwać.

Podrywająca się ciągle i nakrywająca sobą poszczególne głosy wrzawa świadczyła, że rozprawiano o czymś czy spierano się głośno, czy nawet gwałtownie.

Powoli, w miarę jak coraz mocniej przyciskał ucho do drzwi, zaczęły go wyraźniej dochodzić różne powiedzenia.

Ktoś raz krzyknął:

— ...niech medyk przetłumaczy! — Na co inny głos odpowiedział, że właśnie pojechał... Potem wywołał ktoś nazwisko aptekarza, na co zerwały się zniecierpliwione zaprzeczenia. Padło nazwisko kanonika Grzegorza skwitowane szyderskim śmiechem i okrzykiem, że jeszcze nie wytrzeźwiał i nazwisko innego a potem w chwili ciszy, z oburzeniem zacytowana skrzypiącym głosem Adriana wypowiedź owego kanonika, że „rajców ma w rzyci”. Potem zasapany głos burmistrza zwracał się długo z jakimiś przedstawieniami czy prośbą do rajcy Bernarda, który odpowiadał z góry i pogardliwie, że on tej barbarzyńskiej kancelaryjnej łaciny nie rozumie, on tylko Cycerona i kogoś tam jeszcze. I wtedy dopiero posłyszał Damian coś o sobie. Bo Bernard powiedział: Do tego to akurat takie pały jak bakałarz.

Łacina, do tego bakałarz...? No to chyba nic groźnego dla niego? Ale „pała” powiada to ścierwo, pała? O nim, uczonym mężu, pała?

Rosnąca wrzawa z wyrrywającym się z niej skrzypieniem Adriana pokryła znowu wszystko. W dodatku ktoś ruszył klamką od wewnątrz, tak że Damian odskoczył przestraszony i teraz nie miarkował już nic. Drzwi wreszcie otworzyły się gwałtownie i wychylił się przez nie łeb Czarnego Pawła, który jakby tam Damiana w ogóle nie było, wrzasnął na pachoła. Pachoł wszedł do sali i drzwi za nim zatrzęsnięto. Kiedy po chwili wyszedł, powiedział do Damiana obojętnie:

— Możecie se iść do szkoły. Pan burmistrz powiedzieli.

Poszedł oszołomiony. Sam nie wiedział czy rad, że go zostawili w spokoju, czy raczej zawiedziony, że go nie potrzebowali, zwłaszcza jeżeli to miało chodzić o jego znajomość łaciny? Ale jak go przy tym traktowali! Przez pachoła z nim gadali. Paweł jakby go zgoła nie widział, jakby go tam nie było! I jeszcze „pała”, powiada ten szalbierz, ten złodziejski gach...!

Był pod drzwiami izby szkolnej, kiedy przystanął uderzony zamarłą ciszą za nimi. Co to, czyżby Serwacy puścił dzieci do domu? Dopiero po chwili usłyszał drewniany, monoton-

ny głos Serwacego a potem równie tępy i monotony chór skandujący jakąś regułę. Wszedł. Siadł za katedrą, podparł się obiema rękami. Siedział ponuro. Gęby mu się już otworzyć nie chciało. Nie było zresztą trzeba. Jedna lokacja gryzmoła coś na tabliczkach, druga wkuwała tępy i monotonym chórem gramatyczną regułę, przy trzeciej stał Serwacy. Drewnianym głosem pytał:

— Quibus verbis adponuntur adverbia temporis ubi, postquam, cum?

— Adverbia temporis — recytował grzeczny Pawełek trzepiąc pobożnie powiekami — interdum subiunctivis, interdum indicativis verbis.

— Minime — przerwał z nieubłaganym spokojem Serwacy i różgę trzymaną w lewej ręce przełożył rzeczowo do prawej.

— ...interdum indicativis, interdum subiunctivis verbis deponuntur — poprawił zadychując się z pośpiechu chłopiec.

— Ita est — Serwacy przełożył różgę z powrotem do lewej ręki i zauważył sucho: — Ty nie bądź zanadto mądry.

— Bo ja myślałem — zaczął błagalnie Pawełek.

— Nie masz nic myśleć, tylko powtarzać, co mówią mistrzowie — orzekł beznamiętnie i ucinająco rzecz Serwacy.

Z wszystkich stron izby biegły ku niemu spojrzenia wystraszone i ukradkowe, płoszące się każdym ruchem jego głowy.

Damian poczuł coś niby lekkie ukłucie w sercu. Serwacemu to żaden z tych małych łotrów nie ośmieli się nawet za jego plecami na żadne łotrostwo... Jemu ogona krowiego nie próbowaliby przypiąć. No więc co? — nastroszył się i rozparł za katedrą. — A cóż to ten Serwacy to nie jego dzieło? Kiedy dzieci dygocą ze strachu przed Serwacym, to tak jakby dygotały przed nim, przed Damianem. No chyba. Sine dubio. A swoją drogą, jak on to robi ten Serw... to znaczy... jak to jemu, Damianowi, udało się tak zrobić przez Serwacego a bez Serwacego nie udawało? Ba, j a k. A j a k się to zrobiło, że Serwacy już uczy niby on sam, Damian? Czy przeszło mu przez głowę, że coś takiego możliwe, kiedy przed pół rokiem przyprowadził tu Serwacego po raz pierwszy bojąc się go zostawić samego w domu? Kiedy myślał, że może, m o ż e Serwacy przyda się jako pomocnik przy chłostaniu dzieci? Bo i nie przeszło mu samemu przez głowę, że potrafił ulepić coś takiego jak ten Serwacy z t a k ą głową, t a k ą głową! Co raz usłyszysz, już nie zapomni!

Nagła zupełna cisza w izbie przerwała mu te rozmyślenia. Spojrzał uważnie.

Domek, syn rymarza, obok swego przyjaciela Klimka najniebezpieczniejszy drab w szkole, stał z otwartą gębą przed Serwacym, głosu ze strachu nie mogąc wydobyć.

Teraz odezwał się znów spokojny, trochę stękający głos Serwacego.

— Ja się pytam po raz drugi, jak to było wczoraj, Domek, z gadaniem po barbarzyńsku?

— Ja nie gadałem, niech wszyscy powiedzą...! — wyjąkał Domek. — Niech Klimek poświadczy!

— Kli-imek? — podniósł się ledwo dostrzegalnie z czymś niby zdziwienie głos Serwacego. — Patrzcież. Kli-imek... A to przecie on mi właśnie, ekhm — przerwał w dyskretnym zachrząknięciu.

Klimek zerwał się ze swego zydelka. Rozczochrany jakby mu ze zdumienia włosy dęba na łbie stanęły, bełkotał wytrzeszczając osłupiałe oczy:

— Do... Domek — nieee... mistrzu Serwac... To Bartek i Jasiak Szczurzyłeb, Domek nie...!

Serwacy wyciągał powoli zza pazuchy tabliczkę. Ciągłe tym samym równym głosem mówił:

— Napisane wyraźnie: Domek. A dopiero potem Bartek i Jasiak.

— Ja go nie zapisałem! — wrzasnął rozpaczliwie Klimek ze łzami w oczach. — Ja tylko Bartka i Jaśka-a-a! — ryczał nie miarkując w desperackim rozżaleniu, iż zdradza się z

tym, że pełnił wczoraj sekretne funkcje „lupusa”.

— A więc przyznajesz, że ty byłeś wczoraj lupusem? — mówił ciągle tym samym głosem Serwacy. — I zapisałeś Domka a teraz się wypierasz? Nieładnie, nieładnie — głos Serwacego nabrzmiał łagodnym bolejącym zgorzeniem, zanim przeszedł w urzędowe, pełne spokojnej godności wezwanie:

— Chodź tu, Domek, kładź się. Pięć plag.

— Ja go nie zapisałem, mistrzu, ja nie...! — darł się wniebogłosy Klimek czepiając się zbrojnego już w różgę ramienia Serwacego.

Serwacy nie patrząc odsunął go tak spokojnie jakby na przykład zakasywał rękaw.

Świsnęła różga.

— Czekaj Klimek! — wrzeszczał nieprzytomny z bólu i wściekłości Domek wymykając się po kaźni z rąk Serwacego — ty ropucho, ty franco! Ja z ciebie bebechy wypuszczę, czekaj!

Lekcja powróciła do zwyczajnego trybu. Ale już po niedługiej chwili przerwał ją zajądły wrzask Domka:

— Mistrzu, Klimek kopnął Gryzignatka! W zadek go kopnął! Teraz! Ja widziałem!

— Co mówisz, kopnął? — zdziwił się słowami, ale nie tonem Serwacy. — Chodź tu Klimek, kładź się na ławie. A Domek w nagrodę, że wyjawiał twoje bezeceństwo, wymierzy ci pięć plag.

Pokłócił ich! — pomyślał z podziwem Damian. — Pokłócił dwóch drabów. Teraz będą się wzajemnie pilnować.

W tej chwili drzwi skrzypnęły i Damian zobaczył w nich znów tego samego pachola miejskiego.

— He tam! — krzyknął pachoł. — Pan burmistrz powiedzieli, że macie wrócić na ratusz.

— Przecież był przed chwilą po próżnicy! — odwarknął.

— Ja tam nie wiem — ruszył ramionami pachoł. — Macie wracać i już.

Poszedł z mieszaniną wściekłości i nowego niepokoju. Tym razem pachoł otworzył drzwi do sali Rady i kazał mu wejść. Teraz był w nim już tylko niepokój, zwłaszcza kiedy w pierwszym rzucie oka zobaczył tamte sowio napuszone na radzieckich stolcach figury i wyniośle a kwaśno uniesione brwi. Usiłował jednak stapać z godnością i z godnością skłonić się przed burmistrzem. Radzie chciał się skłonić mniej nisko, ale, jak w chwili ukłonu zmiarkował, wypadło to prawie tak samo.

— Mistrzu Damianie — burmistrz ściągał brwi kłopotliwie i poprawiał długo złoty łańcuch na szyi — stary pisarz Rady ciężko już chory. Przeto sławetna Rada postanawia, byście, zanim tego... postanawia, byście go zastąpili... na razie, jeżeli wam taka wola, ma się rozumieć — dodał z jowialno porozumiewawczym spojrzeniem na rajców. — No, jakże tam, mistrzu Damianie? — spytał protekcyjnie.

Zaskoczony Damian bełkotał nie bardzo ze związkiem, że jakże to... jeżeli sławetna Rada... juści że chyba... bo honor to wielki.

— Na razie — powtarzał burmistrz z naciskiem. — Na razie. A potem to zobaczymy jeszcze. A na początek — rozwijał na stole i niecierpliwie przytrzymywał zwijający się uparcie pergamin — na początek trza tu będzie dobrze wyczytać wszystko, co w tym przywileju, bo i niewyraźnie tu czasem coś napisane, i pozacierane, i Radzie zdać sprawę. Ważna to rzecz i nagła, bo jutro będzie Rada rzecz rozpatrywać. Teraz zaprzysięgniecie mistrzu Damianie, że wiernie i pilnie będziecie pełnić swoje obowiązki. Powtarzajcie za mną.

W rumorze uroczyście odsuwanych stołków powstali rajcowie. Damian z dwoma palcami na stojącym na stole krzyżu powtarzał zdławionym emocją głosem słowa przysięgi. Co właściwie mówi, zaczął miarkować dopiero przy poręczaniu, że wszystko, co na Radzie usłyszysz i o sprawach miasta się dowiesz, zachowaj w tajemnicy.

„Wszystko zaś, co by tylko mogło szkodzić miastu i Radzie, wiernie wyjawię zwierzchności, skoro tylko się dowiem, i niczego nie zataję. Tak mi dopomóż Bóg przez swoją świętą ewangelię”.

Rajcy rozsiedli się równie godnie jak przedtem rozkładając ręce na poręczach wysokich gotyckich siedzisk a Damiana skierowano z pergaminem do bocznej małej izdebki pisarza, gdzie wśród foliałów ksiąg miejskich pokrytych głębokim kurzem począł — z początku nie bardzo jeszcze przytomnie — wczytywać się w pergamin.

Pismo było z kancelarii książęcej, skierowane do Rady. Dotyczyło osoby — patrzcież się! — znowu tego kupca Melchiora! Ale Damian przeczytawszy tamto nazwisko nie poczuł już poirytowania. Raczej teraz dopiero własne nowe wyniesienie. Bo oto on, bakałarz Damian, siedzi sobie wśród pokrytych grubymi warstwami kurzu foliałów, pełnych jakby nagromadzonej od wielu dziesiątków lat władzy i odcyfrowuje, o co chodzi w sprawie tego... tego jakiegoś tam Melchiora. Tego Melchiora, co rajcom rozsyła takie bogate dary. Hm... Rajcom, to może i...?

Więc jakże to tam z tym dokumentem, he? „Brzmieniem niniejszego wiadome czynimy komu należy etc., etc. — hm, tak — dlatego odpowiednio do naszej książęcej łaskawości i stosownie do naszej chęci utrzymania sprawiedliwości nie zdało się nam stosowne, abyśmy, opierając się na pełni naszej władzy usiłowali rugować uczciwą Radę z jej prawa, ale postanowiliśmy jej przywileje zachować, strzec ich i bronić we wszystkich ich punktach razem i w każdym z osobna — hm, ale o co to właściwie? Aha — ...aby uczciwa Rada nie pod... — nie pod czym? — ...nie pod przy... przymu... — aha! nie pod przymusem i naciskiem, ale jedynie dla okazania nam swej... swej... — czego, swej? — ...swej uprz... uprzej... uprzejmości... dla okazania swej uprzejmości ...ęła uczciwego kupca Melchiora — co to jest przed „ęła”? Podjęła? E, nie... Przyjęła? Skądże by znowu! — ...kupca Melchiora do — do czego? Niewyraźne, że ani odczytać — ...do liczb... liczb... swych... watełi...

— Co to miało być?

Hm... Burmistrz z rajcami nie wiedzieli też i dopiero w te pędy do jego uczoności. A i wielka, na sznurze przyczepiona pieczęć kancelarii książęcej także jakaś niekształtna czy zatarta. Data dokumentu niedawna a tak już niektóre słowa nieczytelne? Inkaust taki kiepski czy co?

Nagle rozjaśniło mu się w głowie. A może to „do liczby swych obywateli”? A tamto „ęła”, to „przyjęła”? No, oczywiście! I Rada ma rzecz rozpatrywać — gadał burmistrz! I te dary dla rajców...! Hm, to to tak? Sześć niedziel jak ten hycel przyjechał, niechby osiem nawet a już mu się obywatelstwa zachciewa? No, ale na niego trafił, na Damiana! Już on burmistrzowi i Radzie wszystko o tym dokumencie wyczyta! I o tych dziwnie jakoś niewyraźnych miejscach, i o zatartej pieczęci. Niech gęby na jego uczoność otworzą!

Ale burmistrz — teraz już sam — na pierwsze zaraz słowa Damianowej relacji jakby się skrzywił. Potem z wyraźną już niechęcią zadał kilka pytań. Damian poczuł, że początkowa pewność jego uczoności gwałtownie słabnie.

— Więc co ostatecznie uważacie — powiedział frasobliwie burmistrz — że pergamin co? Że niegodny wiary?

— Tego nie powiadam — wycofywał się ostrożnie Damian — ino że taki ...taki trudny do odczytania.

— Ba, to wiemy — sapnął burmistrz — temuśmy go też wam dali. — Potem dodał już życzliwiej: — Więc jutro przyjdziecie na posiedzenie Rady. Naszemu staremu pisarzowi już się całkiem patrzy na księżą oborę. Tak i z tym pergaminem — przerwał, popatrzył w okno i poprawiając łańcuch na szyi dodał — ...że nie wiedzieć właściwie co. — A potem powiedział dość nieoczekiwanie: — A wy tam macie jakiegoś prowizora udałego w szkole, słyszałem, co? To was może zastępować, jak tu będziecie zajęci.

Ale Damianowi nie w głowie była szkoła przez resztę tego dnia. Chodził jak w febrze.

Dopiero wieczorem przyszło mu do głowy, że trzeba Serwacemu dać jakieś wskazówki na dzień następny, kiedy on sam będzie w ratuszu.

Wtedy dopiero przypomniała mu się scena widziana dziś rano.

— Ty, Serwacy — powiedział — jak to właściwie było z tymi dwoma zbójami? Zapisał ten hycel Klimek Domka za barbarzyńskie gadanie? Bo się zapierał, jakby nie zapisał?

— Domek był zapisany — odrzekł Serwacy podnosząc spokojną twarz.

— To wiem, ale k t o go zapisał? — burknął zniecierpliwiony Damian.

— Ja — ziewnął Serwacy nie odwracając głowy. Wytknął przed siebie rękę i wykonał dłonią w powietrzu kilka ruchów piszących. — Całkiem tak jak Klimek — wyjaśnił. — Nikt. by nie poznał.

XV

Coś się tu dzieje? — myślał Piotr spostrzegając w miarę zbliżania się do rynku coraz gęstsze grupki ciągnących tam ludzi. Nigdy o tej rannej porze tak ludno w dzień targowy na ulicach nie bywało. Stłumił pierwszą odruchową chęć spytania kogo bądź spotkanego. Już i tak się ludzie na niego, jak miarkował, nieraz; wygapiali, gdy pokazywało się, że nic wie o czymś, o czym całe miasto właśnie gadało. Sam się czasem dziwił, jak to się działo, bo przecie stykał się co dzień z tylu ludźmi. Czy był tak osobliwie mało ciekawy, czy ludzie się tak nie kwapili z mówieniem mu o tym? Ale jeżeli, to dlaczego?

Wychodząc na rynek zobaczył tuż przed piekarskim kramem Jana jego samego wraz z krawcem Nikodemem. Nikodem wykrzykiwał podniesionym głosem, Jan zatapiał niespokojnie palce w czarnej brodzie. Był aż pobladły od widocznego wzruszenia.

— Powiedzcież wy, mistrzu Piotrze — poderwał się na jego widok Nikodem — powiedzcież sami, czy się taka wielka dziura w niebie robi, że on już po kilku miesiącach dostał obywatelstwo? Trza to aż ręce nad tym łamać jak kmotr Jan?

— Ale kto? Kto dostał obywatelstwo? — zapytał Piotr ściszeniem głosu opanowując zniecierpliwienie.

Nikodem wybałuszył na niego oczy.

— Jak to kto? — wyjąkał. — Żartujecie, mistrzu Piotrze, czy... czy naprawdę nie wiecie? No przecież Melchior, kupiec Melchior.

— Aha — odmruknął Piotr. — Dostał obywatelstwo? Hm, prędko.

— A co, prawda, prawda? — dopytywał się Jan widocznie ucieszony niezachwyconym tonem medyka. — Śmiech to z wszystkich praw miejskich, żeby człek obcy już po dwunastu niedzielach...

— Przywilej książęcy miał! — bronił się krzykliwie Nikodem.

— Nic księciu do praw miejskich! — mruczał groźnie Jan. — Nie przywilej to był zresztą ino prośba do Rady. Nie musiała Rada słuchać.

— A po co miała z księciem zadzierać? Nie rozumiem — ciskał się Nikodem — tacyście niby zawsze człek spokojny, kmotrze Janie, a teraz się wam widno wojować z księciem chce!

— A ja też nie rozumiem: takiście, kmotrze Nikodemie, zawsze zajadły na Radę, a tu raptem za nią gardłujecie jak za swoimi?

— Zgoła za nią nie gardłuję, ale co prawda, to prawda, że raz przynajmniej mądrze sobie coś poczęła. A czy to tylko ja? Widzicie, jak się ludzie zewsząd garną pod ratusz na to jego zaprzysięganie! Zarobku całemu miastu przybyło, odkąd on tutaj!

— Ejże? — zdziwił się Piotr z podstępym niedowierzaniem.

— Jakże! — odkrzyknął zapalczywie Nikodem. — Ja sam zarobiłem od niego już, ee — zachłysnął się kłopotliwym śmiechem — dobre... dobre parę florenów.

— Ano właśnie — mruzczał swoim głębokim basem Jan błędząc spojrzeniem po rynku i zawadzając nim znacząco o twarz Piotra — właśnie... Rajcy też zarobili.

— No to co, to grzech? Uczciwie zarobiłem! — krzyczał krawiec zaperzony.

Piotr zakonkludował z całą jakoby powagą:

— Rajcy też pewnie uczciwie.

Nikodema zaniepokoiło coś w jego tonie. Powiedział niepewnie i kwaśno:

— Ja w ich mieszkach nie siedzę. Nie wiem, co tam oni...

Jan jakby tego nie słysząc zwracał się do Piotra:

— I powiedzcie, mistrzu Piotrze, nie obraza to boska, żeby jeszcze do tego na ratuszu go czekali niby samego księcia, kiedy zaprzysięgać ma to obywatelstwo? Na schody tam aż pono wysłali tego Damiana, co im teraz pisarzuję, razem z jego podpisarkiem, żeby go przyjmowali. Dziw, że sami z chlebem i solą jeszcze nie wyszli albo nam kramów zamykać na to święto nie kazali.

— Proszę, proszę! — kiwał głową z uśmiechem Piotr. Ale że zainteresowała go wzmianka o Damianie, spytał:

— To jednak Damian jest ciągle pisarzem Rady?

— Dlaczego by zaś nie miał być? — pochwycił żywo Nikodem jakby rad ze zmiany tematu rozmowy.

Piotr marszcząc brwi mówił, że słyszał od kogoś jakoby teraz pisarzował już przy Radzie ów Serwacy, prowizor Damiana.

— On tylko jest Damianowi do pomocy i Damian się nim rad wyręcza, bo to łepak okrutny! — Nikodem przymykał aż z podziwu oczy. — A jak gadać zacznie, to niczym ksiądz na ambonie. Nawet nie wiedzieć, kiedy mu na to przyszło, bo z początku taki się niemrawy widział. W szkole to się go te hycle małe tak boją, że żaden ani mru-mru. Nie tak jak Damianowi. I nawet nie wymiarkować, jak on to robi, bo ani nigdy nie krzyknie.

Jan mruzczał niechętnie:

— Krzyknąć nie krzyknie, ino kijem dzieci tłucze, że pacholek katowski gorzej by nie mógł.

— Poradzisz z nimi inaczej? — zaperzył się Nikodem. — Dobrze robi, że tłucze. Ho-ho, ten głowę ma! — Nachylił się tajemniczo do Piotra i dodał: — Rajca Adrian gadał do kogoś, że lepszy byłby z niego pisarz niż bakałarz Damian.

Jan błędzący ciągle chmurnymi oczyma po rynku obrócił nagle głowę. Otwierał już usta, ale zaraz machnął tylko ręką i odwrócił się znowu.

— Coście chcieli powiedzieć, majstrze Janie? — zachęcał go Piotr.

— Co tu gadać — odmruknął. — Obraza boska i tyle.

Nikodem zakrztusił się śliskim rechotem.

— Niby że go Adrianowa tak swojemu staremu zaleca, bo sama z tym Serwacym tego...? — stulał ze sobą raz po raz dwa palce podniesionej dłoni. — Ona by przy swoim starym też rada czasem sobie jakoś tego... co, kmotrze Janie? — zarechotał znowu i szturknął w bok milczącego surowo piekarza.

— Adrianowa? — zdumiał się Piotr.

Nikodem zakłopotał się.

— Może to i gębowanie tylko takie ludzkie — wycofywał się niepewnie i zaraz dodał pośpiesznie. — Bo znowu insi gadają, że Adrian tak tylko z zawziętości na Damiana. Ciągle jeszcze za Pankraca.

Piotr powiedział z zastanowieniem:

— Taki łepak z tego Serwacego, powiadacie? A ja tylko miarkowałem, że wierutny jakiś łgarz.

— Że nie do wiary! — wzburzył się Jan. — Daje mi denara i wpiera we mnie, że to grosz. Pod nos mu go podsuwam: to ma być grosz? A on swoje, jakby nie widział denara: grosz i grosz! I gadaj z nim! Człowiek sobie oczy przeciera — śni mu się czy co? Żeby tak w żywe oczy śmieć łąć? I tak z wszystkim. W samo południe potrafi się wam przysięgać, że to noc! Inszy by tego z siebie nie wykrztusił, żeby nad nim z kijem stali!

— Hm — powiedział z pewną ulgą Piotr — więc on tak z wszystkimi, nie tylko ze mną... Bo raz, tu kiedyś, pokazuje mi burmistrz ten właśnie pergamin książęcy, coście tu o nim wspominali, ile że coś mu się tam w nim nie widzi. A ten Serwacy naokoło nas, widzę, myszkuje i bardzo słuchów nadstawia. Potem gdzieś wybiegł a za chwilę wraca, że stary pisarz umierający, żeby do niego iść. Zostawiłem pergamin i burmistrza i pnę się tam na górę do pisarzowej izdebki, patrzę, stary schorzał bo schorzał ale bawi się z kotem i pociąga z kufła. Serwacego w ogóle nie widział. Wracam na dół, tego franta już nie ma. Zniknął gdzieś. A burmistrz także na próżno szukał pergaminu. Gdzieś mu się właśnie zatracił. Za kilka dni spotykam tego Serwacego, pytam, co to wszystko miało znaczyć? A on mi najspokojniej, że tak mu ktoś wtedy o pisarzu powiedział.

— Taki hycel — zbył to z roztargnieniem Nikodem. Widać było, że całą uwagę kieruje ku ulicy Garbarskiej, w której gęstniejący tłum oczekiwał nadejścia kupca Melchiora.

W tej chwili Jan chwycił za rękaw Piotra.

— Patrzcie ino, mistrzu Piotrze — wytykał ruchem głowy mijającego ich właśnie z odwróconą twarzą krzywego Jakuba — patrzcie się, jak to nas już nie widzi, i mnie, i Nikodema. No i was też. Tak już zhardział, od kiedy został starszym wigintywirów. Myśleli my to, jak my się nim trapili, że siedział w .wieży?

— E, może i naprawdę nie widział? — próbował wątpić Nikodem, ale robił to bez przekonania.

Jan powiedział gorzko:

— Zawsze teraz nie widzi. Ino ławników i rajców, tych to widzi.

Piotr patrzył za oddalającym się Jakubem. Suchotnik niósł się rzeczywiście już inaczej niż dawniej. Trybun ludu, trybun ludu — mruknał — i w tej chwili zmiarkował, że powiedział to tonem Urbana. Urban, Urban... Tak, Urban nie miał złudzeń ani co do tych, którzy, jak mówił, mają w garści kij, ani tych, co są pod kijem. Ani co do trybunów ludu.

Jan zatapiał frasobliwie palce w czarnej brodzie.

— Teraz i ja sobie miarkuję, że lepiej by było może, jakby my byli stanęli za tym Damianem, jak niektórzy chcieli.

— Teraz to wszyscy miarkują — powiedział kłótliwie Nikodem — a przedtem to się śmieli.

— Wyście się śmieli, nie ja — odburknał mu Jan.

— Choćbym się tam i czasem śmiał, tom miarkował, że człek to prawy. A to widno i teraz, kiedy pisarzuje i dostęp do niego jest i skóry z ludzi nie drze. Weźmie, ile mu dać, co najwyżej się zmarszczy. Dobrze, że go mamy na ratuszu. Wszyscy mówią — przerwał i wypatrzył się ku Garbarskiej. — A no podeszlibyśmy bliżej. Rad bym ja tego Melchiora zobaczyć raz.

— Toście go nie widzieli? — zdziwił się Piotr.

— Nie. A wy, mistrzu Piotrze?

— Ja też nie. Ale ja z nim nic jeszcze nie miałem a wyście już dla niego szyli, jak sami mówicie.

— Nie było to na niego, ino na jego ludzi. Albo na podarunki.

Jan mrucał:

— Jeszczem nie słyssał, by go kto był na własne oczy widział. Chyba burmistrz albo rajcy?

— Toć dlatego tak się ludziska dziś cisną, żeby go zobaczyć.

— Jak go mają zobaczyć — mruczał niezycliwie Jan — jak się w lektyce każe nosić, a i to zasłoniętej.

— Bo pono chroma.

— Niejeden chroma a nosić się zaraz nie kazuje. I zresztą nikt go nie widział a niby wiedzą, że chroma, że perukę na łbie nosi, że taki a owaki. Ot, puste gadanie wszystko. Co to i wy, mistrzu Piotrze, na niego się patrzyć idziecie?

— Nie. Zajrzeć idę, co tam ze starym pisarzem a chciałbym przejść, nim się ludzie na tego waszego Melchiora cisnąć pod ratusz zaczną.

Jednak już i przed bramą ratusza stała spora gromada ludzi. Piotr precisnął się przez nią, ale zawahał na mgnienie na widok dwu pachotków miejskich zagradzających wejście skrzyżowanymi halabardami. Zaraz jednak ani patrząc na nich ruszył zdecydowanym krokiem w bramę. A jego, co to obchodzi, że tępym łbom radzieckich łyków zachciało się tu wyzdurzać z ceremoniami dla tego jakiegoś tam a raczej dla jego worków z dukatami? On, Piotr, idzie do chorego.

I w tej chwili poczuł napierający mu na brzuch drąg halabardy i postłyszał warknięcie pachola:

— Nie wolno!

Krew uderzyła mu do głowy. Odruchowo chwycił drzewce i zwrócił się ku pacholowi. Zobaczył tępą nie widywaną dotąd gębę z brutalną szczeciniastą zuchwą. Równocześnie odezwało się zakłopotane wymrukiwanie drugiego pachola, jego przyzywania kogoś a potem zafrasowane chrząkania Damiana. Nacisk zagradzającego drogę drzewca sfołgował. Piotr odepchnął je i wszedł. Naprzeciw, z góry, z pierwszych schodów, wychylała się niepewna twarz Damiana a zza niego nieruchoma maska Serwacego. Bakalarz był w nowym czarnym tabardzie, miał nawet nowy biret i gładko wygolone policzki. Piotrowi przemknęło przez głowę, że ten nowy tabard to może także dar kupca Melchiora?

— Bo to widzicie, mistrzu Piotrze — stękał niepewnie Damian — ludzie się cisną — zeszytniał i godnie unióś brodę — a tu czynność urzędowa. Więc burmistrz i Rada zakazali wpuszczać.

— ...wszystkich prócz pań rajczych i ławniczek — wpadł mu Piotr, bo je w tej chwili ujrzał w bocznej części sieni rozsiadłe na ustawionych tam ławach, niby damy w kruzganku na rycerskim turnieju. — No ale ja nie na widowisko ino do chorego. Do waszego poprzednika — uzupełnił wymijając Damiana i wstępując już na dalsze schody.

On już innym głosem mówi od czasu, jak Radzie pisarzuje — myślał o Damianie. Miły Boże, ten tępy łeb!

U chorego przesiedział dłuższą chwilę, dość długą, jak sądził, na to, aby Melchior mógł przez ten czas odbyć swój uroczysty ingres do ratusza. Ale kiedy wreszcie wyszedł stamtąd i dochodził na dół, ujrzał wysuwający się i podnoszący powoli na tle otwartej bramy i zbitej za jej przestrzałem na dworze ciżby głów — naprzód ogromny fantastyczny kapeluch głęboko zasunięty na twarz, tak że widoczna była spod niego tylko szeroka czarna przepaska na jednym oku i wieniec opadającej nisko czarnej grzywy. Potem wynurzyła się zwałista kwadratowa figura we wspaniałych jakichś futrach. Tamten sunął ciężko, na jedną nogę utykał rzeczywiście.

— Ciekawym, jak też bakalarz wywiąże się ze swej roli mistrza ceremonii — pomyślał złośliwie Piotr. Przystanął i patrzył. Widział jak Damian postąpił o krok. Najwidoczniej silił się na znalezienie miary między czołobitnym ukłonem a urzędową dostojnością. Otwarł usta i — znieruchomiał. Nieprzytomne prawie osłupienie zeszytniało mu mięsień po mięśniu twarz, jak gdyby kamieniała. Tylko uniesione z lekka do powitalnego gestu ramiona obsuwały się w dół powoli i bezwładnie.

A jemu co się stało? — zaciekawiał się Piotr. Nie wyglądało to jakby Damian zapomniał koncept przemówienia, nie, to było chyba coś innego... Ale co...?

Kupiec Melchior mijał już wolno i ciężko znieruchomiętego bakalarza. Gdy nie patrząc na nikogo podnosił palec do kapelusza, zagrały światłami kamienie ogromnych pierścieni na wszystkich palcach grubej dłoni. Wtedy, gdzieś zza pleców czy spod ramienia Damiana wychynał nagle Serwacy. Giał się w niskich pokłonach przed kupcem, ścielił mu niejako drogę pełnymi czci ruchami rozkładanych rąk, wiódł i skierowywał ku sali Rady. Damian z otwartą gębą obracał za nimi powoli głowę z tułowiem, nie poruszając nóg jakby przyrosłych do ziemi. Ocknął się dopiero, gdy tamci wchodzili już w drzwi. Poderwał się i podbiegł za nimi wahającymi się krokami. Piotrowi zdawało się, że zatoczył się raz i drugi.

Teraz zaszumiało i zajazgotało w odnodze sieni, gdzie siedziały dostojne mieszczki. Piotr mijając je zobaczył cisnący się do siebie kłęb głów spiętrzonych wysokimi kornetami, pochwyił w przelotnym spojrzeniu błyski wyłazających z ciekawości oczu, trzępiących się warg i dłoni. I wśród tego jedną rozpaloną jak w gorączce twarz ze świecącymi oczyma, „nieprzytomnie prawie wbitymi w drzwi, za którymi zniknęli tamci. Było w tym coś tak osobliwego, że na mgnienie zwolnił kroku. Wtedy uprzytomnił sobie, że to była twarz Adrianowej. Prędko odwrócił głowę i wyszedł z ratusza.

I tu, przed bramą, gwar w ciżbie wielokrotnie tymczasem narosłej podnosił się coraz głośniejsze.

Zwłaszcza w głębi tłumu, bo w przednich grupach mówiono jeszcze półgłosem zerkając spod oka na wspaniałą lektykę, w odsunięciu od ludzi czekającą pod murem obok bramy. Czterech ogromnych, milczących i ponurych drabów w pasiastych obcisłych portkach i strojnych kabatach i beretach rozkraczało się z pogardliwą swobodą lub opierało o mur i lektykę, jakby nie widząc wcale gapiącego się na nich tłumu. Przechodząc słyszał Piotr, jak w tłumie omawiano futro kupca i chód, i pierścienie, i każdy szczegół stroju, jak je oceniano i z podziwem chwiano i kiwano nad nimi głowami.

A. Jan — myślał — gorszy się rajcami. Tak jakby ci tu wszyscy, gdyby tylko mogli, tak samo obywatelstwa nie sprzedali każdemu, kto by tylko mógł kupić. I że krzywego Jakuba już sprawy pospółstwa przestały grzać i ziębić... A tych, co tu grzeje i ziębi? Futro, pierścienie i lektyka Melchiora. Teraz gotowi zobaczyć znowu swego trybuna w Damianie. Czym właśnie Damian zaleca się w ich oczach na trybuna ludu? Tym, że bierze tylko tyle, ile mu kto sam da? W Janie na przykład, w tym na wskroś rzetelnym, myślącym o drugich Janie, nikt z nich nie zobaczył możliwego, lepszego obrońcy ich spraw, tylko właśnie w Damianie... Za to wierzą, jak Bernard, w posagowych rzymskich mężów. Czy ja nie z tego świata jestem, że wszystko jakoś inaczej widzę niż oni?

Przystanął. Czy to go tak uwiera? Bo coś go uwiera, jakiś ciężar legł mu na sercu... Nie, to coś jeszcze innego, tamto przecie rzeczy stare. Ale co? Czy się coś złego stało, czy coś złego grozi gdzieś? Co to dziś się z nim działo?

Zaczął przechodzić myślą zdarzenia dzisiejszego ranka. A więc: gapie na ulicach czekające na pojawienie się kupca Melchiora. No cóż, ciekawość kmiotków i kumoszek. Tłum pada przecie zawsze na brzuch przed bogactwem. Rzeczy zwyczajne i nie dziwne. Rajczychom w ratuszu ślepią aż wyłaziły do pierścieni Melchiora. Tylko Adrianowej chyba już nie do pierścieni — myślał przypominając sobie jej rozpaloną twarz i nieprzytomne oczy. I do kogo to, do kogo? Do tej pokraki z wydętym łebkiem, do tego wyrosłego na trzy łokcie sześciomiesięcznego embriona! Ludzkie szaleństwo — jakaż to straszna rzecz, jaka nie do pojęcia! Oczy Adrianowej...! To coś niby... niby w greckiej tragedii, kiedy coś zapowiada zbliżający się los... Może to pozostawiło w nim uczucie czegoś groźnego? Bo przecie nie rozmowa z Janem i Nikodemem i nie widzący ich Jakub? Że buntownicy są buntownikami, dopóki sami kija do ręki nie dostaną, to przecie dla niego już także nie pierwszozna. A że ów Melchior po kilku już miesiącach tak się mocno w mieście usadowił? Hm, niemiła jakaś figura ten Melchior, dziwnie niemiła... Ten jego chód... Temu także tak łatwo drogi nikt nie zastąpi. A jakby zastąpił, no, to biada mu... Pierścienie na wszystkich paluchach. Ale cóż to za potworna

ta jego łapa.

XVI

Siedzieli naprzeciw siebie i Damian słyszał ciągle równy jak plusk strugi wodnej głos Serwacego. Szaroziemista twarz tamtego wynurzała mu się czasem w oczach i znów nikała w jakimś mglistym tumanie, w którym chwiejnie i ciężko majaczyła bryła postaci owiniętej we wspaniałe futro. Spod skrzydeł fantastycznego, głęboko na oczy naciśniętego kapelusza czerniła się przepaska na oku zasłaniająca pół twarzy. Ale szaroziemista cera drugiej połowy? Ale ten wyszczerbiony nos? T a k s a m o, najzupełniej t a k s a m o wyszczerbiony? Damian pamiętał przecie doskonale, jak mu się odłupał kawałek gliny... Czy to możliwe, czyżby to mogło być możliwe? Czy też to jakieś przywidzenia, szatańska igraszka?

Wtedy, w ratuszu, gdy oprzytomniawszy wreszcie z wstrząsu, jakiego doznał w pierwszej chwili na widok kupca, wpadł do sali Rady, kupiec stał już przed burmistrzem i Damian widział znowu tylko jego profil, właśnie ów, który był zasłonięty czarną opaską i wielką opadającą grzywą c z a r n y c h włosów. Tylko skądby czarnych? Chyba że peruka... Ale i potem, kiedy mógł się podsunąć bliżej, zawsze tak się jakoś składało, że kupiec stał do niego tyłem lub bokiem. Raz tylko, gdy Damian szukając na rozkaz burmistrza czegoś wśród papierów na policach nagle się odwrócił, zobaczył na mgnienie nieosłonięte oko tamtego szybko przed jego — jego, Damiana — wzrokiem wraz z twarzą jak gdyby uciekające...

To małe, blade, głęboko osadzone, straszne ślepie... I ten chód, to s a m o chromanie, na tę s a m ą nogę...

Co to jest, co to wszystko jest? Czyżby to mogło być? Pankracy — takim bogaczem, kupcem? Tamten tępy bałwan teraz tym, co sobie i z Radą już poradził i z prawem obywatelstwa, i co sobie poczyna niby jaki... jaki książę? Ale jeśli by to on, to powinien — słuchać, słuchać jego, Damiana! Nosi przecie w sobie z n a k... A może już nie nosi...?

Nie, to wszystko niemożliwe! Niemożliwe? A możliwe, że ten ulepiony jego własnymi rękami z bryły gliny Serwacy umie już na pamięć całego Donata i po łacinie prowadzi lekcje i pomaga mu przy szperaniu w starych księgach miejskich? Ten tu siedzący naprzeciw niego Serwacy, który teraz niczym jaki kolega bakałarz wywodzi do niego uczenie, roztropnie — o czym, o czym teraz...?

I nagle przejął go znowu, wstrząsnął nim do szpiku kości okrutny, przeraźliwy strach, ten i taki strach, o jakim już trochę zapomniał. W co on się tu wdał?! W jakie tajemnicze, niepojęte, straszne sprawy?! Gdzie jemu do tego, gdzie w ogóle do nich człowiekowi? To jakieś sprawy czarnoksiężskie, nie, gorzej, piekielne chyba i diabelskie! Ale znowu ten tu, ten przed nim Serwacy...

Głos Serwacego wynurzył się wyraźniej z dymnego tumanu. Całkiem taki zwyczajny, ludzki, monotony głos... Damian otarł pot z czoła. Przytomniał powoli.

Serwacy mówił:

— Cóż to za dola dla takiej głowy jak wasza, mistrzu Damianie, to pisarzowanie? Pisarzować to byle kto potrafi, może nawet i ja bym już potrafił.

Potrafiłby! Niechybnie by potrafił! — przytaknął w myśli Damian. Słuchał coraz uważniej i chciwiej.

— Oczywiście wedle waszych wskazówek — mówił Serwacy — bo gdzie tam mojej głowie do waszej, ho-ho. Wam to w Radzie siedzieć, ba, i burmistrzować, bo jakbyście w Radzie byli, to by was ani chybi prędzej czy później burmistrzem obrali. Temu i pan burmistrz powiedzieli mi wczoraj po pogrzebie starego pisarza: to już sobie weź tę izdebkę po

nim, pod ręką cię, powiadali, będę zawsze miał, a tam, powiadali, mistrzowi Damianowi i tak z tobą za ciasno.

— Ty... izbę po pisarzu? — wybąkał osłupiały Damian.

Serwacy westchnął pobożnie.

— Kazali pan burmistrz, tom musiał.

— Ja ją miałem dostać! — ryknął Damian. Krztusił się z wściekłości.

Serwacy jakby zupełnie nie widząc i nie słysząc mówił monotonna krzywiąc się tylko lekko:

— Gdzież taka dziura dla was? Nie mogę przecież, powiedzieli pan burmistrz, dać czegoś takiego mistrzowi Damianowi. Taki, powiadali, uczony mąż, to teraz: pewnikiem po śmierci ławnika Michała — — tego, wiecie, co go równocześnie ze starym pisarzem chowali, i piękny był pogrzeb, nie ma co mów...

— Co: po śmierci Michała? — wrzasnął Damian.

— Kiedy właśnie przyszła pani burmistrzowa i pan burmistrz już z nią zaczęli o czym innym.

Damian sapał ciężko. Jego wściekłość rozplywała się pod wrażeniem ostatniej wiadomości Serwacego. Warczał:

— Ja miałem dostać tę izbę! Podlizależ się, hyclu, burmistrzowi o nią!

— To pani burmistrzowa chciała, żebym ją dostał. Was po dawnemu obsłużę, jakże.

— Burmistrzowa? — zdumiał się Damian.

— Żeby jej czasem co pomagać w gospodarstwie. Bo was, powiadała, to by ino ludzie nachodzili ze swymi sprawami, jakbyście w ratuszu mieszkali i cudowaliby się, że jakże to? Ławnik i w takiej dziurze? Non decet.

— Jaki ławnik?

— No jużci wy, mistrzu Damianie. Bo na to wolne miejsce w Ławie po Michale to teraz certo certius wy nastaniecie — mówił wytrzeszczając jakby z wielkiego przejęcia szeroko oczy.

— Powiedział tak burmistrz? — rzucił się zachłannie Damian. — Że po Michale...?

— Tak nibym miarkował z tego, co mówili z panią burmistrzową.

W Damianie ocknęła się podejrzliwość.

— Przecież gadał, że jak przyszła burmistrzowa, to zaczęli o czym innym?

— E, to innym razem słyszałem, jak mówili — — odparł bez zawahania się Serwacy.

Kręci hycel czy nie kręci? — świdrował go podejrzliwie spojrzeniami Damian. — A zresztą... Może i nie zełgał? Może naprawdę mówili? Czyby mu się nie należało sprawiedliwie? Zawsze go mają pomijać i krzywdzić?

— Do wigintywirów mnie nawet radzieckie psie syny nie dopuściły! — wyrwało mu się głośno i zajadle.

— Co dla was wigintywiry — zlekceważył Serwacy opuszczając pogardliwie kąty ust. — Nawet nie godziłoby się, byście wśród tego pospólstwa siedzieli niczym jaki krzywy Jakub. Wam to już co najmniej, najmniej — Ława się patrzy. Indubitato. Na razie, oczywiście, na razie — pokwapił się z zapewnieniem.

— Ten tu — stęknął ponuro Damian wskazując ku podłodze — będzie pierwszy przeskadzał. W nim mam wroga. I za co? — rozżalił się. — Com ja mu takiego zrobił?

— Adrian — powiedział bezbarwnie Serwacy. Spuścił niewinnie oczy i powiedział zbywająco:

— To się zrobi. Zostawcie to mnie.

— Co się zrobi? — uduł Damian obłudnie, że nie rozumie.

— Zrobi się. Sic erit — powtórzył Serwacy. Jak o rzeczy najzwyczajniejszej.

Damian zmarszczył się. Potem skrzywił. Miało to nadać mu wyraz surowy i zgorzony. Ale naciągane tak mięśnie twarzy ześliznęły się raptem i surowość, i zgorznienie urwały w

mimowolnym prychnięciu łaskotliwego śmieszku. Usiłował zachrząkać je co prędzej, nakryć na nowo grymasem urażonej obyczajności. Grymas był jednak bardziej wyrozumiały niż zgorzszony.

— Ty — pogroził Serwacemu — a ty czego tam znowu szukasz w ogrodzie rymarza, he?

— Rymarza? O jakim zaś rymarzu mówicie?

Damian usiłował znowu zmarszczyć się surowo.

— Nie łżyj, że nie wiesz. U tego, co ma gładką białkę. Ofka jej czy jak tam.

— Aha, tej. Kury jej coś spłoszyło, tom jej pomagał zegnać i porachować.

— Żeby tobie rymarz gnatów kijem nie porachował. (Gnaty? — przeleciało mu przez głowę — j e m u g n a t y...?) Rymarz — mówił szukając z trudem przerwanej myśli — złapał mnie... dziś na ulicy... złapał mnie i z pyskiem do mnie, czemu ja pozwałam ci się włóczyć. Ty mi się nie bisurmań. Przez ciebie... ciągle mam o to nowe jakieś kłopoty.

— Nie, skądże — zaprzeczył obojętnie nie wiadomo czemu Serwacy przypatrując się z uwagą sunącemu spiesznie po podłodze karaluchowi.

— No bo... — zaczął z przesadną surowością Damian i urwał. Sapał chwilę a potem wystękał całkiem już innym tonem:

— To co ci mówiła ta... ta Neta od Gładyszowej, że Gładysz co? Powtórz no mi jeszcze.

— Że powiadał, jako pospólstwo rade Melchiorowi. Wam... wam też. Ale już nie tak.

— I nic więcej? Niby o mnie?

— Więcej nie. Nie było czasu.

— Nie było czasu, boś z nią co innego robił, he? — rozzłościł się Damian. — Za kieckami ino cię nosi, ty gamracie! Ja te gamractwa kijem z ciebie wytłukę!

Serwacy z opadłymi wzdłuż boków ramionami i spuszczoną głową siedział bez ruchu niby chłopczyk wysłuchujący grzecznie admonicji. Powiedział, jakby tylko o tym była właśnie mowa:

— Ten kupiec Melchior. To jest pan. Ma długie ręce — cmoknął cicho z podziwu. — Z nim się wam zwąchać. Moglibyście wszystko mieć.

Damian mruknął ponuro.

— Gdzie mnie się z nim kumać.

— On powiada, że to mądra głowa. Ta wasza.

— Że... mądra, moja...?

— No.

— A ty skąd wiesz?

— Co tam pytacie. Wiem.

Zapadło milczenie. Po chwili podjął Serwacy:

— Mocno on się już rozsiadł w mieście. Teraz już drugi dom będzie miał. Ten po Łukaszu, „pod okrętem”.

— Jak to: po Łukaszu? — wypatrzył się Damian.

— Cóż się tak dziwujecie, przecieście sami mi gadali, że Melchior pożyczył Łukaszowi trzysta florenów z klauzulą.

— Ja tobie gadałem? — wybąkał Damian osłupiały.

— No jakże, przecie klauzula z waszym zaświadczeniem.

Damian porwał się z zydlą.

— Co mi tu łiesz? — wrzasnął w pasji. — Ja mu gadałem i klauzula z moim zaświadczeniem — słyszane rzeczy?!

— To jak nie wy, to ktoś inszy musiał mi gadać — powiedział najspokojniej Serwacy. — A klauzula z zaświadczeniem pisarza, to ja tam nie wiem czy nieboszczyka czy waszym? Jak pisarza to za jedno czy starego, czy wasza. No to jest taka klauzula., że jak Łukasz nie odda do trzech miesięcy to Melchior bierze Łukaszowy dom, co go dostał w zastaw. A

Łukasz nie oddał i nie odda. Pro certo. Wspólnik z Norymberku go ocyganił a prócz tego okręt z jego towarem się rozbił. I dziś mu akurat mija ten termin. A jakby Łukasz się co zapierał a oszczerstwa próbował rzucać na Melchiora...

— Jakie oszczerstwa? Oszczerstwa, że co?

— Ja tam wiem, jakie? Ale jakby próbował, to jeszcze pod pręgierz za to pójdzie. Kłamstwo i oszustwo nie popłaca — skończył uroczyście.

Damian ciskający się niespokojnym chodem po izdebce aż przystanął w pół kroku jak wryty. Z otwartą gębą wytrzeszczał w osłupieniu oczy na Serwacego. Potem zamrugął nerwowo i wymijając starannie spojrzeniem Serwacego zaczął się znowu tłuc po izbie.

— Za dwie niedziele siedzielibyście w Ławie — — zaczął znowu Serwacy — jakby... jakby...

— Jakby co? — wpadł niecierpliwie Damian.

— Jakby kupiec Melchior stanął za wami. To już by i mistrz Piotr nie poradził.

— Piotr? — rozdziawił się Damian. Że niby on przeciw mnie?

Serwacy rozłożył ręce i przewrócił nabożnie oczyma.

— Co ja mogę wiedzieć, co taki uczony mąż jak mistrz Piotr? Rajca Bernard powiadają, że on zawsze wszystko lepiej wie, niby mistrz Piotr. I rajca Bernard tak się przy tym wykrzywiają. Czemu oni się tak wykrzywiają, co, mistrzu Damianie? A rajca Gładysz gadają, że mistrz Piotr to teraz nic ino całemu pospólstwu zachwala piekarza Jana. Że ten dla nich będzie najlepszy.

— Niby lepszy ode mnie? — zgrzytnął Damian.

— Ja tam nie wiem. Skąd mnie wiedzieć, co takiemu uczonemu mężowi wadzi. W ślepie mu się nie pcham. Jakoś mu się mój pysk nie widzi. A ci panowie rajcowie to się ino dziwowali, co się mistrzowi Piotrowi stało, że tak za tym Janem obstaje. Dawniej, powiadali, ino chorych macał i w urywały im zagładał a teraz tak przeciw Radzie i Ławie się rozpyskował. I kupcowi Melchiorowi jakoś nie rad.

— Uhum — sapał Damian — to to tak? Teraz z niego wyłazi, jaki on do mnie naprawdę. A niby to słodki był jak miód! Hycel taki, lis! Może już dawno tak pode mną ryje? No juści, burmistrzowi przecie w uchu siedzi a powiedział za mną dobre słowo, jak do wiginty-wirów brali? Może jeszcze judził na mnie? I pewno, że judził!

Serwacy wzdychał bolejąco.

— Utrapienie z tym, utrapienie. Ale co tam. Byleście z kupcem Melchiorem się jakoś razem spiknęli.

Damian tarł czoło.

— Największa bieda — frasował się — z tym prawem obywatelstwa. Mnie go tam rada nie da tak jak Melchiorowi. A po prawdzie, tom słyszał raz od matki, że mój ojciec przyszedł z tego miasta. To może i miał tu obywatelstwo, abo ja wiem? Możem nawet i ja dlatego tu znowu przywędrował, że ojciec był stąd? Czasem tak człowieka ciągnie, skąd jego ród.

— Jak wasz ojciec stąd przyszedł, mistrzu Damianie, to pewnikiem tu miał obywatelstwo. Dubio procul — zaręczył nie ruszając się Serwacy. Zaledwie mu się głos przy tym zaręczaniu o włos podniósł. — A waszemu ojcu — dodał po chwili — to, gadaliście raz, pomnę, Dominik było?

— Dominik? — zdziwił się i zastanowił Damian. — Ja gadałem, że Dominik? Paweł mu było, nie Dominik!

— Ech, to dziadowi — poprawił się Serwacy — dziadowi, gadaliście, było Dominik.

Damian rozzłościł się na dobre.

— A tobie znowu co z tym Dominikiem? Dziadowi było Damian jako i mnie! Mielesz ozorem byle co i mielesz! A potem ja przed ludźmi ślepiami muszę świecić za twoje łgarstwa! Za łgarstwa i gamractwa!

Po prawdzie, to ta złość spłynęła z niego jak woda. Ale dalej srożył się obrażonymi

spojrzeniami i wydawał groźne pomruki. Pokrywał nimi wzmagającą się już od dawna niepewność wobec tego całego Serwacego. Bo co właściwie jest z nim, co jest? Znowu inaczej niż było z tamtym, z Pankracem? Pankracem — czy też... czy też... Melchiorem? Doprawdy, dur się czasami już człowieka czepia... Ten niby słucha, niby na rozkaz robi wszystko, niby pomaga i służy, bo i służy i pomaga naprawdę, a jakby także coraz bardziej wymykał się z ręki. Patrzcież go — izbę swoją już będzie miał w ratuszu i to tę, którą sprzątnął jemu, Damianowi... Burmistrzicha chciała, powiada. Bierz już i lichy izbę, choć o niej dotąd myślał pożądliwie, po prawdzie niewiele lepsza od tej tu, jego, tyle że na ratuszu. A znowu i to prawda, że ławnikowi... ławnikowi to by juści nie przystała. Ławnikowi... No właśnie, po co mu jeszcze z burmistrzichą zadzierać i z burmistrem, jak chcieli mieć tam w niej Serwacego? Jeżeli to znów wszystko nie jest łgarstwo, co Serwacy tu nagadał — i z tym, co o izbie, i z tym, co o nim, Damianie. Że niby teraz jemu do Ławy... A przecie, i to certo certius, że Serwacy ma już coś z tym... tym Melchiorem. Niby się zapiera, choć też nie bardzo, a przecie z tym całym zapisem dłużnym Łukasza... Łukasza, co się obwiesił — odezwało się w nim z tępą, uwierającą jak zdiara przykrością. Nieczysta to jakaś sprawa, co tu gadać, nieczysta. Rad był dotąd taki, że mu się ten Serwacy tak udał — czy aby jakoś nie zanadto się udał? A i ten Melchior. Długie łapy ma, powiada Serwacy. Juści ma, ślepy by zobaczył. A z Adrianem, powiada Serwacy, już on sobie poradzi. Ba, poradzi! Póki go stary nie przyłapie kiedy na pościeli z Agatą... Z tą skromną trusią, Agatą, no, no. Wszyscy się w mieście już z tego podśmiechują, ino stary lis, co taki chytry zawsze i wszędzie, tu nie widzi nic. Może go i naprawdę Agata za sprawą Serwacego nakręci, żeby nie stawał na zawadzie do Ławy? Ale jakby ich stary kiedy przyłapał albo co zwęszył — święta Mario Magdaleno ratuj, co by się to za sądny dzień nie zrobił! A, na nim, na Damianie, jeszcze by się gotowe skrupić. I nie tylko to, ale jak jeszcze Agata wypenetruje z iloma to kieckami prócz niej ten kundel się zadaje! Co one wszystkie w tym zgniłku. widzą, że takie dla niego chętne? Może się narobić matu, ej może przez te Serwacowe gamractwa i ciemne sprawki!

W ponurym milczeniu patrzył jak Serwacy znosił jakieś swoje graty i szmaty i jakby ostentacyjnie przed oczami Damiana ładował je do wora. Nie najgorsze zresztą, całkiem nie najgorsze były te szmaty. I skąd on je ma? Bo nie od niego, Damiana. Czyżby od Melchiora? Odętym milczeniem odpowiedział też na pożegnalne układowe pochylenie mu się do kolan Serwacego. Milczał, bo nie wiedział, co zrobić. Okrutną miał ochotę zwyzywać hycła od ostatnich a przecie jakoś mu się to nie chciało przez zęby precyzyjnie do kolan pokłonić... Gdzie się hycel nauczył tak dwornie sobie poczynać? A mógł mu przecie także nie pozwolić odejść, może nie mógł? Ino że burmistrzicha i burmistrz... No i że przez niego z Adrianem i Melchiorem... I wreszcie, co by to pomogło? Taki łepak prędzej czy później znalazłby sobie sposób, żeby pójść. To trzeba by jakoś inaczej, żeby go z rąk nie wypuścić. Inaczej zwłaszcza teraz, kiedy tamtego już tu koło niego nie będzie.

I nagle błysnęła mu w głowie zdumiewająca, olśniewająca myśl. Do tego hycła, co bez tchu za kieckami ugania, najlepiej by — przez kiecki! Przez jakąś, co by go tak usidlała, żeby bez jej pozwolenstwa nawet nie mruknął. A o taką, ha-ha! — o taką on, Damian, mógłby się przecie p o s t a r a ć. On mógłby ją — z r o b i ć!

Ta myśl zaczynała wynurzać się teraz spoza wszystkiego, o czym myślał i co robił. Spoza fantazjowania o Ławie i Radzie, spoza myśli o wkradnięciu się w łaski potężnego Melchiora, o taktyce zachowania się wobec burmistrza, o pokonaniu oporu Adriana. Zaczynała owładać nim jak opętanie. Naprzód było to tylko w związku z Serwacym i ambicjami dostania się do Ławy, ale niedługo już właściwie i niezależnie od tamtego. S t w o r z y ć — znowu s t w o r z y ć kogoś, kto będzie ślepo słuchał i jeszcze tym razem taką... taką dziwkę, taką jurną dziwkę. Robiło mu się gorąco, gdy o tym myślał.

Ale na razie trzeba było pilnować, ile się da, tamtego obwiesia, Serwacego, żeby swymi gamractwami nie doprowadził do jakiejś biedy. Tylko że nie było to łatwo.

Właśnie na drugi dzień rano wyszedł Damian wcześniej niż zwykle z domu. Chciał przed szkołą jeszcze załatwić na ratuszu coś ze swych pisarskich czynności. Gdy wychodził z domu, było na świecie już wcale jasno, ale w wąskich uliczkach pociemniało nagle od nawianego skądś tumanu październikowej mgły. Na Garncarskiej przystanął za szkarpą muru, żeby zawiązać rozwiązany rzemień trzewika. Podczas tego usłyszał skrzyp otwieranej niedaleko bramy a zwróciwszy tam odruchowo głowę ujrzał majaczącą w szparze ostrożnie wychyloną głowę. Głowa znikła, Damian zawiązawszy trzewik ruszył dalej i właśnie gdy dochodził do owej bramy, uchyliła się ona znów prędko i jednym skokiem wypadł z niej ktoś w opończy z kapturem i zderzył się gwałtownie z Damianem. Wrzasnęli obaj a Damianowi mignęła spod kaptura ziemista twarz — Serwacego. Ale nim zdołał oprzytomnieć, tamtego już nie było. Przepadł w mgle. Damian, który w pierwszym rozjuszeniu rzucił się za nim pędem, zwolnił sapiąc po kilkunastu krokach. Po co ma się zadychiwać? Dopadnie przecie hycła jeszcze na czas. Co za nową gamratkę sobie tu znowu obwieś wy wachał? Kij, nie, dwa kije, na nim połamie!

Ściskając te kije w ręce skradał się na palcach złowrogo do pisarskiej izdebki. Serwacy stał po drugiej stronie wielkiego stołu, twarzą ku drzwiom, tak że nie sposób było dopaść go znienacka. Ale nim jeszcze Damian zdecydował się na taktykę ataku, Serwacy jakby nie widział ani skradania się, ani miny, ani kija w ręce Damiana podsunął przez stół ku niemu otwarty foliał i stukając palcem w dół karty powiedział sennie i monotonna jakby nigdy nic:

— Znalazł się, mistrzu Damianie, dowód na obywatelstwo miejskie waszego ojca.

Damian stanął jak skamieniały. Przez chwilę wytrzeszczał osłupiałe oczy na Serwacego. Potem pochylił się gwałtownie nad stronicą. Czytał linie zakreślane tępym kikutem palca Serwacego:

„...jako świadek Wojciech, syn Jakuba, zwany „spod dębu”, oraz Paweł, syn Damiana, obywatele miejscy...”

Damian popatrzył na Serwacego jak na wariata.

— To ma być dowód mojego obywatelstwa?

Palec Serwacego stukał cierpliwie dalej w dół stronicy.

— Czytajcież dalej, mistrzu Damianie.

— Co dalej? Przecież to koniec zapisu!

— Patrzcież na następny.

„Działo się we wtorek — czytał Damian — przed dniem Szymona i Judy roku Pańskiego... Jawi się Wojciech, syn Jakuba, zwany „spod dębu” i oświadcza, że tytułem wdzięczności za uratowanie mu życia z rąk zbójów przez Pawła, syna Damiana, zapisuje rzeczonemu Pawłowi plac za bramą Szewską... z tym, że placu tego nie wolno rzeczonemu Pawłowi sprzedać ani zastawić, ani komukolwiek go odstąpić, ale ma go w całości przekazać swemu, w czasie obecnym małoletniemu synowi Damianowi...”

Kije wypadły Damianowi z ręki.

— Ale ojciec nigdy...! — wykrzyknął prawie — i umilkł. Przeciągając dłonią po czole przenosił znad księgi przerażone oczy na Serwacego i wbijał je znów jak urzeczony w dół karty. Potem pochwycił foliał. Kartkował go gwałtownie doszukując się pierwszej stronicy, potem rzucał się ku jego końcowi i znowu powracał do tamtej karty. Podnosił ją, zaglądał pod światło, mierzył ukośnym spojrzeniem z boku. Gorączkowo porównywał oba zapisy z poprzedzającymi i następnymi. Charakter pisma był niemal ten sam, tylko owo „oraz Paweł, syn Damiana, obywatele miejscy” przy końcu pierwszego ciałniej dopisane... I jaśniejszym inkau-

Księga była sprzed czterdziestu sześciu lat, czyli on, Damian, powinien by mieć teraz — rachował gorączkowo — powinien by mieć ile? A no najmniej koło pięćdziesiątki...

— Legitime natus iura retinet patris — bębnił obojętnie i rzeczowo Serwacy.

— I ten plac za bramą Szewską wam by się chyba należał. Jakbyście się procesować zaczęli.

Damian zerwał się z zydlu. Trzepał rękami z przerażeniem jakby się opędział od roju trzmieli.

Serwacy ziewnął szeroko.

— A no jak wam wola — powiedział. — To ja lecę do szkoły. Na farze już dawno dzwoni.

Damian mruknął frasobliwie jak do siebie:

— Inkaust jaśniejszy.

Serwacy ziewnął znowu.

— Nie udało się zrobić ciemniejszego — zauważył tonem rzeczowej ale obojętnej informacji.

Damian zakaszał się gwałtownie. Serwacy przysuwał już do siebie foliał, by go zamknąć. Nieostrożnie uchwycony brzeg karty naddał się z suchym trzaskiem.

— Uważaj! — poderwał się Damian niespokojnie.

XVII

Monika strzeliła stołkiem, potem jeszcze mocniej cynową misą.

— Monika, Monika! — zmiłgował ją Piotr.

Wzburzyła się.

— „Nie rozumiem” i „nie rozumiem”! — krzyknęła przedrzeźniając go. — Z tym twoim „nie rozumiem”! Jak to może być, żeby taki człowiek uczony ciągle nie rozumiał? Pewnie sam dobrze wiesz, tylko mnie nie chcesz powiedzieć, bom ci za głupia!

— Naprzód, nie krzycz — powiedział surowo — bo tego nie lubię.

Popatrzyła na niego wystraszonymi oczyma i uspokoiła się od razu.

— A po wtóre jak zrozumieć, że ludzie mają oczy, patrzą nimi a nie widzą? Czemu na ten przykład nikt nie widzi, ile wart taki Jan? Pewnie dlatego, że nigdy sam o sobie nie gada ani się przed innych nie wypycha? Za to widzieli swego obrońcę w krzywym Jakubie, który prędko zaczął tańczyć, jak mu gra Rada. A co widzą w takim Damianie? Naprzód ni z tego, ni z owego zaczyna się rumor, że to on powinien wejść do Ławy czy nawet Rady — a potem nikt o nim nawet nie mruknie, kiedy Rada przywraca wigintywirów. Jak został pisarzem, znowu on jeden sprawiedliwy. A teraz i to już najlepsze, zjawił się drugi, jeszcze sprawiedliwszy: Melchior. Melchior, bo oddał — co tam: oddał! — bo o b i e c u j e, że odda cechom ten plac, o który się cechy procesowały z Łukaszem, a który Melchior razem z domem wydarł jakimś ciemnym sposobem temu nieszczęśnikowi.

— Brygida gadała, że dom i plac był dany w zastaw długu.

— A no w zastaw, w zastaw... Tylko że cała klauzula o zastawie była dopisana do zapisu dłużnego już po podpisie pisarza, tego dawnego. Prawda, że zaświadczona ponownym podpisem i jego, i jeszcze Damiana. Dziwaczna to jednak jakaś forma. Damian, jakim go raz o to zagadnął, popatrzył na mnie jak na diabła, zabełkotał coś i tylem go widział. I w ogólności, jak mnie spotka, to zaraz w jakiejś bramie przepada, albo mnie kołem obchodzi a ślepiami mnie bodzie jak nożami. Czego on chce ode mnie?

— Nie, wiesz Piotruś, ten Damian, on już całkiem jakoś zgłupiał. Kiedyś tu przed południem weszłam do kościoła, nikogo nie było, ino w bocznej kaplicy kto? Damian. Przystawił sobie zydel i temu złoconemu pyzatomu aniołowi, co tam z boku, nad ołtarzem, wymierza sznurkiem coś na gębie i sobie zapisuje na karteluszk. Raz na czole, potem od nosa do ucha i znowu od nosa do brody. Całkiem już — popukała sobie palcem w czoło.

Machnął na to ręką.

— A niech sobie wymierza gęby aniołom, z tego przynajmniej nikomu nie będzie krzywdy ani nikt się nie powiesi, jak Łukasz. A jeszcze jak się tak powiesił nagle po tych tajemniczych odwiedzinach w nocy u Melchiora — właśnie w dzień płatności długu, to niby przez kilka dni pomrukiwano coś o nieludzkości Melchiora a i gorsze jeszcze były domysły i podejrzenia. Ale jak Melchior — i to po miesiącu dopiero! — wyciągnął zapis dłużny z ową klauzulą a teraz wyrzucił Łukaszową z dziećmi z domu, ale równocześnie obiecał oddać plac w używanie cechom, to już nie tylko nikt nie mruczy ani niczego nie podejrzewa, ale cały plebs w nim teraz widzi swojego patrona i obrońcę przed Radą. A ty byś chciała wiedzieć, czemu tak się wszystko dzieje, jak się dzieje! I to dobrze Monika — złagodził głos — że chciałybyś. Każdy, kto myśli powinien chcieć zrozumieć, dlaczego się wszystko dzieje na świecie — i ja także chciałbym, nawet bardzo, cóż kiedy nie potrafię. I zaczynam sobie myśleć czy w ogólności ktoś potrafiłby, tak jak nie potrafi się zrozumieć, czemu coś robi człowiek, któremu się we łbie pomieszało. Doprawdy, że tu — tu bym się już nawet nie dziwił, jakby się w tym kto jakich czarów dopatrywał.

— W czym?

— A no w tym całym ludzkim szaleństwie czy głupocie. A ty jak dziecko powtarzasz tylko swoje, że ja wiem, tylko tobie nie chcę powiedzieć!

Odkrzyknęła mu prawie z płaczem:

— No to jak to, to ma być taki świat, że się człowiek na nim kręci jak ślepy i nic nie rozumie, całkiem nic? I to w tym się ma żyć? To po co w takim razie chcieć coś robić? Po co ty ludziom perswadujesz, że Jan lepiej by ich na ratuszu bronił niż Damian czy jakiś inszy?

— Już im przestałem cokolwiek perswadować — powiedział gorzko i bezsilnie.

— I po co się w ogólności mieszasz do tych ich spraw? A tak cię prosiłam: nie mieszaj się! I do tych na mieście, baranów jakichś, i do tych na ratuszu...

— ...wilków — wyrwało mu się dopełniając.

— A juści że wilków, juści! Albo przynajmniej złych kundli i lisów. Bo po co to, po co?

— Po to, żeby być człowiekiem! — wybuchnął z pasją dla siebie samego niespodzianą. I zaraz poczuł zakłopotanie.

— Człowiekiem? — powtórzyła niepewnie. — Przecie my i bez tego ludźmi...? Ja ciebie nie rozumiem — nachmurzyła się znowu.

— Zrozum — zaczął ze szczerą udręką i niemal prosząco — że to nie łatwo powiedzieć. Że jak się mówi, to to już nie to co człowiek ma w duszy i że się sam sobie wtedy wydaje jak jaki... jaki brzuchacz w habicie, co z ambony ćmi oczy ludziom łganym gadaniem! Albo jak jaki bałwanowaty bakałarz, co powtarza cudze wyświechtane słowa. Być człowiekiem — chyba zawsze ludzie czuli, co to znaczy, przynajmniej niektórzy. I Grecy i Rzymianie, i Żydzi, i poganie, i nawet Turcy — chyba tylko jakieś dzikie Tatary nie. To chcieć jakiegoś dobra nie tylko dla siebie i bronić ludzi przed krzywdą.

— A jak się to na nic nie zdaje?

— O, widzisz — pochwyił jakby sam doznał nagłego oświecenia — to to właśnie: być człowiekiem, to r o b i ć to wszystko, chociaż się wie, że się to na nic nie przyda!

Słuchała sposepniała. Powiedziała:

— To gorzko jest być tym człowiekiem.

Rozłożył bezradnie ręce.

— I ty chcesz dalej tak...? Dalej być takim...?

— Chcę...? Powinien bym chcieć. A częściej nie potrafię niż potrafię.

Widział jak skrycie cichutko jakby odetchnęła. Nie powiedziała już nic, ale pochwycił potem kilka razy jej ukradkowe, pełne trwożnej troski spojrzenia. A kiedy wychodził, niewinnie powiedziała unikając oczyma jego oczu, że on pewnie idzie naprzód do tego starego za bramą rzeźnicką, któremu drzewo nogę przywaliło?

Choć mu nie było wesoło, uśmiechnął się mimo woli na tę chytrą.

— Nie bój się, nie, nie idę do ratusza. Nie będę się dziwował mądrości panów rajców, choćby tam dziś na miejsce Łukasza wybrali do Ławy nawet kogoś takiego jak... jak ten bałwan, ten parobek Damiana, co to uciekł, ten, w którym pospólstwo także chciało już widzieć swojego obrońcę przed Radą. Nie będę już nic gadał, bo mi trudno zdobyć się na to. A powiniennem, powiniennem.

Rozplakała się i objęła go mocno. Przez szlochanie mówiła mu, że z niej czasem taka jędza tylko przez to, że się tak o niego boi. Nie taka przecie z niej klempa od warzachwi i kołowrotka, żeby nie czuła, co znaczy to, co on mówi. Że to jest bardziej... bardziej po bożemu niż niejedno księżę gadanie z ambony. Ale ona się tak o niego boi!

Wyszedł wzruszony. A więc ona rozumie — myślał — rozumie jednak, choć nie potrafi tego powiedzieć. Jemu samemu zresztą, jemu także bodaj pierwszy raz dzisiaj, i to właśnie w tej rozmowie z nią, udało się pochwycić tę sprawę w słowa. Tak, bo to w tym właśnie rzecz, żeby choć się wie, że to się wszystko nie zda na nic, mimo to tak robić, jakby się miało zdać na coś. Ale czy musi się już tak zawsze, zawsze na nic nie zdawać? A może przecież choć w jednej drobnej, choćby najdrobniejszej części coś z tego dobrego wykiełkuje? Czy człowiek to może wiedzieć i osądzić?

Południe dobrze już minęło, kiedy wracając do domu szedł ciasną uliczką uchodzącą do ulicy Szerokiej. Był od niej już o kilkanaście kroków, gdy w wylocie uliczki zobaczył wynurzających się tam naprzód dwu ogromnych trabantów, nosidła lektyki, potem lektykę z zapuszczonymi firankami, znowu dwu trabantów.

— Melchior — pomyślało mu się. — Ten się umie dać nosić! Niczym papież w Rzymie.

Doszedłszy do Szerokiej mimo woli przystanął na rogu patrząc za tamtymi. W tej chwili ktoś go mocno potracił sadząc ogromnymi krokami za lektyką. Piotr usłyszał zdyszane sapanie tamtego, ale dopiero po chwili rozpoznał w człowieku Damiana. Bakałarz zrównawszy się z lektyką dobiegał już do jej firanek, kiedy warknięcie i bezceremonialne pchnięcie trabanta odrzuciło go pod mur domu. Równocześnie nie wiadomo skąd, bo Piotr zobaczył go dopiero w tej chwili, zjawił się między lektyką a Damianem — Serwacy. Szedł przy lektyce i bąkał coś przez ramię do Damiana. Ten ruch głowy i podniesiona brew zdumiały Piotra tak, że stał nie mogąc odwrócić oczu.

Odepchnięty przez trabanta pod mur Damian patrzył bez ruchu za lektyką, która zatrzymała się już przed Melchiorowym domem „Pod okiem Opatrzności”. Piotr zobaczył gramolącą się ciężko z lektyki i znikającą w bramie zwałistą bryłę Melchiora a za nim drobną figurkę Serwacego, potem trabantów wnoszących lektykę przez większą bramę wjazdową. Dopiero teraz Damian odwrócił się i począł iść z powrotem trąc czoło jak ktoś, kto ocknął się z nieprzytomności. Ale nie doszedł jeszcze do Piotra, kiedy nagle zawrócił i pędem prawie podbiegł znów do bramy „Pod okiem Opatrzności”. Porwał kołatkę i walił nią jak toporem w bramę, raz po raz, zaciekle, bez przestanku. Na próżno. Nie otwarła się.

Piotrowi zrobiło się głupio. Cóż za widowisko daje tu z siebie ten niewydarzony bakałarz! Ludzie się gapią.

Gromadek ludzi zbierało się rzeczywiście coraz więcej. Kiedy Damian zaczął walić jak nieprzytomny w bramę, buchnęły tu i ówdzie śmiechy. Piotr przemógł się i podszedł prędko do bakałarza.

— Mistrzu Damianie — powiedział przytrzymując mu rękę z kołatką — zostawcie... W tym domu nie uznają widać naszych obyczajów. Nie dawajcie gawiedzi powodu do uciechy — dodał ciszej.

Damian wyszarpnął ramię z Piotrowego uchwytu, ale jakby przytomniejąc rzucił raptownie dokoła oczyma. Zaciskając wydatne żuchwy gęsto porosłe szczecina zarostu odwrócił się od Piotra i z pochylonym łbem ruszył wprost na najbliższą grupkę gapiów. Rozstąpili się przed nim, teraz już niemal ze strachem w oczach. Przeszedł nie oglądając się.

Kiedy Piotr po powrocie do domu usłyszał od Moniki, że burmistrz przysyłał z prośbą, by mu Piotr krew puścił, był trochę zdziwiony. Tym mianowicie, czemu burmistrz prosił o przyjście „jak zmierzch zapadnie”. Parobek burmistrzowy powtórzył to kilka razy, tak jakby przy zleceniu położono na tym szczególny nacisk. Czyżby burmistrz czekał na jaką odpowiednią astrologiczną konstelację? Jak dotąd Piotr nie zauważył nigdy u niego szczególnego zainteresowania ani przejęcia astrologią.

Nagle wezwanie do chorego sprawiło jednak, że poszedł nie o zmierzchu ale dopiero późnym wieczorem. W izbie, do której go wpuszczono, burmistrza jeszcze nie było, Piotr słyszał tylko dolatujący z izby sąsiedniej jego głos, stłumiony i z trudem przebijający się przez nieprzerwaną, upartą i kłótliwą strugę gadania burmistrzowej. A i potem, kiedy wyszedł wreszcie i siedział już z Piotrem, rzucał Szymon od czasu do czasu niespokojne spojrzenia na tamte drzwi. Przygotowania Piotra do puszczenia krwi odsunął zbywającym ruchem ręki niby na później ale potem całkiem jakoś o tym zapomniał.

Piotr zmiarkował prędko, że Szymonowi chodziło nie tyle o zabieg lekarski, ile o znalezienie sobie owego „dołka Midasowego”. Chciał jednak, nim dojdzie do tego, wyjaśnić burmistrzowi przyczynę swego spóźnienia. Właśnie wtedy Szymon spojrzał znów niespokojnie ku drzwiom, którymi wtaczała się gruba burmistrzowa z winem i konfektami.

— Ja by ino chciała — przerwała Piotrowi z miejsca jego tłumaczenia się — żeby wy mnie powiedzieli mistrzu Pawle...

— Na Piotra mnie chrzczono.

Machnęła ręką.

— Mnie za jedno czy Piotr czy Paweł.

Szeroka twarz burmistrza nabiegła ciemną czerwienią.

— Nie gadajże byle czego — powiedział perswadująco.

— ...żeby wy mnie powiedzieli — sapła napastliwie nie zważając zupełnie na niego — co wy macie tyle do roboty? Na ratuszu nie siedzicie jak mój, sądów w Ławie nie odprawujecie. Że tam czasem pójdziecie komu brzuch pomacać, to jeszcze wam za to worek napychają. Ino dla mnie leku nie chcecie znaleźć, żebym nie była taka gruba.

— Mniej jeść, pani burmistrzowo, chudziej i mniej — powiedział Piotr siląc się na spokój. Chciał dokończyć: zamiast trzech misek jedną, ale przygryzł wargi.

— E tam! — zbyła to z lekceważącą złością. — Na takie leki to mi i medyka nie trza. A mnie się nie chce jeść chudziej! A lek i tak będę miała. Nie chcecie dać wy, to da ktoś inny.

W Piotrze zagotowało się. Ale w tej chwili zobaczył jak Szymon kręci się niespokojnie ze spuszczonego oczyma, chrząka, skubie szubę na piersiach. Rozbroiło go współczucie dla przykrości i zakłopotania burmistrza.

— Jak wam wola, pani burmistrzowo — powiedział lodowato. — Jak wam wola.

Ten ton osadził ją w miejscu. Zająknęła się i łypnęła niepewnie.

— Poszłabyś lepiej do czeladnej — wpadł zadychując się Szymon. — Dziewki czekają na ciebie i czekają.

— Bo ja — zasapała już bardziej ugodowo — co mam na sercu to i na języku. A wyście, mistrzu Piotrze, zaraz gniewni — ale dała się mężowi łagodnie wypchać z izby.

— Darujcie, mistrzu Piotrze — jąkał Szymon — nie po tom przecie was tu prosił, żebyście babskiego pytlowania słuchali, e... Mojej to tak humory czasem do głowy uderzają,

czy jak to tam nazywacie, wy synowie Eskilip... jak mu tam? Aha, Eskulapa, Eskulapa. A ja z wami chciałem pogadać. Bo tak, po prawdzie, nie ma z kim. Niedobrze jakoś, mistrzu Piotrze — chwia! z zatroskaniem głową — coś tu z tym wszystkim niedobrze. Coraz sobie ten Melchior dufniej poczyrna, coraz więcej zagarnia. A jak teraz jeszcze w Ławie będzie siedzieć...

— To wbrew waszej woli go Rada wybrała? — uniósł brwi Piotr. — Myślałem, że...

Szymon sapał długo.

— A żebyście wiedzieli, że wbrew — wytchnął wreszcie. — Tak to już niedobrze się dzieje, że wbrew.

— Hm — niby to dziwował się Piotr — a mnie się widziało, że... żeście mu raczej byli radzi?

— A no z początku byłem, prawda — sapnął. — Może i nie tyle rad, co... Rozumiecie, taki bogacz zawsze to dla miasta korzyść. Tośmy mu już dali to obywatelstwo miejskie, choć to nie całkiem wedle praw naszych... A i ten cały książe list — chwia! głową. — Ale teraz, to mi już, wiecie, zaczyna być nie w smak. Podarki rajcom i ławnikom szle... Z początku brałem, bom myślał, cóż, człowiek bywały, dwornie sobie poczyrna. Ale już teraz nie wziął. O, nie w smak mi to, zgola nie w smak. Jedną ręką grosze sypie a drugą... Patrzcież się, teraz na miejsce w Ławie po nieboszczyku Michale wepchał tego... tego, tfu, krzywego Jakuba.

Piotr udawał ciągle zdziwienie.

— Jakże to: o n wepchał? Przecie Rada wybierała nie on?

— Juści Rada, Rada! — zniecierpliwiał się Szymon. — Ino że Rada zrobiła, co on zechciał. Za te futra i czepce z perłami dla rajcowych i łańcuchy i beczki wina dla rajców.

— Uhum. I to o n chciał mieć w Radzie Jakuba?

— A on, on. Całkiem do niego na służbę poszedł ten... ten wrzaskliwy kuternoga.

— I Rada zrobiła wedle Melchiorowej woli! — wykrzyknął Piotr. — Ta sama Rada, co jeszcze tak niedawno gnoila Jakuba w wieży ze zbójami i na was okrutnie była krzywa, żeście go puścić kazali! A to, juści, czary jakieś, prawdziwe czary! — roześmiał się zjadliwie.

— Że czary? — zaniepokoił się burmistrz. — Czyje czary, mówicie, Melchiora?

— A no nie wiem ja czyje, nie wiem. Na czarach, wiecie panie burmistrzu, to nic się nie rozumiem. A i w ogólności — dodał prędko widząc zaokrąglone oczy burmistrza — ot, dla śmiechu tylko tak o czarach powiedział, że to wszystko to niby taka dziwota, że i czary by większą nie były. Bo to znowu ten Jakub, coście go kiedyś przeciw Radzie bronili a potem na starszego wigintywirów popchali.

Nabiegająca od chwili mocno krwią twarz Szymona pociemniała jeszcze mocniej.

— Popchałem — przerwał nie patrząc — bo mi się zdało, że się ustatkował.

— ...tenże sam Jakub teraz słucha rozkazów Melchiora i wam okoniem staje?

— Kogo ja zresztą miałem na starszego wigintywirów pchać, powiedzcie sami, mistrzu Piotrze, no kogo?

— Hm — mruknął Piotr — a takiego na przykład Jana?

Szymon zdziwił się bardzo.

— Który to Jan, myślicie? A, ten od piekarzy? No wiecie, wiecie... ten, to mi nigdy nie przyszedł do głowy... I... skądże by on? To już prędej, żeby kogo takiego mądrego znaleźć jak wy — urwał i zakłopotał się mocno. Sięgnął ku piersi ale nie znalazłszy na niej łańcucha skubnął raz i drugi skraj futrzanej szuby. — No nie do wigintywirów — poprawiał się prędko zmieszany — bo to dla plebsu i cechów, ino właśnie do Ławy, do Ławy... Ej, że mi to jakoś wcześniej do głowy nie przyszło — mówił jakby sam zdumiony tym odkryciem i coraz mocniej zakłopotany. — Przeciw wam by rajcy przecie byle kogo wybierać się nie ośmielili.

Piotr pokiwał dobrodusznie głową.

— A ja myślę, żeby się ośmielili. Co tam zresztą o tym gadać, panie burmistrzu. Sądenie ludzi i rajcowanie to nie mój zawód. I dobrze się stało, że wam to do głowy wcześniej nie przyszło. Ale powiedzcież mi, co to za sprawa tego Melchiora z domem Łukasza?

— No właśnie — sapnął zawzięcie burmistrz — z domem Łukasza. Nieboszczykiem pisarzem on się świadczy i tym... tym Damianem. Ten Damian co on właściwie? Czy on by... Co wy o nim myślicie, mistrzu Pietrze?

— Jest dziwadło jakieś, jest — powiedział Piotr wymijająco. — Czy ja wiem? Jak to wśród bakalarzy bywa. A ten jeszcze z nich nie najgorszy. Drogi do Indii, jak ów Kolumbus, też by pewnie nie odkrył.

— Nie odkryłby, powiadacie? — roześmiał się burmistrz, ale potem podrapał się kłopotliwie za uchem. — Chciałem mu dać tę izbę po nieboszczyku pisarzu, bo prosił, ale mi potem powiedziała moja jejmość, że on już nie chce, bo mu za licha. I żeby ją dać temu jego lokatorowi, Serwacemu. No dałem, wiadomo: jak się białka uprze, nie poradzisz. A teraz i z tym chłystkiem coś mi się tu nie widzi. Po ratuszu się pęta jak u siebie — że to niby Damianowi przy pisarzowaniu pomocny, a tam, na Szeroką „pod oko Opatrzności” często coś, słyszę, kołacze.

— I otwierają mu? — spytał Piotr.

Szymon zdziwił się pytaniu.

— No juści, jak kołacze, to otwierają.

— Jak komu. Bom ja dziś widział — wyjaśniał Piotr — jak Damian kołatał tam, co siły, a nie otwarli.

Burmistrz plasnął aż dłonią w stół ze zdziwienia.

— Popatrzcież — krzyknął — to mnie to już raz ktoś opowiadał, że taką rzecz tam widział! I czego on tam szuka? Tu pisarzuje, przysięgał, a tam...?

— No ale tam go nie wpuszczają — uśmiechnął się Piotr uspokajająco.

Burmistrz wytrzeszczył w pierwszej chwili oczy. Potem wybuchnął szerokim, jowialnym śmiechem.

— A wam by, mistrzu Pietrze, zazdrościć tego spokoju! I żartobliwości! Nie wpuszczają go! A toście mnie uspokoili, ha-ha-ha! A bodajże was! Aż człowiek przy was na chwilę zapomni o swoich troskach! Czysty dar boski taka spokojność ducha, niczym u owych starożytnych mężów — jak im tara było? Stoiki czy jakoś?

— O tak, czysty dar boski — pokiwał Piotr głową powstając.

Szymon popatrzył nań uważnie. Śmiech przygasał mu na twarzy. Spytał niepewnie:

— Coście to tak żałośliwie jakoś powtórzyli?

Piotr machnął ręką zbywająco.

— Ale powiedzcie mi też jedno, panie burmistrzu, bo ani rusz mi tego pojąć. Jak to jest: Rada wybiera Melchiora, za którym gardlują cechy i pospólstwo za to, że się głosi ich obrońcą przeciw Radzie?

Szymon zatrząsał powiekami. Dolna szczęka obsuwała mu się w wyrazie zaskakującego niepomiarkowanego zdumienia.

— Juści — wybąkał przeciągając dłonią po czole — jakże to... jakże to właściwie jest wszystko...?

XVIII

Błyski łuczyw rozpląszczały się i sunęły po śniegu w grudniowym zmroku rynku i Damian pomyślał zaraz, że to z pewnością lektyka Melchiora. Maszkary karnawałowe nie przesuwają się tak cicho a nikt inny nie dawał obnosić się z taką pompą. Ale widok jej nie budził już takiego poruszenia jak jeszcze niedawno, stawał się teraz już rzeczą dość powszednią. Pewnie, skoro Melchior był już ławnikiem, musiał częściej pokazywać się ludziom.

Pokazywać! Na ulicach nie pokazywał się dalej nikomu: firanki lektyki były dalej zapuszczone. A na sądach Ławy czarna przepaska na oku osłaniała prawie pół twarzy a czarna grzywa włosów czy peruki nie pozwalała wiele zobaczyć z reszty. Nie ma tego oka czy ma bielmo na nim czy zeza, że je tak osłania? Nie, to jednak nie może być, żadną miarą nie może być Pankracy!

Zgrzytnął zębami. Ale jego nieszczęściem, jego zmorą jest w każdym razie! A to go wykierowali, to go okpili z tym wyborem do Ławy! Jak głupiego chłopca, co pierwszy raz przyszedł do miasta. Serwacy, burmistrz, wszyscy ale przede wszystkim Serwacy, ten obwieś i okpiświat, co go łudził poparciem Melchiora. Ławnikowaniem mu oczy ćmili, żeby i tym w garści go mieć przy sprawie z domem Łukasza. A ten hycel dziś znów nie przyszedł do szkoły. Już on, Damian, jutro się go spyta, czemu — już on...! No co: już on...? Co mu zrobi? Nawet zwyzywać hycła teraz się już boi... Tak mu się wypłaciło, że milczkiem przystał na sfałszowanie przez tego łotra zapisu o, niby to, obywatelstwie ojca... Ani miejsca w ławie, ani, od tego czasu, chwili spokoju, tylko wieczny strach, gorszy jeszcze, wiele razy gorszy niż był przed Pankracem. Pankrac... Nie, to niemożliwe, żeby to on, tamten tępy, ledwo z gruba ociosany bałwan przedzierzgnął się w kutego na cztery nogi zbója Melchiora, boć to czysty rozbójnik, łotr spod ciemnej gwiazdy! I takiego wzięli do Ławy! Ej, kiepsko, kiepsko mu się obróciły sprawy z tymi jego kukłami... Kiepsko a on chce jeszcze trzeci raz próbować? Czekają tam przecie już u niego w komórce na strychu, prawie gotowa... Widzi już niemal żywymi oczyma, budzi się niemal co dzień z tym coraz bardziej natarczywym obrazem, jak to pierwsze drgnienie przebiegnie przez tępa pałubę twarzy, ale już nie żółto-gliniastą jak u Pankraca czy Serwacego, o nie! Różową, z prawdziwymi rumieńcami, z czerwonymi ustami i złotymi włosami, jakie jej wymaluje. Złotymi czy lepiej miedzianymi? Jakie jej farby najlepiej dobrać, jakie, żeby najbardziej kusiła, tej... tej Modeście? Tak ją nazwie, że niby taka skromna, ha-ha! Skromna! On im jeszcze przez nią zagra! Tak, tak: przecie gdzie diabeł nie może, tam babę pośle! Na Serwacego a kto wie, może i na Melchiora? A może i na Bernarda? A gdyby tak na ten przykład i stary grzyb Adrian dał się na nią złapać, he? To by wszyscy diabli mieli uciechę, no i on, on, Damian, jeszcze przed nimi!

W zamykanym już na noc kramie na rynku kupił resztę farb potrzebnych na nią. Zaczął je w domu rozgotowywać na ogniu w kominie. Długo biedził się zwłaszcza z różowością, co miała być na jej twarz i ciało. Nie wychodziła dobrze na mokrych bryłach gliny, więc spróbował na własnym policzku. Sprawdzał właśnie skutek w szczybie zwierciadełka, kiedy zastukało do drzwi. Wzdrygnął się tak, że omal nie puścił z rąk zwierciadełka. Każde niespodziane zastukanie do drzwi przejmowało go teraz takim strachem. Dłonią a potem rękawem otarł na gwałt policzek z farby, dygocącymi rękami wtykał pod tapczan bryłki gliny, szukał w popłochu miejsca na garnki z farbami. Wcisnął je wreszcie w kąty paleniska i dopiero wtedy odsunął zasuwę drzwi. Odetchnął zobaczywszy Serwacego. Ale zaraz zaniepokoiła go mina tamtego. Z czym on znowu?

Serwacy pochylił mu się do nóg układnie, po dawnemu. Wszedłszy przystanął jednak w milczeniu. Unosił brwi, skrobał się w głowę, podnosił oczy na Damiana i frasobliwie błędził nimi po izbie. Zamiar Damiana, by mu pokazywać minę jak najbardziej władczą, nieprzebieganą i posępną, topniał jak śnieg w ogniu. Odwrócił się jeszcze — niby żeby dorzucić dREW do ognia — ale nie wytrzymał. Burknął jak umiał najwynioślej:

— Czego chcesz?

— Ja przyszedłem — Serwacy spuszczał oczy i przestępował z nogi na nogę — bo tego... bo niedobrze, mistrzu Damianie...

Serce walnęło Damianowi pod gardłem. Usiłował się opanować.

— Co niedobrze? — mruknął niby to niedbale.

— Niedobrze z tym... tym waszym zaświadczeniem na zapisie.

— Podejrzewają co? — przeraził się głośno Damian zapominając o wszelkiej taktyce.

— Pan burmistrz mówili — stękał Serwacy wytrzeszczając naiwnie bezbarwne oczy — że tego...

— Że co? — wrzasnął Damian szarpiąc go za ramię

— Żeście niedobrze wypisali nazwisko kupca na zapisie o sprzedaży młyna. Jemu nie Bernard, tylko Be... Benedykt.

Damian z trudem opanował chęć pchnięcia jednym zamachem Serwacego łbem w huczące ognisko. Nieznacznie otarł pot z czoła. Ale nagle zalała go fala ślepej wściekłości.

— Ty — zapienił się — ty myślisz, że ja się zawsze dam tak dusić jak stryczkiem twoim fałszowanym zapisem o moim ojcu? Jużście mi, ty i ten twój Melchior, zatkali tym gębę jak glinę, jakeście fałszowali Łukaszowy zapis z moim podpisem. Ale już tego dość! I to se pamiętaj, że jak mnie dadzą katu, to was jeszcze przede mną!

Serwacy opuszczał kąty ust jak dziecko, któremu się na płacz zbiera.

— Mistrzu Damianie — mówił skrzywdzonym półgłosem — nic nie wiem, o coście tacy gniewni. Non liquet. Za co katu i was, i mnie? Że pomyłony Łukasz zrobił taki głupi zapis? I co wy tak mówicie: ty i twój Melchior? Gdzie mnie do sławetnego pana Melchiora, ławnika?

— Nie łzyj! — wrzasnął resztką opadającej pasji Damian. — Jak kundel się mu łasisz! Pod „oko Opatrzności” ciągle łasisz! I ciebie hyclu, dopuszcza do siebie sławetny ławnik, pan Melchior, ino mnie nie raczy!

Serwacy zdziwił się ogromnie.

— Mnie dopuszcza? Toć wy nie wiecie, mistrzu Damianie, co on za dziwak! Do niego to całymi dniami, ba, tygodniami nieraz nie ma nikt przystępu. Ja to jeszcze nie widział jego twarzy. Przez swego szafarza ino rozkazy wydaje. Jakbyście kazali mi powiedzieć, jak on wygląda, to bym nie potrafił. Taki z niego jakiś cudak. Gadają ludzie, że pono wielką kiedyś niedolę przechodził i dlatego taki. Gdzie tam mnie do niego! A że ja tam czasem zastukam, to wiecie — spuścił skromnie oczy — ino się boję, że będziecie znów na mnie gniewni — jest tam jedna taka gładka dziewczka przy kuchni... To i w garnku czasem coś dla mnie zostawi... A co do tego, że pan Melchior teraz w Ławie, to on nie chciał. To rajcy go tak wbrew jego woli wybrali. I pan burmistrz, powiadają, bardzo za nim obstaje?

— Burmistrz? O burmistrzu toś mi także przedtem łągał, że burmistrz za mną!

Serwacy spuszczał oczy, rozkładał ręce, kręcił głową z wstydliwym zakłopotaniem.

— Kiedy bo... ino że nijak to gadać o panu burmistrzu takiej mizerocie i chudopachol-kowi jak ja — pan burmistrz to, wiecie, czasem zgoła inaczej coś sobie myśli niż mówi. Ale pan Melchior to on was bardzo poważa i jeszcze dziś, o — grzebał w przyniesionym pod pachą zawiniątku i wyciągał wytarte futerko — dla was przysyła kaftan lisiurą podbity. Będziecie w nim wyglądali niczym rajca... Tak jak i w tym nowym tabardzie od pana Melchiora.

— „Nowym”! — wykrzywił mu się Damian wdziewając kaftan. — Dwie łaty ma i rudą plamę.

— Ale to z tyłu. Z przodu nic nie widać. Wyglądacie w nim godniej niż poniekóry kanonik z fary. A jeszcze z takim rumieńcem na gębusi, jak macie z prawej strony.

Damian sięgnął w popłochu do policzka ale zaraz się opanował. Fuknął z nadrabianą srogością:

— Ty swoim dziwkom gadaj o rumieńcach na gębie, chłystku jeden, nie mnie!

— Kiedy... bardzo pięknie wam było tak — zawrócił z zachwytem oczyma Serwacy — tom myślał, że taki rumieniec... A wy może jakie kukły i maskary na karnawał malujecie?

— Co maluję, to maluję. I tak, głupi, nie zrozumiesz! — srożył się Damian a w duchu myślał ze strachem: — Ten by bestia czego nie zrozumiał! Za dobrze by zrozumiał!

— Jejejej, wszystko potraficie, nihil incomperum tibi, mi magister, nihil! — zachłystywał się podziwem Serwacy.

XIX

Tego przedwiosennego dnia Piotr powróciwszy późnym wieczorem do domu, usłyszał od Moniki, że mają gościa. I to wielce jakiegoś osobliwego.

— Przeprowadził tu — mówiła — Damian jakąś swoją siostrzenicę czy bratanicę. Cóż to za stworzenie, mówię ci! Jeszczem czegoś takiego jak żyję nie widziała!

— No?

— I czyby ona u nas w izdebce jakiej nie mogła się na jakiś czas przytulić. Bo to, powiada, ze wsi przyszła taka, a on u siebie nie chciałby jej trzymać, bo powiada, złe języki zaraz Bóg wie, co wymyślą, a Adrianowie to już pierwsi. A ona na jakiś dwór gdzieś w okolicy ma iść.

— Na służbę czy jak?

— Coś takiego, ale wiesz, dziś to już tak bełkotał, że ledwo, ledwo coś z tego mogła wymiarkować. Że ciebie szukał, żeby o to prosić, ale cię nie mógł znaleźć.

— Hm. Jeszcze coś, przedwczoraj mnie spotkał i — co mnie nawet zdziwiło — bardzo mi się skwapliwie i nisko ukłonił. Ale mówić nic nie mówił.

— Właśnie! Gadałeś przecie, że się od dłuższego czasu na ciebie krzywił. Tom i ja była dla niego trochę chmurna z początku. Ale tak już prosił, że w końcu myślę sobie... może nie będziesz o to krzyw? Na niedługo...

Machnął ręką.

— A niech mu tam. Ale czemu mówisz, żeś takiej nie widziała?

— Nie, powiadam ci! Oczy ma niebieskie jak gęś, pyski o, takie — wydeła mocno policzki — czerwone jak burak i to takie dwa plastry buraka! I wargi też takie buraczane. Włosy jakies niby złote... Nie, mówię ci, nic, tylko malowana kukła drewniana. I to drewniana, naprawdę drewniana! Stoi to jak drag, ani się nie ruszy, ani nie uśmiechnie, ani słowa nie wybąka. Damian powiada, że ona taka wystraszona, bo jeszcze nigdy miasta nie widziała i miejskich ludzi i obyczajów.

— Ten sobie także ciągle jakieś cudaki ze wsi sprowadza — zdziwił się Piotr.

— Ale żebyś ty widział, jak ona ubrana, ta Modesta! Bo woła się Modesta. Nie, to można boki zrywać! Ale ja się już nic nie śmiałam — zapewniła prędko — naprawdę Piotrusiu, wargim gryzła, ale się nic nie śmiała, żebyś mi znowu czego nie powiedział. Ma ci czerwoną spódnicę wiejską i buciary z cholewami, jakiś kubrak na to, jak moja prababka jeszcze nosiła — i taki nowomodny kornet na głowie! A ten kornet, to widziało mi się, musiał jej chyba już Damian sprawić, bo jej kilka razy zalecał, żeby na niego uważała, a raz, tak zachodząc z boku, wyciągał mnie na przyświadczenie, że ten kornet to cudo! Udałam, że nie rozumiem! Ja ino ciekawam na twoją minę, jak ją jutro zobaczysz.

Nie zaspokoila jednak swojej ciekawości, bo tak się złożyło, że Piotr na drugi dzień wyszedł z domu zaraz rano i owej Modesty w domu nie zobaczył. Zapomniał też o niej zupełnie i przypomniał sobie dopiero w sposób całkiem niespodziany.

Pogłoski o zbliżającej się jakoby zarazie zaprowadziły go mianowicie tego dnia na ratusz do burmistrza. Przechodząc sienią rzucił okiem w nie domknięte drzwi izdebki pisarza. Przez szeroką szparę zobaczył plecy Damiana i jego ręce wykonujące jakieś nie wytłumaczone ruchy rękami. Mimo woli przystanął i teraz dopiero dojrzał zasłanianą dotąd przez Damiana drugą postać, niewieściami. Nieprawdopodobnie niebieski kolor jej oczu, buraczane usta i rumieńce i poślótkowo żółte włosy przypomniały Piotrowi w tym mgnieniu relację Moniki o wyglądzie Damianowej siostrzenicy. Nie było wątpliwości, że to ona; gdyby zresztą Piotr był miał jakie, byłby je usunął strój tej figury. Równie osobliwe jednak jak ona było zachowanie się Damiana. Bakalarz poruszał rękami Modesty, ustawiał je tak i inaczej, nagiął i przechylał

jej głowę, ona zaś poddawała się temu najzupełniej biernie niczym nieruchawa kukła.

W niebieskich jej oczach nie błysnął nawet ślad myśli.

Nagle Damian odsunął się od Modesty i w widocznym niecierpliwym i pożądlwym oczekiwaniu utkwiał wzrok w drzwiach do sali Rady.

— Kogo on tu tak oczekuje? — dziwił się w duchu Piotr śledzący tę scenę z coraz większym zainteresowaniem.

Przez owe drzwi wszedł Serwacy. Pokłonił się układowie Damianowi, popatrzył na dziewczynę jak na kawałek drzewa i zaczął, bez żadnych objawów zdziwienia, szeroko coś Damianowi wywodzić czy tłumaczyć. Piotr nie słuchał tego zaciekawiony wyrazem twarzy Damiana. Bakałarz patrzył na Serwacego otwierając oczy coraz szerzej. Potem rzucił niespokojne spojrzenie na Modestę i zaraz na Serwacego, i znów na nią i na Serwacego — coraz prędzej i coraz niespokojniej. Miał w twarzy rosnące, coraz bardziej nieprawdopodobne zdumienie i zawód i widoczne też było, że zupełnie nie zwracał uwagi na gadaninę Serwacego. Wreszcie otworzył usta chcąc coś powiedzieć, ale kiedy Serwacy ruszył w tej chwili ku półkom z księgami odpychając przy tym Modestę niby zawadzający mu zydeł, bakałarzowi jakby utkwilo w gardle rozpoczęte słowo. Patrzył tylko za Serwacym otwierając usta coraz szerzej.

W tej chwili stanął na progu tych drugich drzwi burmistrz. Zwracał się do Damiana chcąc widocznie coś powiedzieć, kiedy spostrzegł Modestę. Stała z wygiętą sztywnie i niezdarne w łokciu i przegubie prawą ręką, tak jak ją ustawił Damian, z wykrzywionymi koślawo do wewnątrz palcami nóg w koślawych buciarach, w śmiesznie osuniętym na ucho kornecie, nieruchawa i tępą jak pomalowany jaskrawo bałwanek.

Piotr przygryzając wargi, aby nie parsknąć głośnym śmiechem, obserwował jak teraz z kolei twarz burmistrza zaczęła się rozciągać w wyrazie niepomiernego zdumienia.

— Kto-o to jest? — przeciągnął wreszcie Szymon z ruchem głowy w stronę Damiana, ale z oczyma utkwionymi bez przerwy w Modestę.

Damian wyginając grzbiet z usługnym szacunkiem wyjaśniał bełkotliwie i zawile, ale Piotr miał znowu wrażenie, że burmistrz słyszy z tego niewiele, bo niemal z osłupieniem wodził oczyma po tamtej dziwacznej figurze i jej cudackim stroju. W tej chwili jednak dostrzegł Piotr coś, co — teraz jego — zaskoczyło bodaj bardziej niż cała dotychczasowa pantomina Damiana i burmistrza. Oto w beznadziejnie tępej twarzy Modesty drgnęło coś żywego. Wolnym, jakby zbudzonym spojrzeniem przesunęła po własnej figurze i nieznanym ruchem poprawiła układ kiecek. Cofając wykrzywione buciary ukryła je pod spódnicami. Łypnęła na burmistrza, spuściła oczy i podniosła je na niego znowu.

Szymon, który przed chwilą z mimowolnym — jak się Piotrowi wydało — wzruszeniem ramion odwrócił się i począł mówić do Damiana, oglądając się na nią wzrokiem ciągle jeszcze nie mogącym ochłonać ze zdziwienia. I wtedy Piotr spostrzegł, że w dobudzonej z martwoty twarzy Modesty przewinęło się coś na kształt uśmiešku. Niby wstydlwego, niby zalotnego. Burmistrz zająknął się nagle, trzepnął niespokojnie powiekami a potem prędko zwrócił znów do Damiana. Wtedy Modesta ruchem teraz już skorym ale ukradkowym zerknęła uważnie w dół przed siebie i naprzód naprostowała kornet na głowie a potem przekręcając prędko i nieznacznie twarz w obie strony poprawiła go jeszcze nasuwając bardziej na czoło.

Był to ruch tak charakterystyczny, że zaintrygowany nim Piotr począł szukać oczyma na stole — zwierciadła. Zwierciadła tam nie było, leżały tylko ogromne foliały ksiąg miejskich w ciężkich, obitych skórą oprawach. Ale jeden z nich miał jeszcze duże metalowe okucia, gładkie i lśniące, bo przez wiele lat polerowane dotknięciami setek dłoni. Piotr odczuł pewien mimowolny podziw. Patrzcież: taki kół z płotu ale i tu potrafił sobie znaleźć coś, w czym się można przejrzeć...

I nagle zmiarkował, że w głosie burmistrza rozmawiającego z Damianem coś jakby się odmieniło. Płynny zazwyczaj tok jego mowy potknął się raz i drugi, przerwał, a kiedy się

znów poderwał, ciągnął się z wyraźnym wahaniem i niepewnością. Burmistrz mówił dalej do Damiana, obaj zaglądali do jednego z foliałów, wertowali w papierzyskach, pokazywali sobie w nich palcami, ale Piotr miał nieodparte wrażenie, że obaj byli myślami gdzie indziej. Spojrzenia burmistrza ześlizgiwały się ze stronic księgi i twarzy Damiana coraz częściej i niespokojniej ku Modeście, oczy Damiana biegały w coraz większym zaskoczeniu od Serwacego ku Szymonowi i z powrotem wytrzeszczając się jeszcze po drodze na Modestę.

Modesta stała niby ciągle w pozie nadanej jej przez Damiana. Ale była w niej już jakaś inna. Drażniący, wstydlivo zalotny uśmiezek lepił się jej w kątach ust. Podawała się nim cała ku burmistrzowi. I burmistrz przerwał nagle dyskurs z Damianem, poprawił kłopotliwie łańcuch na szyi, ukradkowym jakimś ruchem przygładził włosy na skroniach i wyszedł. Wyszedł z niespokojnym łypnięciem ku Modeście.

Damian z zawisłą jeszcze w jakiejś wątpliwości w powietrzu ręką patrzył za nim z opadłą szczęką. Potem zaczął długo i fraszobliwie drapać się po łbie, ażeby znów wytrzeszczyć się na Serwacego, w głębokim skupieniu zacinającego jedno po drugim pióra, i wrócić do Modesty. I znowu, i znowu. Czoło marszczyło mu się w trudzie wytężonego, zafrasowanego myślenia.

Piotr odwracał się już, by pójść dalej, kiedy zobaczył, że Szymon stoi znowu na progu pisarzowej izdebki. Wyraźnie zmieszany mówił coś prędko do Damiana, odchodził i jeszcze wracał coś sobie jakoby przypominając.

Ukradkiem spode łba zerkał na Modestę. Nie dziwił się już ani nie ruszał ramionami.

XX

Wielka izba grzęzła w gęstym i zimnym mroku. Tlejące w kominie ogromne kłody mrugały leniwie bladymi płomykami. Za oknami, z chmur tłoczących się niemal na dachy domów szumiały obojętnie płachty nieustępliwego deszczu.

Spod sterty spiętrzonych na wielkiej ławie koło komina kozuchów i futer zadudniło głucho:

— Gadaj.

Monotonny, bezbarwny głos odpowiedział z dalekiego kąta:

— Burmistrz.

Na chwilę przycisnęło się milczenie. Potem bezbarwny głos powtórzył:

— Burmistrz. Bruździ.

— Bruździ — odpowiedziało głucho spod futer.

Przelotny błysk światła z komina złapał się na mgnienie w kamieniach pierścieni na niekształtnych paluchach i zatlił w nich kilkoma wielobarwnymi iskrami. Trzasnęły szczerby zgniecione o stół kryształowego kielicha.

— Z nim tak!

— Jeszcze nie — poradzono beznamiętnie z ciemnego kąta. — Za prędko by było. Po Łukaszu.

W zapadłej ciszy rozlegały się tylko po drugiej stronie komina trzaski miażdżonych zębami orzechów. W płochliwym błysku ognia zamajaczyły buraczkowe wargi plujące w komin łupinami.

— Trza coś pogmatwać — odezwało się znowu z ciemnego kąta.

— Gmatwaj. Płacę.

— T o nazywacie p ł a c e n i e m? A ile wam wart dom „pod okrętem”?

— Kufo bez dna. Za czyj grosz kupiłeś za bramą szewską dom z ogrodem, he? Mnieś

go sprzątnął sprzed nosa.

— Jeszcze go dostaniecie. Poczekajcie.

— Poczekam! — zachrapało spod futer.

Deszcz szumiał obojętnie i spływał strugami po oknach. Ogień w kominie gmerał się leniwie. Trzaskały miazdżone zębami orzechy. Monotonny głos z kąta powiedział:

— Burmistrz połknął haczyk.

— He?

— Uhm. Ją — zamajaczyła w mroku drobna ręka wytykająca się ku trzaskom łupanych orzechów.

Siedziała tam rozwalona na ławie. Buraczkowe policzki miała wypchane miazgą orzechów. Czknęła, wypłuła resztkę łupin i zahuczała grubym głosem:

— Dalibyście co zećpać jeszcze.

— Tego tłuka? — zadudniło spod futer niedowierzająco.

— Uhm. Sam widziałem.

— Łżesz.

— Pewno, wiary trudno dać. Różne smaki na tym świecie. U burmistrza taki. Inszemu ona na rzyganie a ten do niej aż podskakuje. Ja się przyczyniłem.

— Ty?

— No. Fatałachym jej przecie kupował. Dla gładkości.

— Za mój grosz?

— Dla waszej korzyści. Burmistrz przez nią będzie w garści u nas. Warto.

— Te szmaty! — zahuczała niespodzianie. — Dziwki lancknechtów takich by chyba nie wdziały. W nich to się za mną i miejski pachol nie obeżry. I jak w tym do samego burmistrza?

— No, słyszycie? Czysta krowa, ale na szmaty rozum ma.

— Bo pewnie. Jedną rajczychę widziałam w kiece rozciętej na dole, takiej szerokiej, na sztywnej spódnicy. Teraz takie noszą.

— Zamknij pysk — poradził beznamiętnie głos z kąta i zmienił kierunek. — Temu ją do was przywiodłem.

— Skąd ją masz?

— Skądś ją Damian wydłubał.

— Damian? Pisarek? Właściwie... co za jeden, ten Damian?

Nie było odpowiedzi. Jakby mrok izby zgęstniał nagle w milczeniu.

— He?

— Zakuty czerep bakalarski — zasyczało z mroku.

— Wygrażał coś przy tamtym zapisie.

— Uspokoilo się go prędko. Barani łeb. Na wnętrzu go to uwiera, powiada.

— Uwiera? Co?

— Ja wiem? Oni mówią na to: sumienie.

— Gdzie to ma?

— Gdzieś w środku, powiada. Koło brzucha.

— Będzie wadził, to go jak chrząszcza!

— No. Będzie na to czas. Jeszcze nie teraz. Może się zdać. Jak przy zapisie. Jak i z tym tłukiem tu. Ona go trochę słucha. Jeszcze.

— He?

— Bo ja wiem. On gada, że to jego krewniaczka, ale on łże, co pysk otworzy. Ino że ona dla szmat wszystko a on do kupowania nieskory.

— Drewniany bałwan — charknęło w komin.

— Że tak grubo o tego... ociosany, myślicie? He, do śmiechu to, jak się takim bałwanom widzi, że mają coś do gadania i rządzenia.

Trzasnęło i załomotało mocno w mroku. Coś stuknęło ciężko o podłogę.

— E, chyba poręcz siedziska pod wami trzasła...? Za cienkie takie poręcze dla was. Com chciał rzec? Aha, że burmistrz. już się postarał, żeby ją od medyka zabrać. Tam mu było do niej nieswojo. A medyk z białką też jej oburącz nie trzymali. Jeszcze drzwi otwarli. U starej lisiury Jagnieszki izbę dla niej znalazł. Żeby mu było sprawniej.

— Jagnieszki spod Szewskiej bramy?

— Uhm. Powiada, że Damianowi tak pomaga w opiece nad nią — poderwał się piskliwy chichot i zaraz umilkł. — Ino nie wyrozumieć jak z tym jest, że pod pierzynę do niej okrutnie by się pchał, a znowu jakby go coś trzymało.

— He?

— Wiem ja? Może mu z tym złotym łańcuchem burmistrzowskim nijako legać z dziwką? A może przez starą?

— Burmistrzychę?

— Uhm.

— Nie da mu?

— Nijako to rozgryźć. Dba tak o nią czy jak? Na wewnątrz go uwiera, jego też?

— Hm.

— Uhm.

— To trza — trza...

— Trza potrząść głową.

— Hm.

— I grosza na to trza.

— Nie dam więcej — odwarknęło zaciekle. — Dałem dość.

— To trzęście sami głową.

— Żeby ci gnaty połamać, nie trza mi trząść głową.

— Cobyście z tego mieli? A tak, w zgodzie, coś sie pogmatwa i może z tego co być.

Zadudnił stół pod uderzeniem pięści jak pod młotem.

— Musi być! Bo niższy mieszkające na wysokości a którzy łupią aza i sami złupieni nie będą?

— Że... że co...? — zająknął się jak w osłupiałym zdumieniu głos dotąd monotony.

— A którzy gardzą, aza i sami wzgardzeni nie będą?

— A... aha — opadał powoli drugi głos. Zaczerpnął oddechu i przytwierdził, teraz już z całą powagą: — No tak, tak. Oczywiście, że będą, oczywiście. Dobrze powiedziane: będą sami poniżeni — oczywiście, oczywiście.

XXI

Zaokrąglające się coraz bardziej oczy Moniki — Piotr zauważył je w przypadkowym spojrzeniu — uświadomiły mu, że wychodzi z domu nie odezwawszy się do niej ani słowem. Zmieszał się i bąknął coś prędko, usiłując zrobić to ciepło.

— Przecie może nie będzie trzeba zaraz mu nogi ucinać! — powiedziała perswadująco i pocieszająco.

Zna go już, Monika, zna — myślał z zawstydzieniem brnąc zaśnieżoną ulicą. Bez żadnego gadania wie już, o co taki chmurny i zły. A co on na to poradzi, że wpada w taką złość wobec możliwości krajania nożem żywego ciała ludzkiego? Nie mówiąc już o konieczności obcinania ręki czy nogi. Wyrzucał sobie wtedy nieraz, że został lekarzem. Ale tak go przecie pochłaniał ten jego zawód. Tylko te jęki i ryki krajanych! To go wybijało na kilka dni z wsze-

lkiej równowagi. Ech, to chyba ślady jego niedoszętego zawodu duchownego... No bo przecię ecclesia abhorret a sanguine. Co prawda, to tylko w medycynie... Wyszukiwał w lekarskich księgach, rozpytywał się, gdzie mógł, wymyślał i wypróbowywał jakieś środki odurzające, wywary z maku i Bóg wie czego jeszcze, ale wszystko to niewiele pomagało. No i skutek był taki, że on, który łagodne obejście się z chorym uważał za wstęp do leczenia, za swój obowiązek, był w takich wypadkach dla chorych szorstki, opryskliwy i zły. I teraz, idąc do cieśli Hieronima, co się miał tak okropnie zaciąć toporem w nogę, klął go w myśli od niedołęgów i kretynów, którym gęsi paść a nie siekierą robić!

Noga Hieronima opuchła jak kłoda i obiegła ropą, wyglądała rzeczywiście fatalnie.

— Coście tu paskudzili koło rany? — wpał z rosnącą pasją na cieślę.

Chuda i zylasta o kościstej twarzy Hieronimowa sprostowała energicznie:

— Nic my koło rany nie robili, ino siekierę my posmarowali taką maścią, co ją sprzedał aptekarz. Że to ranie pomoże, gadał.

— Aha, cura magnetica! — prychnął z zajadłą drwiną Piotr. — Pomoże jego mieszkowi ale nie ranie! Dlatego mnie aż na trzeci dzień wołacie, jak już nie wiadomo, co z tym zrobić? Tak z was skórę drę, że wolicie naprzód do okpiświatów chodzić?

— E, nie to! — odburknęła łypiąc ku niemu niepewnie oczyma, z których każde było osadzone inaczej. — Ino, że, że...

— Że lepsze wam zawsze bzdurne cudowności niż rzetelna nauka bez cyganienia!

Sarknęła:

— Co się tak, mistrzu Piotrze, na niego ciskacie? Dla swojej uciechy się tak w nogę zaciął czy co?

Piotr opatrywał nogę. Chmurzył się surowo, żeby nie zdradzić się z tym, że robi mu się głupio.

— E — nadrabiał miną i głosem — bo nijak mi pojąć, żeby taki stary majster tak się... Pijaniście byli czy co?

— A przestraszony był, żebyście wiedzieli, że przestraszony! — broniła zaciekle męża Hieronimowa. — Nastraszył go tak ten tfu, diabeł, ten Melch...

— Cssi! Nie gdakałabyś po próżnicy! — wydyszał Hieronim. W oczach miał rzeczywiste przerażenie.

Krzyknęła:

— Co nie mam gadać! Będę gadać! Do mistrza Piotra przecię gadam, nie do jakiegoś tam! Tak się na niego cisnął, że mój całkiem głowę stracił! Nie wiedział już, co robi. I za co to, powiedzcie, mistrzu Pietrze, za co? Że się mój zdziwił, na co ten płot, kiedy plac miał być dla cechów?

— Józe...fie święty — dyszał ciężko na tapczanie Hieronim — ozorem baba miele... Tylko z tego nieszczęście może być, jakby się pan Melchior dowiedzieli!

Można jeszcze zaczekać z krajaniem czy już czas ostateczny? — głowił się Piotr, ale ostatecznie słowa cieśli zwróciły jego uwagę.

— To wy się już nawet mówić o tym boicie? — — zmarszczył się.

— Bo mu groził! — krzyknęła. — Mówił, że go do sądu poda! A wiadomo: sam w tym sądzie teraz rajcuje i przewodzi!

— Za co do sądu?

Cieśla przesuwiał końcem języka po spiekłych od gorączki wargach. Jęczał:

— Co tam i gadać, mistrzu Piętrze... ot, żeby ta noga...

Hieronimowa warknęła:

— A ja powiem! Co tu kryć? Twoje było złodziejstwo czy ich, panów rajców? Bernarda i inszych? Kazali, to musiał.

Hieronim zawracał wystraszonymi oczyma, wytrząsał ręką, żeby ucichła, ale ona nie zważając wykrzykiwała zajadle historię o drzewie do naprawy bramy miejskiej i mostu, drze-

wie, którego sporą część musiał Hieronim odstawić na budowę nowej stajni rajcy Bernarda. Piotr słuchał, dziwiąc się ras jeszcze, ile to spraw miejskich, jak się pokazywało, powszechnie znanych, było dla niego tajemnicą. Spytał, co kupiec Melchior miał z tą sprawą? A bo, odpowiedziała mu, okrutnie się on odgraża na panów Radę, co biedny naród okrada. Bo on, powiada, tego narodu będzie bronić przed panami Radą. Więc jej stary boi się kupcowi Melchiorowi w czym sprzeciwić ze strachu przed tym sądem. A rajcy Bernarda także się znowu boi.

Piotr chwiał nad tym wszystkim głową coraz mocniej.

Zdziwił się też głośno do Jana, który później przyszedł również pytać o stan Hieronima, ale skwapliwie zabrał się wraz z wychodzącym Piotrem. Jan na pierwsze słowa Piotra łypnął ostrożnie po ulicze, którą szli i ją przebiegał fraszobliwie palcami w gęstej czarnej brodzie.

— Na złe się coś odmienia, mistrzu Pietrze — mrucał. — Wszystko na złe.

— Przez tego Melchiora może?

— I przez niego i przez insze.

— Ale przez jakie insze?

— E, chyba wiecie.

Piotr rozgniewał się.

— Jakbym wiedział, to bym was nie pytał!

— A no z tą jakąsi Modestą. Że niby burmistrz do niej... Ja tam nie wiem, ale tak ludzie gadają. W całym mieście.

Piotr uśmiechnął się mimo woli, bo w oczach stanęła mu scena widziana kiedyś przez niedomknięte drzwi w ratuszu.

— Hm, z tą dworną gładyszką... Biedne, stare burmistrzysko. E, może mu to minie.

Głowa Jana chwiała się ciężko.

— Ba, minie... Ino kiedy? A tymczasem w mieście coraz gorzej.

— Ejże, przecie nie przez to?

— To wy chyba naprawdę, mistrzu Pietrze, nie wiecie? A ja właśnie was szukał, żeby się jakoś poradzić. Bo już mnie okrutna żałość a i, prawdę powiem, strach bierze, co się z tego wszystkiego za zły chleb wypieczę. Dla ludzi, dla miasta. Jakże, toć burmistrz już ino to robi, z czym mu ta dziewczka w uszach siedzi. A ją — obejrzał się nieznacznie po ulicy — wszyscy tak gadają, że ją na burmistrza nasłał ten... ten Melchior. Razem z tym swoim służką Serwacym.

— Serwacym? — prychnął niedowierzająco Piotr przypomniawszy sobie zachowanie Serwacego wobec dziewczyny.

— No jakże! Panowie Rada i ci z Ławy rozpychają się znowu w mieście jak im ino na zachcenie, naród krzywdzą i worki napychają. Ten mały Serwacy ludzi ze skóry obdziera niczym rakaż psy, a mówić do siebie każe już „mistrzu”. A burmistrz oko na wszystko przymyka, żeby znowu oni oko na jego sprawy z tamtą przymknęli. Przecie nie może być, żebyście sami nie miarkowali?

— Hm... Teraz jak mi mówicie, to mi się rzeczywiście różne rzeczy przypominają, tylko do kupy ich jakoś nie powiązałem. Takich miałem w ostatnich czasach kilka chorób i w mieście i za miastem, żem tylko o nich myślał. No a co z Damianem? Gdziesiem słyszał, że już nie pisarzuję on, tylko ten mały, ten gad, Serwacy? A znowu przecież Damian tej Modestie wujem czy jakim tam, to jakże?

— Pisarzować to on już jakby nie pisarzował, ale do wigintywirów ma pójść na miejsce Marka spod lipy, który się ma zrzec.

— Czemu się ma zrzec?

Głowa Jana chwiała się markotnie.

— Bóg tam wie. Niektórzy gadają, że go burmistrz namówił. A insi znów inaczej: że go Melchior jakimiś swoimi sposobami do tego przyniewolił.

Piotr przystanął aż.

— To Melchior teraz za Damianem? I razem z burmistrzem?

Jan ruszył ramionami.

— Melchior to nie wiem, ale burmistrz pewnikiem. A może i Melchior. Kto ich tam wie, wszystkich. Raz się za łby wodzą, to znowu ręka w rękę idą, jak im trza i na jak długo im trza. Może i bakałarza już przekabacili na swoje? A szkoda, bo człek się widział porządny. Juści, ten urósł teraz jak wielkanocny kołacz!

— A miejski naród co na to wszystko?

— Jedni się burzą a insi... Bo jeszcze i takich głupich jest dość, co dalej wierzą, że Melchior to ino za prostym narodem stoi przeciw tym z ratusza. Spróbujcie ino gadać z Nikodemem!

Szli chwilę w milczeniu.

— No a z tą chorobą burmistrzycy — zaczął z wahaniem Jan — to jakże to? Bo to już chyba wiecie?

Teraz Piotr ruszył ramionami.

— Właśnie, z tą chorobą... Doszło mnie coś, ale że burmistrz nie wspomniał nigdy nic, jakeśmy się widzieli, to nijak mi było pytać. Choć teraz sobie przypominam, że wydawał mi się zafrasowany czy markotny, ale to może o tę Modestę. A potem myślałem, że już jej musiało choróbsko minąć.

— Bo to i o tym dziwacznie coś gadają — chwiał głową Jan, kiedy się rozstawali. Ale na pytanie, co gadają, nic już nie odpowiedział. Piotr nie chciał nalegać.

Wyjaśnienie jednak i to z samego źródła, choć mimo to tylko częściowe, dostał na drugi dzień. Zdyszany pacholek burmistrza wezwał go na gwałt do burmistrzycy. Burmistrzycy, która, jak wydyszał, „już, już chcą umierać!”.

Burmistrz przyjął go blady i zmieniony. Trzęsły mu się ręce i dygotał głos. Zaspajając się ciężko powiedział, że jego jejmość niedobrze się miała już od dłuższego czasu. Nie wiadomo czemu tała to jednak naprzód przed nim a i potem, skoro po wyglądzie i zachowaniu się jej sam coś zmiarkował, nie pozwoliła mu żadną miarą wzywać medyka.

— Przysięgać mi kazała, że was nie zawołam — otwierał szeroko oczy wystraszone i jakby teraz dopiero napełniające się zdumieniem. — Tom nie wzywał. Dla świętego spokoju — powiedział błędząc niepewnymi oczyma po podłodze i ścianach. — Nigdy się jej nie sprzeciwiał, wiecie sami — zerknął nieśmiało na Piotra — to i teraz. Cóż, przysięgać mi kazała — powtórzył prędko.

Piotra osadziło aż w miejscu, kiedy wszedłszy do drugiej izby zobaczył leżącą burmistrzycę. Ten wór żółtkłej skóry ze sterczącymi gnatami? I te zapadłe oczy, wyostrzony nos...

Tchnęła śmiercią.

Badał jej puls, słuchał oddechu ciągle nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia i zdumienia. Kiedy, na Boga, zdołała dojść do tego stanu? Serce ledwo się kołacze... Przecie widział ją — kiedy to ją widział ostatni raz? Kilkanaście dni temu, dwa, trzy tygodnie? Ale choćby i cztery, co się stało, co ją mogło doprowadzić do tego stanu, czemu nie pozwalała się leczyć? Jeśli to prawda, co mówił Szymon... Szymon, hm, właśnie teraz Szymon...

Łapczywie pochylił się nad małą plamką na policzku. Drugą taką znalazł potem na szyi. Ale więcej ich nie było. Czy wymiotowała, miała biegunkę?

Szymon z udręką w twarzy wyłamywał sobie zaplatane palce. Wymioty? No tak, coś dwa razy teraz, w ostatnich dniach, ale bardzo nieznaczne. A przedtem to on, żeby prawdę rzec, nie wie. Tyle miał różnego utrapienia w ostatnich czasach — pobłądził nie patrzącymi oczyma kłopotliwie po izbie. — Ale zaraz, dziewczka powinna wiedzieć, co przy niej była — Jewka! — rozejrzał się teraz już przytomnie po kątach izby. — Gdzież się podziała? Przecie była przed chwilą? Ja ją zaraz — ruszył ku drzwiom.

Piotr spytał znienacka:

— A nie zdziwiło was, że nie pozwoliła mnie wołać?

Szymon, już na progu, przystanął.

— Zdziwić, to trochę i zdziwiło — mówił odwracając do Piotra udręczoną twarz — ale wiecie, prawdę rzekłszy, to do was jakąś urazę chowała — ja wiem, że niesprawiedliwie, ale jak to, wiecie, białogłowy, tom sobie myślał... Albo że jej jaka znachorka co nagadała, a ona już taka, że babom zawsze więcej wierzyła.

— Niż mnie — warknęło coś z Piotra, ale zagadał to prędko: — No i czy może... czy może jakie babskie leki brała?

Szymon tarł czoło, marszczył je w widocznym wysiłku szukania w pamięci.

— Czekajcież, czekajcie... Raz tom widział, no juści, widziałem, jak jej dziewczka, właśnie ta Jewka, coś z jakiegoś dzbanuszka nalewała. Czerwone było, myślałem: wino. Tom i nie pytał. Czekajcież ja ją tu muszę do was, tę dziewczkę.

Wyszedł. Piotr siedział z oczyma utkwionymi uporczywie w chora. W okrutnym napięciu wszystkich władz rozumu zbierał symptomy, przywoływał na pamięć całą dotychczasową praktykę własną i znaną mu cudzą, szukał zaczepienia we wspomnieniach z pism lekarzy. I coraz mocniej, coraz bardziej całym sobą odczuwał owo najboleśniej, najbardziej upokarzające i przygnębiające uczucie swego zawodu: własną bezsilność.

Szymon ciągle nie wracał. W pewnej chwili chora otwarła oczy. W miarę jak w jej początkowo nie widzące zupełnie spojrzenie napływać zaczęło powoli rozumiejące poznanie, chmurzyła się coraz srożej. Potem z wysiłkiem, powoli, odwróciła głowę.

Jednak poznała mnie — stwierdziło się Piotrowi z obojętną na wszystko inne zawodową rzeczowością. Pochylił się nad nią, ale niespodzianie odwróciła się znowu twarzą ku niemu. Z wysiłkiem, ochryple, szeptała:

— Nie miarkuję... z czegom taka niemocna... Bom... nie chora. Zgoła... nie. Ino że tak siły...

— Tak, tak — przytaknął jej zgodliwie — to coś damy na skrzepienie. A możecie już sami jaki lek na wzmocnienie brali?

Z zamkniętymi już oczyma wyszeptała:

— Nie brałam... Toć nie choróbsko żadne... I księdza mi też nie trza...

Więcej się nie odezwała ani nie poruszyła.

Szymon wrócił rozkładając ramiona.

— Gdzie się ta dziewczka podziała? — głowił się. — Gadają mi: właśnie przechodziła a nigdzie jej nie ma. Do studni poszła czy jak? Ale po wodę parobek chodzi. A chciałem, żeby o tych lekach jakichś wam powiedziała.

— Hm — mruknął Piotr patrząc mu w twarz uważnie — kiedy powiada wasza, że żadnych nie brała.

— Ocknęła się? — ożywił się Szymon — I gadała co?

— Tylko to. A może się wam ino przywidziało?.

— To mi się nie przywidziało — zaprzeczył Szymon stanowczo. — Chyba że nie leki to były, ale taki to raczej wygląd miało. Ale to już dość dawno temu, będzie może i z dwie niedziele. No i co wy mówicie, mistrzu Piotrze, co wy o niej mówicie?

Piotr mimo woli rozłożył ręce.

— To może, myślicie, księdza by trza? Ino że jak się tu kręcił kanonik Grzegorz, to mu kazała powiedzieć, że nie chce, bo jej nie do śmierci. Wymyślcie jaki lek dla niej — mówił gorączkowo, patrząc błagalnie Piotrowi w oczy. — Ja wszystko, choćby najdroższe, powiedzcie ino...! Może wina na skrzepienie?

— Wina? — zastanowił się Piotr. — A no można — zgodził się bez zapału. — Piołunowego, wiecie?

— I z czego ona to, z czego? — wyłamywał sobie palce Szymon. — Może z tego, że okna dom ma od zachodu, bo te wiatry zachodnie, to pono niezdrowe, co, jak myślicie? Nie? A może w ogrodzie dużo leszczyny i bzu, bo to, słyszałem raz, krze szkodliwe dla zdrowia,

jeśli pod domem? I że lasy blisko pod miastem, bo z tego powietrze ma być gęstsze?

Tak, z czego ona to ma, z czego to ma? — łamał sobie głowę Piotr wracając późną już nocą do domu.

Kiedy na drugi dzień, ledwo ocknąwszy się z krótkiego snu, spieszył do ratusza, spotkał się tam na schodach niespodzianie z Damianem. Bakalarz wzdrygnął się na jego widok jakby chciał prędko zawrócić. Pozostał jednak. Wypatrująco i podejrzliwie łypnął na Piotra raz i drugi a potem wybełkotał niepewnie uciekając oczyma:

— Wiecie już, mistrzu Piotrze...?

— Co? — poderwał głowę Piotr.

— A no, że tego... że burmistrzycha...

— Umarła...?!

— Yhym... Przed chwilą.

XXII

Kiedy Damian zobaczył Modestą z Jagnieszką na rynku przed kramem z białogłowskim ochędóstwem, nurtujące go od kilku dni chaotyczne zafrasowanie przysłoniło się od razu całkiem realnym i wyrazistym strachem: znowu go gotowe dusić, żeby coś kupić! Znowu do kieszeni sięgaj na fatałachy...

Po prawdzie, to od jakiegoś czasu było z tym więcej spokoju... A nawet, nawet zupełny spokój. No tak, bo to burmistrz. A no cóż, chce jej kupować, to niech kupuje.

Mimo woli potrząsnął głową, taki się w nim znowu dziw ocknął na tę sprawę z Modestą. Dziwów on miał już dość i z Pankracym i z Serwacym, pewnie, ale z tą Modestą to już był chyba największy. Wszystko całkiem inaczej niż sobie umyślił a przy tym, co tu gadać, przy tym tak — na psa urok i żeby się ino co nie odmieniło! — przy tym tak jemu na dobro. Na Serwacego ją wymyślił, a tu ona z Serwacym oczu zgoła dla siebie nie mają, a za to — burmistrz się na nią złapał! Nasamprzód to mu to, Damianowi, i nie bardzo w smak było, jakże, zgorszenie ludzkie przecie, bo burmistrz żonaty. Ale potem... do wigintywirów go chcą brać a i oporządził się trochę, bo mu tam z miejskiej skrzyni kapło coś raz i drugi. A niech se tam pan rajca Bernard kpinkuje. Żeście to w takich łaskach burmistrza teraz! — powiada gamrat sobaczy! Ale grosz jest grosz. Czy on zresztą tego chciał, czy ją burmistrzowi raif? Skądże, ani mu to w głowie powstało. A przeszkadzać znowu, to choćby chciał, nie potrafiłby, tak mu się Modestą od razu z rąk wymysknęła przez to, że jej u siebie nie mógł trzymać i naprzód medykwowi ją wścibił a potem burmistrz już sam koło umieszczenia jej u Jagnieszki się zakrzętnął. Nic mógł się przecie burmistrzowi tak wyraźnie sprzeciwić. Jagnieszka sobie za jej mieszkanie i żywienie policzyła tak mało, że co się tu było namyślać, zwłaszcza że u Piotra nie byli jej radzi, choć nie rzekli nic, nie można powiedzieć, ani słowa. Ale on, Damian, także wolał, żeby jej mądrała medykw nie miał zanadto przed oczyma a jego wścibka białka też. No więc się zgodził na Jagnieszkę. Z początku też tam zachodził, ile mógł, bo przecie trzeba było tego bałwana Modestę jakoś okrzesać, żeby po białogłowsku zaczęła wyglądać. Ino że ten niby tępy kloc miał w sprawach białogłowskich łeb nie do wiary obrotny i wartki i Damian prędko zmiarkował, że on by się już od niej niejednego w tych rzeczach mógł nauczyć. A jeszcze za każdym razem musiał słuchać: a kupilibyście mi wujku, taką kieckę, a trza mi takiego piórka, a wszystkie się teraz noszą w kiecce rozciętej na dole, na sztywnej spódnicy, a ja nie mam — a wiedźma Jagnieszka jeszcze jej wtórzyła, a jemu kąśliwym ozorem przygadywała. I prędko go też Jagnieszka jęła witać krzywą gębą. To im wyjść przeszkodził, to je zbudził, kiedy raz przyszedł późniejszym wieczorem. Ale jak znacznie

jeszcze później przyszedł Serwacy z pełnym worem i koszem — kosz był burmistrzowy, Damian zapamiętał go po czerwonej plamie i naderwanym kabłąku — to się do niego Jagnieszka od razu dygami i przyśmieciami jąła wdzięczyc a Modeście ino ślepia wyłaziły do tego, co we worze i w koszu. To co się miał do nich pchać? A burmistrz...

No właśnie: co burmistrz? Co burmistrz teraz, kiedy Szymonowej już nie ma? Czemu dwa razy już ani do niego słowa nie przemówił, ani się nie popatrzył nawet, tak jakby jego, Damiana, już nie widział ani jego pozdrowienia nie słyszał? Taki by miał być zagryziony po jej śmierci? Jakże z tym znowu? Tu Modesta, a tu on znowu zgryziony? Czy ta cała zgryzota to niby tak dla ludzkich oczu? I jak też on teraz do Modesty...?

Nie dawało mu to spokoju i zdecydował, że trzeba pociągnąć za język obie baby. Choćby nawet trza było sięgnąć do mieszka. Ale może nie będzie trzebaż... Przecie i bez niego coś tam targują.

Podszedł do nich pod kram. Ledwo się na niego obejrzały i powróciły zaraz do zarzucania sobie na ramiona i upinania i zgarniania w fałdy zwojów barwnej materii.

— Modesta — powiedział surowo.

— Yhy — odmruknęła nie patrząc.

— Modesta! — warknął.

Odwróciła się odęta i krzywa. Jagnieszka wybuchnęła krzykliwie.

— Przecie słyszemy! Nie głuche my! Co się tak drzecie i ciskacie? Nie wasza rodzona ona. Tyle że siostrzenica czy jaka tam!

— Masz ze mną teraz iść! — rozkazał gromko. — Sama, słyszysz?

Chwiała się jak przyciągana siłą rozkazu i broniąca się zajadłym oporem. W jej niebieskich oczach błyskało coś, co z nagłą przypomniało Damianowi straszne ślepia Pankraca. Ale wreszcie posunęła się ku niemu o krok i znowu o krok.

— Modusia! — pisnęła Jagnieszka — tegoś nic widziała! Przypatrz się ino! — czerpała obiema rękami jeszcze bardziej wzorzyste zwoje odwijane z nowego bala rękami usłużnego kupca.

Modesta zatrzymała się i odwróciła.

— Masz iść ze mną — chwycił ją silnie za ramię Damian.

Teraz stało się coś, co go oniemiło i unieruchomiło. Modesta wydarła jednym szarpnięciem ramię z jego palców i zapadła się cała w falach rozwijanej materii. Wokół odezwały się śmiechy i drwiny.

— Posłusznaż to wujkowi, patrzcie się ino!

— Ba, pani burmistrzowej i wujek nie straszny.

— Jej się już ratusz zwiduje.

Ledwo się te głosy przebiły do jego rozumienia. Ledwo się przebiły przez wirujący kłęb tej jednej jedynej myśli, że oto — znak nie działa! Po raz pierwszy w jego całej czarodziej-skiej praktyce znak n i e d z i a ł a ł. To się nie zdarzyło nigdy nawet z Pankracym, nawet z niepojęcie samodzielnym i wymykającym się z rąk Serwacym, przynajmniej do czasu, kiedy Damian zdobywał się jeszcze na wydawanie mu rozkazów.

Chyłkiem, czym prędzej, unikając spojierania w ludzkie twarze wymknął się z rynku. Ale jego nieokreślony niepokój wzmógł się jeszcze a rozdmuchiwało go byle co. Oto na rogu stulają głowy krzywy Jakub i Marek. Widać, że rozmowa poufna, bo łypią ostrożnymi spoj-rzeniami dokoła, ale przede wszystkim ku niemu. Najwidoczniej oni coś o nim... I wczoraj ich także już widział w takiej poufnej rozmowie. A krzywy Jakub, co na niego, Damiana, zawsze wilkiem patrzył, to wczoraj już spojrział, jakby go chciał udusić. Co on się tak zmawia właśnie z Markiem, który Damianowi miał ustąpić miejsca w wigintywiracie?

Tamci dwaj pożegnali się — ciągle z łypnięciami ku niemu — i chudy i zawsze sztywny jakby kij połknął Marek zadzierał już ptasi łeb w bocznej uliczce. Damian nie wytrzymał. Przyspieszając kroku, ba, nawet niemal już biegnąc puścił się za tamtym.

— Kmotrze Marku! — wysapał mu za plecami.

Mieszczanin nie odwrócił się. Zadzierając łeb jeszcze wyżej wypatrywał coś po dachach domów. Dopiero gdy się Damian z nim zrównał, odmruknął coś kwaśnym półgębkiem. Damian sapiąc i zacinając się zagadywał i o pogodzie i o śmierci burmistrzycy, ale tamten milczał niechętnie i wyniośle. Damiana zaczęło to niepokoić nie na żarty. Nigdy mu dotąd Marek takich min nie pokazywał. I tak w pewnej chwili, właściwie wbrew zamiarowi, wyjechał wprost z zapytaniem, jak to tam z tym wigintywiratem? Kmotr Marek chce pono niedługo ustąpić?

Marek naprzód nie odpowiedział nic. Dopiero na natarczywe ponaglenie Damiana odezwał się mrukliwie, że nie wiadomo jeszcze, jak to tam z tym będzie, podniósł palec do kapelucha i zniknął w sieni najbliższego domu.

Damianowi pociemniało w oczach. Nie wiadomo jeszcze, jak to będzie...? Jakże to? Przecie wszystko zdawało się już załagodzone, ułożone, gotowe...?

To też kiedy wieczorem tego dnia do drzwi Damiana zastukał Serwacy i powiedział, że ławnik Melchior chciałby się z mistrzem Damianem rozmówić w jednej ważnej sprawie, zaczął z bijącym sercem i pośpiechem naciągać odświętny tabard. I dopiero kiedy szamotał się z nim nie mogąc namacać wlotu drugiego rękawa, rozświeciło mu się w głowie, że — jakże to? — Melchior, sam Melchior...? On, Damian, ma gadać twarz w twarz z Melchiorem? To już ani chybi się coś z nim rozstrzygnie, z jego wigintywiratem a może nawet... z Ławą? Ino kogo on tam zobaczy, gdy nareszcie będzie mógł popatrzeć prosto w twarz temu Melchiorowi? A jak zobaczy w niej Pankraca? Co wtedy?

Te wszystkie możliwości maciły się gwałtownie, spływały w huczący wir i znowu rozpływały, ogłuszały, mieniały się strachem, niepewnością, chwiejnymi nadziejami, nie pozwalały myśleć spokojnie. Na razie wyplątało się z lego jaśniej tylko niezadowolenie z siebie, że ze zbyt widoczną skwapliwością rzucił się do wybierania i nawet nie spytał, o co ma być rzecz z Melchiorem a równocześnie, że dawniej to Serwacy usłudnie podbiegał, by mu przy ubieraniu się pomóc. Teraz patrzył w okienko i unosił wyniośle brwi...

Damian usiłował pomiarkować i opanować pośpiech ruchów a nawet, ubrany już, zauważył, obrażonym tonem, że tam, „pod oko Opatrzności”, nijak się przecie dokołatać!

— Jak ze mną pójdziecie, to się dokołatamy — odpowiedział Serwacy tak zimno i lekceważąco, że Damian dopiero już w drodze zdobył się na niby to obojętne pytanie, czego właściwie ławnik Melchior chce od niego? Serwacy ciągle tym samym tonem odpowiedział, że dowie się za chwilę.

Brama „pod okiem Opatrzności” otwarła się tym razem rzeczywiście, choć również nie na pierwsze zakołatanie. Ale dopiero gdy się za nimi zamknęła, zjawiła się w ciemnej zupełnie sieni jakaś latarka. W jej niepewnych błyskach mignęły Damianowi posępne i bezlitosne gęby kilku ogromnych, milczących drabów. Czyjś szorstki chwyt za ramię kierował go przez schodki, ciemne sienie i znów sienie i schodki. Potem przez sklepioną izbę, przez której boczne otwarte drzwi padało z drugiej, wyżej leżącej, chwiejne i płochliwe światło ognia na kominie. Damian rzucił w te drzwi mimo woli oczyma i na tle kominowego ognia ujrzał zwaliste plecy i wielki łeb w ogromnym fantastycznym kapeluchu. Na szczotce futrzanego kołnierza szuby dygotały iskierki światła od komina. Mimo woli przystanął, ale bezceremonialna łapa popchnęła go zaraz dalej aż do nagiej z jedną tylko ławą kamiennej izby mrocznie oświetlonej nikłym wiszącym kagankiem. Czekał tam sam, pełen napięcia, z bijącym sercem. Wokół była cisza. Nikt nie nadchodził. Damianowi poczęło się robić coraz bardziej nieswojo.

Co to wszystko ma być? Czego od niego chce ten... ten Melchior? Niechby można mu raz nareszcie spojrzeć wprost w gębę i zobaczyć... zobaczyć!

Drzwi skrzypnęły. Wszedł — Serwacy.

— Siadajcież se, mistrzu Damianie — powiedział po wielkopańsku.

I Damian usiadł.

— No i cóż wy na-to, mistrzu Damianie? — Serwacy rozsiadał się szeroko na drugim końcu ławy. Zakładał niedbale nogę na nogę.

— A niby... na co?

— A no, że się wam tak nie darzy, he? A już, zdawało się, szło na lepsze: i grosika przybyło, i na wigintywirat się patrzyło, aż tu raptem, masz lichu! Musiało się babsku uświerknąć.

— Szymon...owej? — rozdarł Damian zdumione i przerażone oczy.

— Ba, a komuż by?

— To co... co Szymonowej do mnie?

— He, Szymonowej? A no spytajcie się burmistrza. O ile zechce z wami gadać. Teraz.

— Czemu by nie chciał...

— A to się spytajcie waszej dziw... waszej siostrzenicy. Ino że z was także dobry opiekun! Ani się na nią nie oglądnicie, jak tam nieboga z płaczu i żałości ledwie dycha! — westchnął okrutnie i nos z trzaskiem wierzchem dłoni utarł.

— A jej znów co? — zdziwił się Damian.

— Patrzajcież sie! Jej co, pyta się! A to, że nasz sławetny pan burmistrz nawet w bramę ratuszową wpuścić jej dziś nie pozwolili, to nic? Bo że się na dom Jagnieszki nawet nie obezrał, od kiedy burmistrzycę wynieśli, to już chyba wiecie?

— Uhm-hm — bąknął nijako Damian. Nie wiedział.

— To tak poćwi człowiek robi? He? I obywatel? I jeszcze zgoła burmistrz? Niewinnej pannie wianek zabrać — przewracał Serwacy oczyma z pobożnym zgorszeniem — a potem w zadek ją kopnąć? I wy, jej wujek, tak na to nic? A przecie to się i tak przeciw wam wszystko obróci! Ten wasz Marek z wigintywirów już nosa znowu drze — o tak! — i każdemu rozpowiada, że ani mu we łbie od wigintywirów odchodzić.

— I to bur... burmistrz go tak...?

— Ba, a kto? Ławnik Melchior za wami zawsze stał.

— A... a teraz? — dopraszał się gorączkowo Damian. — Teraz nie pomoże?

Serwacy pokiwał ponuro głową. Potem wbił ją w dłoń. Mruknął złowieszczo:

— Burmistrz teraz i przeciw niemu. Już znowu sprawę domu Łukasza zaczął wywlekać. I całego tamtego zapisu. Ławnik Melchior musi, uważacie, o własnej skórze teraz myśleć. Burmistrz nam... nam wszystkim kością w gardle staje... I nam, i wam. Kiedyś znowu tę księgę kazał se podać, gdzie zapis o waszym ojcu i okrutnie nad nim głową trząśł i coś mrucał i mrucał.

— Co... mrucał?

— Co, to jużem nie dosłyszał. Ale mu źle ze ślepiów patrzyło. On nam tu wszystkim niedługo paskudnie zagra — chwiał głową złowrogo. Rozglądnął się i szepnął tajemniczo:

— Od śmierci starej tak go opętało. My wiemy, co...

— No? — rozdziawił się Damian.

— E, przecie i wy się chyba domyślacie — nachylił się jeszcze bardziej i przymykając oczy szepnął:

— Otruł starą!

— Burmistrz — ją...?! — ledwo wykrztusił Damian. — Czemu?

— Też pytacie! Żeby mu na drodze nie stała do waszej dziewczki, do Modesty!

— Otruł, żeby nie stała... a teraz sam nie chce...?

Serwacy kiwał pobożnie głową.

— A no, widać taka to kara boża. I temu on tak się ciska naokoło jak wściekły pies. Wszystkim nam gardziele poprzegryza, jak się razem nie weźmiemy!

— Jak się mamy wziąć — jękał Damian — jak się...?

— Jak? — wykrzyknął gromko Serwacy i rękę aż ku górze wytknął. — Jak się poczciwym obywatelom godzi i przystoi! W obronie niewinności stanąć! Waszej niewinnej siostrze-

nicy i nieboszczki pani burmistrzowej! Do sądu go pozwać o zgwałcenie dziewczki i o otrucie żony! I wy zaświadczyć, że ją otrułem!

— Co ty...? — przeraził się okropnie Damian. — Ja mam świadczyć...? Nic przecie nie wiem, zgoła nic, nic! Ani mi to przez głowę... to znaczy... nie, skądże? I skąd wiesz — ty...? Medyk ci gadał...?

Serwacy prychnęli pogardliwie i nienawistnie.

— Medyk, he! Ten by co! Mądrała z łbem kapuścianym! Ja lepszy medyk od niego.

— Jak to...?

— A no tak. A wy musicie świadczyć.

— Ale...

— Musicie świadczyć jako Modesta chciała, byście jej bronili przed napastowaniem burmistrza, co na jej cnotę nastawał. Chciała tak, póki, e... póki jej nie obiecał, że ją za żonę weźmie. A jakeście, wy i dziewczka, mówili na to, że jakże, przecie żonę już ma, to on znowu na to, że „już ona nam nie będzie wadziła”. To se zakonotujcie dobrze: „że już ona nam nie będzie wadziła”.

— Co ty... oszalałeś?! — wrzasnął Damian zrywając się z ławy. — Ja mam takie łgarstwa...?! Niewinnego człeka pod topór pchać?

— Jak wy go nie popchacie, to on was pod pręgierz popcha. W łapy mistrza małodobrego zamiast do wigintywirów! Za sfałszowanie obywatelstwa ojca! i zapisu Łukasza.

— Niedoczekanie twoje! — zawodził desperacko Damian łeb sobie oburącz ściskając. — Niedoczekanie, ty gadzie, ty parobku piekielny!

— Parobek to ja byłem wasz! — odsyknął mu jadownicę. — Ale co się tam o słowa będziemy swarzyć. Ja nie obraźliwy. A wy, zamiast wrzeszczeć rozbierzcie se to we łbie spokojnie, jako człek uczony przecie, nie? Że on ją otrułem, to wiedzą wszyscy, każda kumocha wam to powie.

— Nigdy ani słowa o tym nie słyszałem!

— E, bo się ludzie bali gębę głośno otworzyć, ale wiedzą wszyscy. To jak ją otrułem, to będzie taki grzech powiedzieć, żeście te jego słowa słyszeli? Czy to co zmieni, jak ją otrułem? Ułatwi jedynie, żeby się sprawiedliwość działa, żeby bezecnego zbrodniarza spotkała kara, jak Bóg przykazał!

— Stul ten piekielny pysk, ty czarci pomiole, ty...!

Serwacy przegięli się z nagła ku niemu jak żmija. Zasycał:

— Ejże ciszej, Damianku, ciszej! Żeby się wam zaś co przykrego nie przygodziło! Ławnika Melchiora głowa boli a i bez tego nie lubi on, jak kto w jego domu wrzeszczy. He, zrozumiano?

Damian patrzył nań rozszerzającymi się oczyma. Klepał powiekami pół przytomnie. „Damianku”...? On do niego „Damianku”...? Poderwał się ku drzwiom.

— Gdzie jest... Melchior... ławnik...? Niech ja jemu do oczu...!

Serwacy rozpięli się już znowu szeroko na ławie.

— Głowa go boli — strzyknął od niechcienia przez zęby. — A wy, jak ze mną gadacie, to tak jakbyście z nim gadali.

— Czarci pomiole — wrzasnął w nowym napływie nieprzytomnej wściekłości Damian — masz słuchać mnie jak kundel! Rozkazywać ci mam ja!

Nagle drgnienie wstrząsnęło Serwacym. Dłoń wszczepiła się w środek piersi. Skurcz zmagania się napinał przez chwilę mięśnie twarzy, chwiał się w nich i wahał. Powoli spłynął. Wyrównały się rysy twarzy. Serwacy wetknął powoli palec w usta i świstnął. Krótko i przeźliwie.

Drzwi, które chwycił już Damian, odchyliły się z żelaznym zgrzytem. Przez szparę wejrzały dwa, trzy ponure, bezlitosne łby, te, które zamajaczyły już w sieni przy wejściu. Damian cofnął się mimo woli.

— Tym, mistrzu Damianie — mówił Serwacy już monotonna — już nie będziecie rozkazywać. A ja im też nie potrzebowałbym nic mówić. Wystarczyłoby pokazać palcem.

Wionął drobną rączką. Łby się cofnęły, drzwi zawarły ze zgrzytem. Serwacy chwiały głową z ubolewającym zgrozzeniem.

— Co by też wasza nieboszczka siostra powiedziała na to, że się za krzywdą jej córki nie chcecie ująć? Serce by jej chyba pękło. No tak. Prześpijcie się to, mistrzu Damianie i namyślcie się, dobrze się namyślcie. Macie wybór: albo pręgieryz za fałszerstwa albo zydel w Ławie, bo co tam ten wigintywirat? Lepsza już Ława, no nie? Już byśmy to zrobili, byle nam burmistrz na drodze nie stawał. Ale jakbyście tak próbowali tylko parę z gęby puścić o tym, co my tu... nno!

Damian skulił się aż przed błyskiem bezbarwnych oczu Serwacego. Ślepiów jak u Pankraca! — szepnęła mu struchlana myśl.

Niby w złym, zmorowatym śnie przeplątał się znowu przez nagie kamienne izby i sienie, obtłukając się o ściany i potykając na schodkach i progach. Kiedy zachłysnął się rześkim nocnym powietrzem, zatoczył się jak pijany. A potem włókł gdzieś ołowiane nogi, skręcał w boczne uliczki, wychodził znów na te same miejsca. Było mu tak, jakby razem z walącym się w gruzy domem, obtłuczony i obolały, zapadł się w głębokie lochy i tam, dysząc, szukał gorączkowo jakiegoś wyjścia ze zwalisk, z matni, gdzie co krok waliło się coś na łeb i coś nowego zastępowało drogę...

Chwilami przystawał i w niepomiernym, tępych zdumieniu ścisnął sobie głowę. Jak to, więc to on, on Damian, który wczoraj, nie, jeszcze dziś rano, ba, jeszcze przed wieczorem rozmyślał o godnościach dla siebie i honorach w mieście, on teraz desperacko szuka jakiejś szczeliny, którą by się można wymknąć? Wymknąć ze strasznych łap tych... tych stworów, które sam ulepił? Bo w tej chwili czuł całym sobą z nieodpartą pewnością, że Melchior — to Pankrac. Serwacy mówił: my! Rządził się tam jak u siebie. Jak oni się zwachali, jak, na Boga żywego? I to on, bakałarz Damian, miał ich wypuścić na świat? I nie widział, kim oni są? Że jeden — nieludzki zbój — to on mordował kupców w lesie pod miastem, ani chybi, on! a drugi piekielny krętacz, oszczerca, łgarz! Jak to możliwe, jak to wszystko możliwe? I świadcząc mu każę przeciw burmistrzowi, że stru! Jakże może przysięgać fałszywie, że słyszał, że wie, jak nic nie wie? Dość miał już strachu o sfalszowane zapisy, a teraz by jeszcze po stokroć gorzej...? Przecie on nie zbir żaden ni łotr, człkiem uczciwym zawsze chciał być — i po co się wdał, po co w te czarnoksiężskie sztuki? I jeszcze na burmistrza? Nie ukrzywdził go Szymon nigdy, ba, przeciwnie. Pewno, teraz to już przez Modestę — Modesta... Czy to nie przez nią wszystko, całe nieszczęście burmistrzowe? I jeszcze teraz miałby on, Damian...? A nie przysięgnie, to pręgieryz, piętnowanie! Pohańbienie okrutne, rynek pełny złych, szyderczych gąb, wygrażających pięści i syk rozpalonego żelaza, i ból straszliwy!

Uciekać! — błysnęła desperacka myśl. — Rzucić wszystko i uciekać! Teraz, zaraz, o świecie, — o, tam już niebo szarzeje — jak tylko bramy otworzą! Zostawić pisarstwo, wigintywirat, ławnikostwo, tę garść mienia, co uzbierał! Wór na plecy i co tchu starczy w nogi! Byle tylko stąd, byle daleko, byle ująć tamtym! Nim się spostrzegą, odbije się już kawał. Może rzeką, może na jaką skutę zbożową trafi!!

Biegł już. Coraz prędzej. Gnał. Dopadł domu i izby. Rzucił do wora, co najcenniejsze wdział, stary, łatany kaftan i ciężkie ciżmy, schował za pazuchę dość ciężki mieszek i wykradł się z powrotem, jak najciszej potrafił. Skradając się pod przyporami i podcieniami domów biegł do najbliższej bramy, do Szewskiej. Tam, przed nią, obok kołowrotów, przeciągały się już i ziewały na całą ulicę dwa pacholy. Pewnie zaraz wezmą się do korb.

Wziął wór pod pachę i płaszcz, żeby był jak najmniej widoczny, przemienił chód na zwyczajny, nie spieszący się. Był już o kilkanaście kroków od bramy, kiedy jeden z pacholów odwrócił się ku niemu. Damian stanął jak wryty. W niepełnym jeszcze ale wystarczająco już jasnym świetle ranka zobaczył bezlitosne ślepia jednej z tych gąb, które zamajaczyły w

szparze drzwi u Melchiora...

W panicznym strachu rzucił się w bok, w ostatnią przed murami poprzeczną uliczkę. Chyłkiem, z sercem pod gardłem, oglądając się co chwilę, biegł wzdłuż murów ku następnej bramie, Rzeźnickiej.

I tam, z daleka już, dojrzał przed nią — Serwacego.

XXIII

Rajca Adrian zaciskał wąskie usta.

— Osobliważ bo to jakaś choroba była, wielce osobliwa... I wy tak, mistrzu Piotrze, zgoła nie miarkujecie, jaka?

— Dotąd nie wymiarkowałem.

— Quandoguidem et bonus dormitat Aesculapus, co, mistrzu Piotrze? — zmrużył oko do Piotra Bernard z porozumiewawczym uśmiechem augura do augura.

Piotr udał, że tego nie zauważył. Kiedy chodziło o jego wiedzę, drażniły go poufałości tego rozwydrzonego łyka.

— Aleście coś przecie sobie myśleli, nie? — wiercił świdrującymi oczyma Adrian.

— Nic tu po samym myśleniu. Trza naprzdód mieć jakieś wyraźne symptomy. Wtedy można dopiero myśleć.

— Ekhm, ekhm — chrząkał Adrian łypiąc nieznacznie ku Bernardowi.

— A co was, panie rajco, tak z nagła zaintrygowała ta choroba? — wyrwało się Piotrowi aż się sam zdziwił i obruszył na siebie.

— Z nagła? — obraził się Adrian.

— A no chyba. Bo jakem was raz spytał o tę Jewkę, co była przy chorobie a teraz służy u was, toście mi rzekli, że nie macie czasu na próżne gadanie.

— Bom wtedy i nie miał. Dwu kupców florenckich czekało na mnie. Ino ani rusz mi wymiarkować, co jakiejś służce — do mnie?

— Może i coś jest. Ona jedna była cały czas przy chorobie burmistrzowych, to i o objawach choroby można by się chyba czegoś od niej dowiedzieć? Więc chciałem posłyszeć, co. ona za jedna.

— Na mnie toście kiedyś wielce byli krzywi, mistrzu Piotrze, na samo podejrzenie — czcze podejrzenie — żem się znachorki na wsi radził. A sami się na rozum głupiej służki chcecie zdawać. Osobliwa ta wasza, ekhm, medycyna.

— Co my tam, prostaki, wiemy o sposobach takiej mądrej nauki jak medycyna — zauważył z jadowitą dobroduszością Bernard wypatrując czegoś nad głowę Piotra.

I znów się niczego od niego o tej Jewce nie dowiedziałem — pomyślał Piotr patrząc za Adrianem dość spiesźnie odchodzącym z Bernardem ratuszową sienią.

Tego samego wieczora Monika, niezwykle dziś przy wieczerzy milcząca, powiedziała w pewnej chwili:

— Piotrze, czy ty wiesz, co sobie ludzie po mieście gadają o... o burmistrzowej?

— No? — spytał myśląc równocześnie — Powie: gadają, że otruta.

— A no gadają... — ale żebyś się na mnie znów nie ciskał, bo ja ci tylko powtarzam, com słyszała.

Zdziwiony popatrzył wyczekująco.

— No?

— Że to wszystko to... jakieś czary.

— Co wszystko?

— Że z niej tak, wiesz, coś życie raz dwa wypilo.

Czary — myślał gniewnie nie odpowiadając — czary! Co za trutkę jej wsunęli, co za trutkę? Bo to chyba musiała być trutka... Ino jaka, jaka, że tak nieznacznie, bez śladów, gruntownie a prędko? Jaki to majster i gdzie potrafił wymieszać czy wywarzyć? Może w Italii, gdzie i stamtąd kto przywiózł? Tam pono takich majstrów dość.

Zatrzepał powiekami. Monika powtarzała jakieś pytanie, to samo pytanie. Że... że co...?

— Tak przecie mówiłeś, co? Prawda, że mówiłeś, że nijak ci rozumem pojąć, na co się jej zmarło?

— Mówilem. No to co?

— A raz toś także mówił, że jak czego rozumem nie pojąć, to nie dziwota, że ludzie w tym czary widzą.

— Ależ Monika, jak mówiłem, że nie dziwota, to jeszcze nie znaczy, że to naprawdę są czary. Czarami to nazwałem prześmiewając, żeby wyrazić coś bardzo dla zdrowego rozumu dziwnego, trudno zrozumiałego. Co to, kołace ktoś do bramy?

— I mnie się zdawało. A dziewczki śpią już.

— Czekaj, wyjrzę.

Głos, który na zapytanie Piotra odpowiedział prośbą o wpuszczenie do mistrza Piotra, miał jakieś znajome brzmienie ale był przy tym dziwnie niewyraźny czy zadyszany.

— Czy to wy, mistrzu Damianie? — pytał Piotr jeszcze, ale już otwierał bramę. I wtedy cofnął się o krok. Ta wychudła twarz ze sterczącym nosem i kośćmi policzkowymi, latające błędnie oczy to — Damian...?

— Zamknijcie bramę — bełkotał błagalnie bakałarz — zamknijcie...!

— A wam co takiego? — zdumiewał się Piotr.

— Powiem, wszystko wam powiem, ino dobrze zamknijcie!

Piotr powiódł go na górę. Miał uwierające uczucie czającego się gdzieś blisko nieszczęścia. A w pewnej chwili przeleciało mu piorunem przez myśl: A może to on... otruł...?

Damian na widok Moniki odskoczył, jakby nadepnął na węża.

— Ale ino wam... mistrzu Piotrze... samemu wam...

Monika odęła się gniewnie.

— Ja sobie idę. Możecie se tu ze swoimi sekretami! — trzasnęła drzwiami.

— Napijcie się wina — powiedział Piotr uspokajająco i przysunął bakałarzowi cynowy kufel.

Damian porwał go oburącz. Żłopał chwilę jak wodę. Odstawił kufel i rozglądał się błędnie.

— Mistrzu Piotrze — wyjęczał — ratujcie!

Miał w głosie taką rozpacz i przerażenie, że Piotr zadrżał sam.

— Ale co wam?

— Ratujcie mnie...! Ja wiem, że wy jeden! W całym mieście wy ino! Tom do was przyleciał! Ludzkie serce macie... wy jeden! Do gardła mi się dobierają... te piekielne paroby... do duszy! Na potępienie wieczne mnie!

— Ale kto?

— Melchior... Serwacy...

Piotr przypomniał sobie potem, że właściwie, kiedy usłyszał te dwa imiona, znowu się nie zdziwił. Że to nawet tak było, jakby na nie czekał od chwili, gdy zbudziło się w nim uczucie czającego się za bramą nieszczęścia. Ale to było już potem. Na razie począł się, dość gorączkowo nawet, dopytywać, wyciągać z Damiana, składać razem strzępy wybełkotanych słów i wiadomości.

Ach, więc tak... Sfałszowane przez tego gada Serwacego zapisy w księgach miejskich. O rzekomym obywatelstwie miejskim Damianowego ojca... I drugi, ba, ten gorszy, o długi i domu Łukaszowym. Tak, pierwszym zmusili go do milczenia, oczywiście, przy jego ambi-

cyjach nie dziwota. A teraz grożą oskarżeniem o te fałszerstwa j e g o, jeżeli nie zaprzysięgnie — jeśli nie zaprzysięgnie czego...?

...że się burmistrz odgrażał swojej... Że gadał: nie będzie nam wadziła... że ją sam otruł. A to może właśnie o n i... oni ją właśnie struli?

— Że o n otruł... Ale czemu się na burmistrza zawzięli? — dopytywał się Piotr gorączkowo. — Przecie im na rękę szedł, aż ludzie w mieście nie na żarty sarkali. I jakże to? Bo gadano, że nim tak owładnęli przez... przez waszą...

— Żeby z piekła nie była wyjrzała ta... ta diaboliczna! — dyszał Damian. — Taka ona i moja siostrzen...

— Więc czemuż oni teraz na jego gardło?

— Bo go tak odmieniło! Od śmierci burmistrzycy go odmieniło. Na tę piekielnicę nie spojrzysz a im na zawadzie staje przy ich łotrostwach! A mnie z tego albo pręgierz, albo na ich parobka piekielnego pójsć! Wy mnie ratujcie, na rany Boga żywego!

— Ale jak ja was mam ratować? Co ja mogę zrobić?

Damian porwał się obiema rękami za głowę. Był siny.

— Jak wy nie — wyrzeźił — to mi już ino chyba stryczek...!

— Czekaścież, czekajcie mistrzu Damianie — uspokajał Piotr przestraszony jego wyglądem i wstrząśnięty rozpaczą — czekajcież no, pomyślimy, zastanowimy się, może się coś znajdzie. Że łotry to oba wierutne, to wierzę, ale ostatecznie też ino ludzie.

— Nie ludzie, nie! — odkrzyknął przeraźliwie. — Nie ludzie! Wy nie wiecie, mistrzu Piotrze... nie wiecie... ale ja wam już wszystko... jak na spowiedzi! Ino przysięgnijcie... na rany Chrystusa przysięgnijcie... na żonę, na wszystko, co wam... że nikomu, za nic, nigdy o tym ani słowa... Przysięgnijcie...!

— No dobrze, dobrze — zniecierpliwiał się Piotr — nikomu. Ale o co wam...?

— Że to nie ludzie, mistrzu Piotrze — dyszał Damian — nie ludzie! Gliniane stwory... sam ich lepiłem! Na swoje nieszczęście, ja sam!

— Że coście zrobili? — skrzywił się Piotr myśląc, że mu się coś przesłyszało.

— Samem ich ulepił! Sam z gliny! Bogiem się świadczę, że nie łzę!

— Samiście ulep...? Gliniane, stwory...? — powtarzał Piotr wytrzeszczając osłupiałe oczy na Damiana.

— No! Z czarnoksięskiej księgi wziętem zakłęcie... i znak!

Piotrowi opadły ręce. Zwariował! — pomyślał. — Zwariował! Więc to na to mu się patrzyło już od dłuższego czasu!

I nagle odczuł coś jak lekką ulgę a równocześnie jakby spojrzął na Damiana innymi oczami. Więc to nie jakiś złowrogi, podstępny los wciągający w matnię bez wyjścia, przygnał tu tego człowieka. To po prostu — choroba. Straszna, nie opanowana, tajemnicza, ale przecie tylko choroba, dla niego zresztą, lekarza, tym bardziej zaciekawiająca.

Podniósł się zza stołu i zaczął wolnym krokiem przemierzać izbę.

Teraz przede wszystkim: jakie sposoby obrać wobec tego obłąkańca? Jeśli nie uda, że wierzy w jego majaczenia, może go doprowadzić do szału. A jeśli uda — to co wtedy? Ale co on mówi, co teraz mówi?

Damian bełkotał i dyszał, że teraz on już pewny, że Melchior — to właśnie ten jego stwór, ten Pankrac, co u niego był parobkiem a potem uciekł! Ten, którego mistrz Piotr zobaczył wieczorem na ulicy z wiadrami i o którym powiedział, że takiego to się można przestraszyć.

Piotr stanął jak wryty. W oczach wyskoczył mu z przerażającą wyrazistością obraz zalanej księżycem uliczki i człapiącej przez nią ciężko zmorowatej, ogromnej, utykającej postaci.

Utykającej...?

Tak jest, Melchior utykał tak samo!! Uszkodzenie muscui gastrocnemii... A jego twarz!

Przeciagnał ręką po czole. Co się dzieje...? Czy i on sam ma... ma niedobrze w głowie? Ale tak, teraz zdaje sobie sprawę, że w twarzy Melchiora, w tej jej połowie, której nie przysłaniała czarna przepaska na oku, było naprawdę coś, co przypominało tamtego paroba... że gdyby odjąć Melchiorowi czarną grzywę czy perukę (perukę! Czemu peruką zasłania łeb?) a przede wszystkim ową opaskę, to...

Przeszedł go dreszcz. Usiłował skupić znowu myśli i jął dalej przemierzać izbę. Gdy przechodził koło okna, zwróciło jego uwagę nagłe zachybotanie się jakiegoś cienia w oświetlonej księżycem uliczce. Ktoś rzucił się gwałtownym ruchem w mrok kamiennej szkarpy naciągając przy tym głębiej kaptur na głowę. Piotr nie dojrzał twarzy, ale ruchy wydały mu się znajome. Czyżby Serwacy...?

Zerknął na Damiana... Nie, tego on nie mógł być zobaczyć. Wyrzucał z siebie dalej słowa, dyszał, bełkotał bez przerwy chaotycznie, gorączkowo jak człowiek, pozbywający się okrutnego ciężaru długiego przygniatającego milczenia. Nie, teraz nie zobaczył cienia na ulicy, ale przecież niedawno, przed chwilą, strachał się, że tamci go szpiegują, pilnują, że nie dali mu uciec. Zatem to, to chyba nie było obłąkaniem? Więc gdzie w tym wszystkim zaczynało się obłąkanie a dokąd... dokąd sięgała prawda? Historia o spisku na Szymona, o zmuszaniu do fałszywego świadectwa — to była jeszcze prawda, czy już obłąkanie? A ten Melchior-Pankrac, Pankrac-Melchior...? Co, u Boga, trzeba przecie zachować zdrowy rozsądek!

— Coście — przypomniał sobie nagle — mówili o jakichś czarodziejskich znakach? Że skąd je — chciał spytać: wzięliście? — ale nim skończył zamajaczyło nowe, trzeźwą myśl podcinające wspomnienie: Urban i jego księga!

No więc tak — myślał z obezwładniającym zdumieniem słuchając odpowiedzi Damiana, chaotycznej, ale całkiem normalnie rzecz odtwarzającej. Damian pamiętał wiernie, co on, Piotr, powiedział Urbanowej siostrze o spaleniu księgi. Co więcej przyznał się, że podsłuchiwał, co Urban mówił przedtem o księdze do Piotra... Opowiadał, jak ją kupił, jak wykorzystał, jak ożywił stwory wtykając im znak w szczelinę na piersiach...

Już znowu obłąkanie — notował sobie w myśli Piotr. — Obłąkanie? A Urban? Urban czy nie wierzył w to wariactwo? Nie dopuszczał tej możliwości?

Czy nie wymyślał mu od mądralów, co nic nie wiedzą?

Nagle zdjęła go okrutna ciekawość wypróbowania czy i jaka jest logika tego obłąkania.

— A czemuście — spytał — w takim razie nie wyjęli im tego znaku, kiedyście czuli, że się wam już wymykają z ręki?

— W tym właśnie całe to szataństwo — wytrząsał rękami namiętnie Damian, jakby egzorcyzmował złe duchy — że wtedy już się to zrobić nie dawało! Wtedy już się broniły piekielne kukły, gryzły, kaleczyły podstępnie rękę! W tym szataństwo, że się stawały całkiem jak ludzie, zupełnie ludzie z krwi i kości! Widno, dobrze im było w ludzkiej skórze i ciele!

No tak — stwierdzał sobie Piotr w duchu naukowo — ma odpowiedź na wszystko. „Kukły stawały się całkiem jak ludzie...”

— Mistrzu Piotrze — zebrał Damian — wam ja wszystko jak na spowiedzi...! Nie opuszczajcie, ratujcie! Do was ja, jak do jedyne go na świecie! Nikogo nie mam, samem jak palec!

— Jakżeż nikogo — przerwał Piotr perswadująco, ale i podstępnie — przecie macie tę... tę siostrzenicę, przez którą się tu tyle piwa nawarzyło.

— Ją? — wychnął Damian. Oczy wyłaziły mu z orbit. — Toż ona, mistrzu Piotrze... ona też!

— Co też?

— Też takim stworem... jak tamci! — wyrzeźbił Damian.

Piotr cofnął się mimo woli. Przeciagnał dłonią po czole. Zaraz — myślał. — Zaraz. Powoli i spokojnie. Bo tu się jeszcze gotowe pokazać, że i ja jestem — takim stworem... z

kabalistycznym znakiem w piersiach.

XXIV

Po nocnych odwiedzinach Damiana Piotr chodził milczący, posepny i opryskliwy. Mówiły mu o tym stroskane, niespokojne a czasem zadąsane i gniewne oczy Moniki i zaskoczone twarze ludzi, z którymi musiał mieć do czynienia.

Co robić — głowił się — co robić? Przede wszystkim jak dojść tego, dokąd sięgała rzeczywistość w gadaniu Damiana? Dokąd sięgała, jeśli szło o znowę przeciw burmistrzowi, o groźby dla Damiana, o otrucie burmistrzycy? Bo odkąd zaczynało się najwyraźniejsze już obłąkanie, co do tego nie miał Piotr wątpliwości. Tak mu się przynajmniej zdawało. Zwykle ale nie zawsze. Bo zdarzało się i tak, że czasem, czasem, kiedy przypominał sobie ostatni wieczór u Urbana albo kiedy tak wyraziście wyryta w pamięci zmorowata figura z wiadrami na zalanej księżycem uliczce zaczynała raptem przerastać i mienić się postacią złowrogiego ławnika, czy gdy zobaczona kiedyś przez chwilę w okienku Damianowym maskara ożywała niby w „Przemianach” Owidiuszowych rysami Melchiora — chwycił się za głowę i tłukł sam pięściami, żeby się przekonać, że nie śni, nie majaczy, że jest całkiem trzeźwy i normalny.

Owo chwilowe uczucie ulgi, jakiego doznał na myśl, że historie opowiedziane przez Damiana są majaczeniami obłąkańca, owo uczucie zmaćło się i owiędło bardzo prędko. Jeszcze przed odejściem wtedy Damiana. Jakieś bezlitosne ciernie rzeczywistości tkwiły w tych majaczeniach zanadto wyraźnie. Wionęło od nich oddechem ciemnej grozy.

Przede wszystkim sprawa śmierci burmistrzycy. Tak, ta była najbardziej uwierająca. Czy rzeczywiście ją otruto? Wiele, zbyt wiele mogło przemawiać za tym. Wprawdzie nie objawów i oznak fizycznych ale wskazówek rozumowych. Umarła wtedy, kiedy zaczęła zawadzać... Komu? Hm. Mogła zawadzać... a no cóż... mogła zawadzać Szymonowi. I, co tu gadać, chyba zawadzała? Mogła Melchiorowi i temu drugiemu gadowi. „Piekielne paroby” mówił o nich ten obłąkaniec... A gdyby to jednak — Szymon?

Piotr myślał ze zdziwieniem a nawet z czymś jak wyrzut sumienia, że nie potrafił o takiej możliwości myśleć z pełnym należyтым oburzeniem i potępieniem. Czemu? Czy nie dopuszczała do tego stojąca mu ciągle w oczach zdręczona ale rzetelna twarz burmistrza, taka jaką pamiętał z chwili przed i po śmierci burmistrzycy? Tak, chyba dlatego, bo przecież w gruncie rzeczy byłoby mu niesłychanie trudno uwierzyć w taką zbrodnię Szymona.

A jeśli nie on, to kto? „Piekielne paroby”? Jakiego poszlaki? Chyba tylko to, że chcieli go całkowicie opanować przez Modestę? A swoją drogą osobliwe, że tych troje, owo — wedle bakalarza — rodzeństwo piekielne, tak się potrafiło jakoś zwać i skumać... No i jakim sposobem? E, to już nie byłoby takie trudne; Serwacy przecież ciągle się w ratuszu kręcił, podobno i protekcją burmistrzycy cieszył. Podsunąć jej truciznę nie przyszloby mu trudno. Tylko skądby ten chłystek potrafił tak dobrać i wyszukać truciznę działającą powoli i niewidocznie? Rzeczywiście, wybitnie zdolny — no, tę opinię to miał...

A gdyby tak... gdyby tak obłąkany Damian? Ale czemu? A no żeby utorować Modestę drogę do burmistrza i przez nią siebie? A potem z całą perfidią i żelazną logiką obłąkańca wymyślił tę demoniczną bajeczkę, z którą przyleciał do niego? Czy nie mogłoby być i tak?

Być by może mogło, ale nie było w tej możliwości dla Piotra jakoś nic a nic przekonującego. A wreszcie na tle tego wszystkiego plątała się gdzieś jeszcze jedna jakaś tajemnicza figura, do której od czasu do czasu wracały myśli Piotra. To była ta dziewczka obsługująca burmistrzycę w chorobie, obecnie służka Adrianowej, ta jakaś Jewka. Dziwna rzecz, że — choć zdawałoby się to tak nietrudne — Piotr nie mógł jakoś jak dotąd dotrzeć do niej. A

nie wiedział o niej nic, nic o jej możliwych nienawiściach, ambicjach, knowaniach.

W tym chaosie i zamęcie myśli zaczynało się jednak powoli coraz jaśniej i wyraźniej zarysowywać jedno przeświadczenie: że przeciw burmistrzowi rzeczywiście wykluwa się gdzieś, narasta jakaś wroga atmosfera. Piotr nie mógł jeszcze dociec jej źródeł a nawet i dróg, i sposobów, ale odczuwać ją zaczął coraz dobitniej. W niechętnych lub wyraźnie złych spojrzaniach i niedomówieniach mieszczan, gdy o Szymonie była mowa, w szeptach i stykaniach głów ławników i rajców. Podobno, jak słyszał od Jana, były nawet jakieś prywatne ich i potajemne zebrania, wedle jednych u Adriana, wedle innych u Melchiora.

Z natrętnymi pytaniami o przyczynę śmierci burmistrzowej zaczął się też spotykać coraz częściej. A zaczęło się to jakby nagle, od jednego razu. Bo z początku, zaraz po śmierci Szymonowej, to raczej on sam się dziwił, że o to nie pytano. Ta zatem część gadań Damiana zaczynała wyglądać rzeczywiście groźnie. Bywało tak, że samemu Piotrowi przechodziło przez głowę czyby jakoś nieznacznie a nawet całkiem wyraźnie nie uprzedzić burmistrza o gotującym się przeciw niemu spisku. Czy nie byłoby to jego powinnością? Ale powstrzymywało go zawsze to, że głowy za niewinność Szymona także ostatecznie nie mógł jeszcze dawać, że spisek również raczej wyczuwał niż o nim coś pewnego wiedział, ile że gadanie Damiana musiało się przecież przyjmować z największą ostrożnością, i wreszcie, że nie chciał przedwcześnie przestraszyć burmistrza a przez to popychać go do jakiegoś nieprzemysłanego działania w porywie popłochu, gniewu czy mściwości.

Co robić — biedził się Piotr — co robić? Ta myśl opadała go stale jak zły pies codziennie po przebudzeniu. Czy nie rozsądniej byłoby w ogóle nie mieszać się do tego wszystkiego? Nie dręczyć się tym, nie niepokoić, nie nadstawiać własnej głowy, ale stać z boku i patrzeć, co się z tego wszystkiego wykluje. O to go zawsze tak prosiła Monika, ba, na wszystko zaklinała. Ale czy to godzi się tak, czy można tak? Jakżeby się czuł sam, jak mógłby rano beztrudnie wstawać i niby to chcieć ludziom nieść ulgę i pomoc pamiętając, że w milczeniu pozwolił, by niewinnego człowieka perfidnie i okrutnie zgubiła zbrojka szajka? I nie jego jednego przecież. Jest jeszcze drugi, ten obłąkaniec, Damian... Pewnie, temu nie grożą rzeczy aż tak straszne, ani też nie jest tak całkiem niewinny. Ale skoro to znowu obłąkaniec, to czy można w ogóle mówić o jakiejś jego odpowiedzialności?

Nie, nie potrafił odsunąć się i umyć ręce. Nie potrafił i dlatego, że przecież poza wszystkim innym — takie to było okrutnie ciekawe, jak to wszystko n a p r a w d ę było, jak się kłębią i splatają ze sobą te wszystkie mroczne ludzkie sprawy. To i dlatego trzeba przede wszystkim wymiarkować to j e d n o: czy i kto otruł burmistrzową. T o wymiarkować. A to przecież jeszcze nie przesądza ostatecznie, co się zrobi potem.

Ale j a k wymiarkować? Ani chybi trzeba zacząć od burmistrza. I wy badać tę Jewkę, i próbować wycisnąć coś ze Serwacego... Tu przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Nieprzyjemne było, że — jeśli idzie o burmistrza — trochę okrutny... Ale co robić? Trzeba wszelkimi sposobami usiłować dotrzeć do prawdy.

Wiedział, że od czasu śmierci żony Szymon zamykał się czasem w domu, nie szedł do ratusza, nie chciał widzieć nikogo. Następnego więc zaraz dnia wypytał nieznacznie ludzi w kramach na rynku, czy widzieli dziś burmistrza idącego do ratusza. Dowiedziawszy się że nie, poszedł tam sam, głośno dobijał się do izby burmistrza a gdy zwabiony hałasem Serwacy wyjrzał ze swej izdebki, zapytał go, wysilając się na obojętnie urzędowy ton, czy burmistrz dziś przyjdzie. Wysilając się, bo Serwacy był jedną z niewielu istot, wobec których Piotr stosował taktykę pogardliwego ich niewidzenia. Serwacy, od niejakiego czasu znacznie mniej giętki w ukłonach ale o wiele bardziej godnie urzędowy, oświadczył z dyskretnie dwuznacznym grymasem, że — pan burmistrz? Któż może wiedzieć? Pan burmistrz tacy teraz zawsze jacyś niespokojni, czy zalęknieni...

— Zalękniony? — zdziwił się ostentacyjnie Piotr. — Dlaczego zalękniony?

— To znaczy zmartwieni, chciał powiedzieć, tacy zmartwieni — poprawiał się niewin-

nie Serwacy. — Ale jeżeli to co pilnego, to może on mógłby mistrzowi Piotrowi w czym usłużyć?

— Pilnego? — mruknął Piotr. Zrobił minę zafrasowaną i tak w tym zamyśleniu niby machinalnie wszedł do izdebki pisarskiej i usiadł na zydlu. — Juści że chyba pilnego. Jak zaraza nadejdzie już, to będzie za późno.

— Uhm — zobojętniał Serwacy i zaczął dłubać palcem w zębach.

— Już i ta śmierć burmistrzochy — rozważał jakby sam ze sobą półgłosem Piotr — była dość osobliwa.

— A co, prawda, że wielce osobliwa? — ożywił się od razu i zainteresował Serwacy.

— A nuż by to był taki pierwszy wypadek zarazy?

— He — prychnął Serwacy — to zaraza? Toż wy, mistrzu Piotrze, chyba żarty ze mnie stroicie? Przecie ja dobrze wiem: czarna śmierć to okrutna gorączka i kaszlanie krwią, i paskudne wrzody wszędzie! A u pani burmistrzochy nic takiego nie było.

— A ty — zaczął Piotr i zachrzakał to — a... a skąd wiadomo, że nie było? Mógłby wiedzieć tylko ktoś, kto ją widywał w czasie choroby.

— A no widziałem ja ją raz czy dwa, jak mnie zawołać do siebie kazała. Jak matka mi zawsze była — pociągnął hałaśliwie nosem i otarł ręką suche oczy. — Jak matka rodzona! Patrzajże się synku — synkiem mnie rada nazywała — patrzajże się, mówiła, na co mi to zeszło! Z kretelem tak, powiada, marnieję, a tu ani medyka, powiada, przywołać, ani co. Mój, powiada, świata bożego nie widzi za tą dziwką — urwał niby bardzo przestraszony i zatkał sobie usta dłonią. — Et, co tu gadać, lepiej nic nie gadać — mówił wzdychając i przewracając oczyma.

— Zaraz, powiad... powiadacie — poprawił się Piotr, kwaśno decydując się już na dwojenie chłystkowi — powiadacie, że chciała wołać medyka? Mnie czy kogo?

— Tak to jakoś się widziało — chwiał głową i krzywił się Serwacy — ino że zaraz wszedł pan burmistrz, to już nic więcej nie rzekła.

— Dlatego, że był przy tym burmistrz?

— Czy ja to wiem, dlaczego? Nie rzekła i już. A mnie pan burmistrz też zaraz kazali iść.

Piotr milczał chwilę. Patrzył spod oka na Serwacego.

— Ale że się tak na medycynie znacie — zaskoczył go nagle. — Na czarnej śmierci? Serwacy spuszczał oczy i ścigał skromnie usta.

— Bom kiedyś, wiecie mistrzu Piotrze, i medycyny zaczął się uczyć.

— O, a gdzie to?

— U jednych takich zakonników we Francji.

— We Francji? Proszę. To i francuską mowę ani chybi znacie?

— Ech, zapomniałem już, zapomniałem, bo to i młodziak byłem wtedy wielki i tego — a... a wy, mistrzu Piotrze, mieliście jakie nowe wiadomości o zarazie, co? Mieliście?

— A ile żeście wtedy lat mieli? — nawracał Piotr wytrwale.

— Ile lat? Ja? To niby kiedy?

— No tam we Francji?

— O, to jeszcze prawie chłopczyskiem byłem, chłopczyskiem. Więc co to ja...? Aha, że o was, mistrzu Piotrze, to ludzie gadają i daleko stąd!

— Zaraz — przerwał Piotr, jakby nie słyszał. — A przedtem toście się gdzie uczyli?

— Niby, gdzie przedtem? A to tak, gdzie się dało. To tu, to ówdzie. Więc tego... aha, że wasze leczenia, to sławne daleko za miastem!

Piotr rozłożył ręce niby w zafrasowaniu:

— Leczenie burmistrzochy mi się nie powiodło. Żeby choć można było jej ulżyć w ostatnich chwilach, bo okrutnie cierpiała.

Nie spuszcżając oka z Serwacego opowiadał, łącząc w przesadnym opisie objawy zu-

pełnie nieprawdopodobne i wzajem się wykluczające, o rzekomych cierpieniach burmistrzicy przed śmiercią. To wszystko wskazywałoby jednak na zarazę, mówił, czekając czy tamten zdziwi się czy zaprzeczy. Jeśli nie zaprzeczy, to łągarstwem jest jego nauka medycyny.

Serwacy nie zaprzeczył. Co było jednak ważniejsze jeszcze dla Piotra, jego nieruchoma twarz i całe zachowanie nie zdradziło najmniejszego śladu wzruszenia czy przykrości. A przecież gdyby to on otruł, zdradziłby się chyba jakimś drgnięciem twarzy, jakimś wyrazem oczu? — myślał Piotr patrząc jak Serwacy znowu z całym skupieniem dębał w zębach. Chyba by nie miał w sobie niczego ludzkiego...!

Niczego ludzkiego...? No tak, Damian przecież...! Ależ Damian jest obłąkany!

Wprost z ratusza poszedł do domu Szymona. Bardzo się tam skrobano po głowach, gdy powiedział, że musi się koniecznie zobaczyć z burmistrzem. Szeptano, namyślano się, wysyłano w głąb domu posłów. Niespodzianie po tym wszystkim wpuszczono go prędko i chętnie jakby na skwapliwe pozwolenie burmistrza.

Burmistrz jednak przywitał Piotra bez słowa a jego relacji o zarazie wysłuchał także w posępnym, nie zachęcającym milczeniu. Jego wielka, dawniej silnie brązowa twarz, była szerniała, z dużymi torbami pod oczyma i obwisłymi fałdami policzków. Od czasu do czasu zaciskał mocno szczęki ruchem, którego Piotr u niego dawniej nie zauważył. Niespodzianie, nie patrząc na Piotra, zapytał:

— Czy to można poznać jak... jak kogoś otruto? — a potem zaraz dodał prędko: — Was chciałem spytać... ino was, rozumiecie?

Piotrowi uderzyło mocniej serce. Aha, więc sprawa wytacza się sama! Starając się mówić jak najspokojniej i najbardziej rzeczowo, odpowiedział, że jak kiedy, zależnie od trucizny i okoliczności. Na ogół rzecz to niełatwa i niepewna.

Burmistrz słuchał patrząc mu teraz wprost w twarz. Uparcie i nieprzerwanie. Miał w oczach jakieś posępne, twarde światło. Co ono mogło znaczyć? Piotr nie wiedział.

Najczęściej, mówił, poznać to można po cierpieniach chorego. I tu, z rodzajem przykre-go zawstyżenia przed samym sobą, powtórzył w trochę innym ujęciu to, co rozpowiadał Serwacemu. Tylko teraz mówił o tym nie jako o rzeczywistych cierpieniach Szymonowej ale jako o cierpieniach powodowanych przez różne trucizny.

Twarz Szymona szarzała coraz bardziej. Zaciskał szczęki. Na czole błysnęły mu krople potu. Zrobił ruch ręką jakby odsuwający słowa Piotra i podszedł do okna. Nie odwracając się powiedział urywanym głosem:

— Idźcie już, mistrzu Piotrze... darujcie... O zarazie to już... kiedy indziej.

Piotr wyszedł zawstydzony sam sobą i swoimi, jak mu się to określiło, katowskimi sposobami, i w niepewności jeszcze większej niż ta, z którą przyszedł. No tak, burmistrz, w przeciwieństwie do Serwacego, był wstrząśnięty jego słowami. Czy musiało to już dowodzić, że był trucicielem żony? Tak to Piotr zamierzał sobie tłumaczyć przedtem, kiedy umyślał tę próbę z burmistrzem i Serwacym, i tak niby mogłoby to wyglądać przy porównywaniu jego zachowania się z zachowaniem Serwacego. Ale czy wzruszenie burmistrza nie mogło pochodzić stąd, że był po prostu — człowiekiem? I że chodziło tu o kogoś, kto był mu, choćby tylko kiedyś dawniej, miły i bliski?

Przechodził przez rynek tak zatopiony w tych rozmyślaniach, że kiedy w oczach stanęła mu daleka sylwetka Adrianowej Agaty rzucającej ku niemu spode łba wypatrujące spojrzenia, to było to już przypomnieniem spostrzeżenia sprzed jakiejś chwili. Mimo woli popatrzył, teraz już uważnie, w tamtym kierunku, ale Agaty już tam nie było. Toteż zdziwił się usłyszawszy po powrocie do domu od Moniki, że niedawno była dziewczka od Adrianowej z prośbą, by przyszedł, bo rajca ma się niedobrze.

Dziewka, która mu u Adrianów otwarła drzwi, miała niewyraźną minę a na zapytanie o rajcę bąknęła coś niezrozumiałego i ulotniła się. Ale naprawdę szeroko otworzył Piotr oczy, kiedy i od Agaty, wyraźnie już zmieszanej i niepewnej, usłyszał, że — Adriana nie ma w

domu...

— Bo on już taki — mówiła prędko i niespokojnie uciekając ciągle oczyma — że niezdrów a nie chce, żeby zawołać medyka. A potem się dopiero na dobre rozchoruje. Więc ona z tego niepokoju, bez jego wiedzy, posłała po mistrza Piotra a tymczasem Adrian się uparł, że musi iść do ratusza, bo tam Rada dziś...

Piotr zdziwił się dość ostentacyjnie.

— Dzisiaj? Przecie burmistrz zamknął się u siebie w domu?

A, to może nie Rada, tylko coś innego... Tak, tak, to coś innego, ale ona nie wie co, nie zna się na tym.

Jakieś kręactwa! — pomyślał Piotr. Uważać! Bo i ta niezwykła jej mowność dzisiaj...? Jak długo ją znał, nie słyszał nigdy, aby powiedziała od razu więcej niż kilka słów.

Niechże się mistrz Piotr nie gniewają, że trudziła niepotrzebnie i nie zdradzą jej przed mężem, bo byłby na nią okrutnie gniewny, że ona bez jego wiedzy tak! A to przecie ino z niespokojności o niego. Ale skoro mistrz Piotr już przyszedł... to spytałaby — bo ma kłopot z jedną swoją dziewczką, co jej tak jakoś marnieje od pewnego czasu... od kiedy wróciła do niej od burmistrzów... No tak, wróciła, bo była kiedyś u niej i ona ją odstąpiła Szymonowej, jak Szymonowa raz wyrzuciła swoją dziewczkę.

Piotr ugryzł się jeszcze na czas w język, na którego końcu miał już wykrzyknik: ach, to ta Jewka? Nie, nie zdradzi się niczym swym zainteresowaniem tą dziewczyną!

— Bo taka głupia! — mełła dalej Adrianowa. — Ubzdurało się dziwczysku, że się zrobi taka cudna, jak będzie piła owe zaczarowane zioła burmistrzochy, że do niej wróci ten jej jakiś tam, co jej teraz już nie chce. Dobrze, że sama nie poszła za burmistrzochą, co przez to... — urwała.

— Co: przez to? — przynaglił Piotr.

— No — uchyliła się — przecie wy wiecie najlepiej, mistrzu Piotrze, jak to było z Szymonową.

— Nic nie wiem — zachnął się szorstko.

— To ja nic nie rzekłam — wycofywała się niby — i wy nic nie pamiętajcie.

Piotr zbierał przez chwilę w milczeniu myśli.

— Musiałbym ją zobaczyć — powiedział wreszcie.

— Skoro pytacie. Tę, jak jej tam? Jak? Jewka? Nie mogę przecie nic wiedzieć nie zobaczywszy nawet tej Jewki. To może ta, co mi bramę otwierała?

— O nie, nie! — zaprzeczyła żywo i zawahała się.

— To ja... ja ją zawołam — podeszła ku drzwiom, ale znowu na moment jakby utknęła. Wyszła jednak.

Co to wszystko ma być? — myślał Piotr. — Adrian jej nakazał to kręactwo czy ona sama? Cel widoczny: rzucenie podejrzenia o otrucie — ale na kogo? No juści, chyba na Szymona... Więc Damianowe gadanie nie byłoby obłąkaniem?

Agata wróciła nareszcie. Sama. Piotrowi przypomniało się mimo woli, że i burmistrz szukał jej raz nadaremnie, tej Jewki...

— Ona — mówiła Agata nie patrząc w oczy Piotrowi — nie chce przyjść. Po rękach, nogach mnie całuje, tak się wyprasza. Taka głupia.

— Ale czemu?

— I okrutnie beczy, zem ja wam o tym powiedziała, bo przy tym czarodziejstwie to tak, że nie wolno nikomu o nim pisać, bo inaczej wszystko na nic.

— Ach — zrozumiał — to może i dlatego Szymonowa zakazała mnie wołać? I w ogóle nie chciała przyznać, że chora? Nawet Szymonowi...?

Przytaknęła okrutnie skwapliwie:

— Dlatego! Pewnikiem dlatego! I ona powiada, Jewka, że jak te zioła przestała pić, to już się ma lepiej.

Przestała pić... już jej lepiej... ale beczy, że czar nie będzie działał, bo Agata powiedziała — zestawiał sobie w myśli Piotr. — Oczywiście krętactwo we wszystkim.

Spytał twardo:

— Co to za leki? Leki na co?

— Na gładkość. Szymonowej to doradził czy przyniósł ten tam Sewery czy Serwacy, co to u Damiana.

Oślepiająca jasność rozjaśniła głowę Piotra.

Ach, więc to zemsta na niewiernym kochanku! Udaje, że nie pamięta jego imienia...

— A ten Sewery to przecie nie żaden medyk — — wyrzucała z siebie Agata. — Co on może wiedzieć? Może... może mu kto co źle poradził? Ten niby środek na schudnięcie. Może ten złodziejski aptekarz? Tylko wy na miłość boską nie zdradźcie, mistrzu Piotrze, że to ode mnie wiecie! Bo tak mi się wypsło niechcący... Ale to tylko do was! Nikomu ja innemu o tym nic...! Nawet mojemu nie rzekłam!

„Nawet”... — zauważył Piotr. Spytał:

— I to Serwacy nie pozwolił Szymonowej mówić o tym nikomu?

— Juści, chyba on... On jej przyniósł, on doradzał... Czy ja tam zresztą wiem? — niby to ruszała ramionami nad tym wszystkim, ale, Piotr zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz, w oczach miała mordercze błyski. — Gorzej — powiedziała chmurząc się — że takie niegodziwe plotki rozpuszczają źli ludzie o burmistrzu... A on niczemu nie winien!

— No więc właśnie! — wyrwało się Piotrowi. Utknął zły, że zdradził się z wiedzą o tych plotkach.

— Jakże mogę... jakże mógłbym nie powiedzieć tego, co wiem od was, jakby... jakby trzeba było?

— To nie mówcie, że wiecie ode mnie — wpadła prędko.

— Tylko skąd?

— No choćby... choćby od Jewki.

— Nie mogę mówić, że od niej, skoro jej nawet nie widziałem — powiedział stanowczo.

Popatrzyła na niego z dziwnym wyrazem. Co to było? Zdumienie, lekceważenie, szyderstwo? Czy raczej niedowierzanie? Zaraz zresztą spuściła oczy.

— To ja ją zawołam jeszcze — zdecydowała się naraz i poprawiła. — Każę jej, że musi przyjść.

Zdaje się jednak, że nie trzeba było aż długich namów, bo tym razem dziewczyna zjawiła się bardzo niedługo. Była duża i grubokoścista, z wystającymi kośćmi policzkowymi i wysokim, wypukłym czołem. Nie miała ani oczu zapłakanych, ani nie wyglądała na schorowaną. Była blada, to prawda, ale jeden rzut oka wystarczał do stwierdzenia, że miała na twarzy grubą warstwę bielidła i to widać nakładanego pospiesznie, bo uderzająco nierówno. Dygnęła przed Piotrem trochę zmieszana, ale opanowała to zmieszanie prędko.

Rzeczywiście: opanowała, stwierdził to sobie Piotr jako rezultat swojej obserwacji. Spokojnym niskim głosem potwierdziła wszystko, co przedtem powiedziała Agata. Tak, widziała pana Serwacego nieraz u pani burmistrzowej i przed chorobą, i w czasie jej. Tak jest, przynosił coś w koszyku. Pani burmistrzowa piła też stale jakiś płyn, który trzymała w butli w zamykanej skrzyni. Jej, Jewce, powiedziała, że to leki, ale zakazała opowiadać o tym komukolwiek. Ale ona, Jewka, słyszała zaraz na początku, jak pan Serwacy mówili, że to lek na schudnięcie i wypięknienie, ale nie pomaga, jak się o nim komu powie.

Spytał, co się stało z tą butlą po śmierci burmistrzowej. Tego nie wiedziała. A czy Serwacy był w tej izbie po śmierci Szymonowej? Tak, pomagał przy przygotowaniach do pogrzebu. Czy co z izby wynosił? Nie zauważyła. Czy Modesta przychodziła kiedy do domu burmistrza? Nie, nie widziała jej tam nigdy.

W tym, co mówiła, wszystko trzymało się kupy, nic nie uderzało chaotycznością czy

brakiem logiki. O sobie samej nie wspomniała nic a kiedy Piotr w końcu uważał za stosowne spytać ją, jak z jej zdrowiem, odsunęła to spokojnym ale ucinającym zapewnieniem, że teraz już dobrze. Gdy odchodził, oświadczyła, że mu bramę otworzy i tam, przy bramie już, powiedziała spokojnie, niby w dalszym ciągu rozmowy równego z równym, że pani burmistrzochy już i tak nie wskrzesić. To i pan mistrz Piotr — doprasza się łaski pana mistrza Piotra — nie będzie pewnie niepotrzebnie powtarzał nikomu, co powiedziała? Bo... — nie dokończyła odwracając głowę ku niewidocznym stąd schodom, skąd i Piotra doszedł w tej chwili jakby szelest niewieścich sukien. Jewka popatrzyła na Piotra, zdawało mu się, porozumiewawczo i dygnęła w milczeniu zamykając bramę.

Nie — myślał Piotr idąc wolno przez rynek i przypominając sobie spojrzenie jej rozumnych, zdecydowanych, szarych oczu — to nie taka sobie zwykła dziewczka służebna. I nie wygląda na bezwolne narzędzie w rękach swej pani. Tylko co znowu miało znaczyć jej zachowanie się przy bramie? Było w nim coś niedopowiedzianego? Na mgnienie przeleciało mu przez głowę, że — jakby tak całe owo „odstąpienie” jej Szymonowej było wysłaniem przez Agatę szpiega do domu burmistrzowej? Agata wiedziała o faworach Szymonowej dla Serwacego i może w nieprzytomnej swej zazdrości podejrzewała jeszcze i ją o miłości z nim? Albo jakby to tak właśnie Agata... Agata w tej zazdrości otruła Szymonową? Rękami Jewki? Ale przecież wszyscy wiedzieli, że Szymonowej nie szło o tamtego chłystka, którego używała tylko do posług, ale że wszystkie jej myśli skierowane były jedynie ku temu celowi, aby przywiązać jak najmocniej i utrzymać przy sobie męża. No i wtedy Agata nie broniłaby chyba burmistrza przed „niegodziwymi plotkami”... Przeciwnie, raczej starałaby się spychać podejrzenia ze siebie, na kogo by się dało. A ona kieruje je wyraźnie na Serwacego! Nie, to jest pomysł fantastyczny. Ale w takim razie, w takim razie jednak — Serwacy. A za nim — Melchior...

Z przeraźliwą wyrazistością stanęła mu w oczach złowroga figura z wiadrami na zalanej księżycem uliczce. Dreszcz go przeszedł.

Z całym wysiłkiem otrząsnął z oczu to widziadło. Co znowu, co znowu! Czego się go czepiają tak uparcie majaczenia tego obłąkańca! Sprawa dość groźna i bez tego. Nie trzeba aż piekielnych kukieł, wystarczy sam rzeczywisty Melchior, taki jakiego zobaczył pierwszy raz: zwalistą, mroczną postać wyrastającą wolno jak z podziemia w wykroju bramy na tle słonecznego rynku.

Z zaskoczeniem spostrzegł, że stoi w miejscu. Stoi na rogu rynku chwiejąc się na palcach stóp w przód i w tył, w przód i w tył.

I nagle zawrócił. Nie, to jakby jego zawróciło coś silniejszego od niego. Przyspieszył kroku. Wracił ku bramie burmistrzowego domu. Zakołatał w nią mocno.

XXV

Każde wyjście z domu było teraz dla Damiana przedsięwzięciem, na które musiał się z trudem zdobywać. Od strasznej rozmówki z Serwacym „pod okiem Opatrzności”, od nieudanej ucieczki i desperackiego szukania ratunku w domu Piotra, cała jego istota skupiła się w jednym ślepym instynkcie: w chęci zagrzebania się jak zwierz w jak najgłębszej, najciemniejszej, najnieodostępniejszej norze. To Piotr przekonał go, że powinien, o ile możliwości, zachowywać się jak zawsze, nie okazywać strachu, bo tym ośmielałby tylko grożącą mu szajkę. Piotr, ta jedyna teraz dla Damiana deska ratunku, jedyna nadzieja ocalenia. Nie wiedział, w jaki sposób Piotr mógłby go ratować, ale desperacko uczeplił się myśli, że Piotr zechce to zrobić, że wyteży cały swój rozum, aby jakiś sposób wynaleźć. On jeden, jedyny na całym

świecie. Tej myśli zawdzięczał jakie takie opamiętanie się i uspokojenie.

Do szkoły przemykał się każdego ranka chyłkiem, jeszcze o szarym świcie, nakładając drogi przez boczne uliczki, aby tylko nie iść przez szeroki, otwarty dla dalekich spojrzeń rynek. Podejrzliwie śledził przede wszystkim twarze nadchodzących dzieci: czy nie wyziera z nich już złośliwa uciecha i bezczelność bliskiej bezkarności. Czasem zdawało mu się, że dostrzeżga ślady czegoś takiego; srożył się wtedy i łamał na dzieciach kije bez litości. Kiedy indziej uspokajał się, że jednak wszystko jest jak zawsze. Bo przecież i tamte piekielne paroby nie zgłosiły się jakoś dotychczas po tę decyzję, której zażądał Serwacy. A może to naprawdę były tylko pogrożki — myślał — tylko próby wymuszenia? W każdym razie spotkania z Serwacym bał się panicznie i gotów był obchodzić pół miasta albo wyczekiwać po nauce długo w pustej szkole, aby tylko uniknąć możliwości natknięcia się na niego.

To jednak utrudniało mu także wszelkie spotkanie z Piotrem. Potrzeba zaś takiego spotkania pęczniała w nim coraz mocniej, coraz niecierpliwiej i nieustępliwiej. Za wszelką cenę musiał się przecież dowiedzieć, co Piotr zamierza i co już zrobił. Raz wieczorem wybrał się do medyka do domu, ale zawrócił klucząc w popłochu, bo mu się zdawało, że ktoś za nim chyłkiem się skrada. W kilka dni później serce uderzyło mu w radosnej nadziei, kiedy zobaczył Piotra przed szkołą. Ale zaraz zmiarkował, że medyk szedł — co Damiana bardzo zaskoczyło — z kanonikiem Grzegorzem. Damian widział wyraźnie, że Piotr go widział, ale zaraz odwrócił głowę i, jakby żywo przekonując o czymś Grzegorza, udał, że nie słyszy jego pozdrowienia. Zaniepokojony tym Damian wrócił do domu gubiąc się w domysłach. Kołatanie do drzwi poderwało go radosną nadzieją, że to może Piotr, ale nadzieję tę obezwładniła nagle myśl, że w ten sposób kołatał raczej — Serwacy. Podkraść się na palcach pod drzwi i wstrzymując oddech nasłuchiwał. Jeśli to Piotr — rozumował — to się odezwie, spyta.

Pukanie powtórzyło się niecierpliwie raz, potem, coraz gwałtowniej, drugi i trzeci, ale nikt się nie odezwał. Potem ktoś zaszarpał wściekle drzwiami, walnął pięściami, kopnął drzwi. Damian zmartwiały przypierał je całym sobą. To Serwacy — kołowało mu się w popłochu po głowie — to ten parobek piekielny!

Wreszcie usłyszał lekkie kroki na schodach. Potem zgrzyt bramy wejściowej. Odetchnął i otarł pot z czoła. Serce rozsadzało mu piersi. Wyjść z domu tego dnia już się nie odważył. Ale i następnego przemykał się do szkoły jak tropiony zwierz. A kiedy niedługo po rozpoczęciu nauki usłyszał, że ktoś za jego plecami wchodzi do izby, zadygotał cały w popłochu. Oglądnał się i znieruchomiał.

Tak, to wszedł Serwacy. Z zadartym nosem i uniesionymi wysoko brwiami, ale jakiś odmieniony. Jego pomarszczona gębusia wielkogłowego niemowlęcia była jeszcze bardziej ziemista niż zwykle. Wionął dłonią na powitanie Damianowi.

— Macie puścić żaków do domu — orzekł sucho. — Burmistrz powiedzieli. — I nie zwracając już uwagi na Damiana zwrócił się ku dzieciom:

— Idźta se do domu, chłopaki.

Buchnął wrzask w klasie. Skłębilo się w niej jak w rozbitym ulu.

— Co to jest...?! — zabełkotał Damian krztusząc się z wściekłości — co ty mi tu będziesz, chłystku, rządził się?! Siadać tam, gówniarze! — ryknął.

Fala dzieci znieruchomiała.

— Nie podawajcie się na śmiech, mistrzu Damianie — zasyczał Serwacy zadzierając rozdęty łebek ku brodzie Damiana — za chwilę was zawołają na ratusz. Lepiej, żeby żaki nie widziały. Prędzej! — powiedział do dzieci. — Wynosić się. Mistrz Damian pozwolili.

Izba opustoszała jakby ją wymiotło.

Strach, który nagle obleciał Damiana, obezwładnił go. Z zapartym oddechem wytrzeszczał oczy na Serwacego.

— No, toście się doczekali swoim głupim uporem — mówił zimno Serwacy unosząc znowu wysoko brwi. — Wszystko byłoby inaczej, jakbyście byli od razu zrobili, cośmy wam

rzekli. Teraz już burmistrz wywahał wasze fałszerstwo w księgach. O obywatelstwie ojca.

— M o j e fałszerstwo?! — dławiał się z pianą na ustach Damian. — M o j e...?!

— A komuż z niego zysk? Chyba wam, nie komu. Że się wam do wigintywirów i Ławy zachciało. Teraz będziecie mieć Ławę — pod pręgierzem. Jakbyście byli poświadczyli, że burmistrz swoją otruł, to by mu nie w głowie było dziś nos do ksiąg miejskich tknąć. Sam by tego pewno i nie wywęszył, bo nie uczony prostak, ale se do pomocy waszego medyka wziął. Ten łepak wywęszył.

— Piotr...? Piotr wywęsz...?

— A Piotr, Piotr. Przed całą Radę burmistrz to wywłókł. Są, powiada, poszlaki, że w księgach fałszerstwa. Od razu na was, widać, podejrzenie miał, bo skądby tak zaraz trafił do księgi sprzed czterdziestu kilku lat? Zbadać trza, powiada, i, powiada, do tego uczonych w łacińskim języku trza. I lepiej, powiada, dwóch, żeby pewniejsze było. No to, powiada, rajcę Bernarda uprośmy, bo uczony, i może mistrza Piotra — „może” powiada tak dla niepoznaki, bo dawno se to już z medykiem obmyślili. Widać to było z tego, jak do siebie mrugali. Ale Bernard nie głupi się z tym babrać. Nie chciał. No to kanonika Grzegorza wzięli, tego bałwana, co ledwo litery łacińskie składa. Już on tam będzie śpiewać, jak mu medyk zagra, bo co on sam wie?

— Łcesz! — wydyszał Damian. — Skąd to wszystko możesz wiedzieć?

— My wszystko wiemy. A to wam jeszcze powiem i to ostatni już raz, miarkujcie se to, że ostatni raz! Dacie świadectwo, że burmistrz otruł, to was jeszcze i z tego wybronimy, a nie, to pręgierz! I jeszcze... — przerwał raptownie, spojrzął w okno, bo widać coś na rynku zwróciło jego uwagę. Skulił się zaraz i chyłkiem wybiegł rzucając czatujące i szpiegujące spojrzenia na Damiana.

Damian opadł na ławę. Mąciło mu się w głowie, ćmiło w oczach. Więc Piotr... Piotr, któremu wszystko wyznał, któremu się cały zawierzył. Piotr miał go zdradzić przed burmistrzem, przed Radą...? Wczoraj udał, że go nie widzi... Co to wszystko... co to? Świat się cały wali już? Na niego? Czy też łgarstwo to wszystko... łgarstwo tego czarciego nasienia?

Ktoś go szarpał za ramię. Spojrzął przytomniejąc: pachół ratuszowy. Co on gada...?

— ...że macie bękarty puścić do domu — mówił pachół i z rozdziawioną gębą wodził ślepiami po pustych zydlach i ławeczkach — i iść do ratusza.

Więc przecie... więc przecie — tłukło się rozpaczliwie w głowie Damiana, kiedy potykał się półprzytomnie za pachółem — wołają go, tak jak ten gad gadał, i przed Radę... całą Radę...! Co go tam spytają, co on powie, Chryste Panie, co ma mówić? Przyznać się, że wiedział, krzyknąć, że to Serwacy?

I nagle zobaczył Piotra. Szedł powoli przez sień a kiedy pachół go minął, zwrócił nieznacznie głowę i potrząsnął nią i mrugnął uspokajająco. Dłonią za plecami dał znak jakby wstrzymujący Damiana. Sam wszedł prędko do izby radnej.

Damian mimo woli zwolnił kroku. Zaczerpnął głęboko oddechu, ocierał czoło z potu. A więc nie! To gad łgał... Piotr przyjazny... czuwa. Trza się opanować, na gwałt opanować, nie pokazać po sobie...!

— He, wy tam co? — burknął pachół oglądając się. — Macie do Rady!

Damian wszedł, pokłonił się, przeleciał wkoło nieśmiałym spojrzeniem: siedzieli jeszcze bardziej niż zwykle napuszeni, milczący wrogo. Spod wyniośle uniesionych brwi patrzyli obco, twardo i odpychająco. Na stole przed burmistrzem leżała otwarta księga. Jedna tylko? Która...? — zachodził w głowę Damian.

Burmistrz już mówił. Mrukliwie i urywanie, błędząc spojrzeniami po stole. O podejrzeniu, że są w księgach fałszerstwa. Że zapytuje ludzi uczonych, którym Rada powierzyła zbadanie sprawy, do jakiego doszli przekonania. A naprzód... naprzód medyka, mistrza Piotra.

Z jakiegoś miejsca rajcowskiej ławy doszło niechętnie sapnięcie. Burmistrz nie spojrzął w tę stronę Wyczekująco zwracał głowę ku Piotrowi.

Siedzący z boku Piotr powstał. Tak, powiedział, jego zdaniem zdarzają się zapisy sfałszowane. A co sądzi wielebny kanonik Grzegorz? — pytał dalej burmistrz. Kanonik Grzegorz ruszył ramionami. — On... właściwie to... trudno powiedzieć. On nie wie.

— Jak to: nie wiecie? — wpadł Piotr. Przecie godziliście się wczoraj ze mną, że sfałszowane!

— Ja się godziłem? — zdziwił się kanonik odymając wargi. — Chyba się wam coś przywidziało.

— Nic mi się nie przywidziało! — wyrzucił gwałtownie Piotr. — Godziliście się!

Damian słuchał w nowym zamięcie myśli. Do czego zmierza Piotr? Rzuca mu uspokajające spojrzenia a uparcie dowodzi, że fałszerstwa były?

Wśród ciszy, jaka zaległa, rozległo się chrząkanie Adriana. Rajca mówił:

— Czy był... czy macie, mistrzu Piotrze, jakiego świadka na tę zgodę?

Piotr odwarknął:

— Nie, nie mam świadka!

— Ughm — odchrząknął Adrian.

— Ale mogę wam przypomnieć — ciosał Piotr twardo słowa do kanonika — że kiedy wam zwracałem uwagę na kolor inkaustu, przyznaliście. Kiedy na to, że dukt liter trochę inny, zwłaszcza przy „r” i „c”, zgodziliście się.

Kanonik Grzegorz bełkotał prędko:

— Nie gadam, że się nie godziłem na te... te gukły, ino powiadam, że nie mógłbym przysięgać, że zapisy akurat sfałszowane.

— A przysięgać, że nie sfałszowane? — zaskoczył go Piotr.

— No też... też nie.

— A ja mogę, że sfałszowane — uciał Piotr.

— To wobec tego — mówił burmistrz ciągle tak samo mrukliwie i jakby apatycznie — trza dojść, kto sfałszował.

Znowu zaległa cisza i znowu w tej ciszy pierwszy zachrzypiał zły głos Adriana:

— Mistrza Damiana o to pytać. On przecie pisarzował.

— Ja nie sfałszowałem! — wyrwało się Damianowi rozpaczliwie. — Ja nie!

Burmistrz podniósł głowę znad stołu.

— Zatem przyznajecie, że k t o ś sfałszował?

— Ja — plątał się Damian nie wiedząc, co powiedzieć — ja... nie wiem.

— Jak to: nie wiem? — wybuczał z pasją rajca Kasper podźwigując się ogromnym cielskiem z ławy — a kto ma wiedzieć? Kto miał dostęp do ksiąg?

Struchlały Damian wyjąkał:

— Nie ja jeden.

— Aha, jeszcze pan burmistrz — wtrącił Bernard jak niewinne objaśnienie.

Adrian porwał się z miejsca.

— To niesłychane! — krzyczał wytrząsając kościstym szponem ku Damianowi. — Słyszeliście, panowie rajcy? On obwinia burmistrza!

— Nie burmistrza! — krzyknął Damian. — Nie burmistrza! Do ksiąg miał dostęp także on, Serwacy!

— Serwacy?! — poderwał się Bernard. — Pierwsze słyszę! Jakim prawem?

Od końca burmistrzowego stołu wyskoczyła w górę prawie niewidoczna dotąd spoza ksiąg figurka Serwacego. Jego głos wbił się przeraźliwym piskiem w rosnącą wrzawę:

— Mistrz Damian mnie tam wprowadzili! On przecie sam, za zgodą pana burmistrza!

— Bez przysięgi? Bez zgody Rady?! — krzyczał dziobiąc powietrze ogromnym hakowatym nosem rajca Sebastian.

Burmistrz nie patrząc na nic, nie podnosząc głosu, mówił apatycznie:

— Wiedzieliście o tym wszyscy doskonale.

— I nagle zagrział wytykając ich palcami: — Samiście brali od niego odpis raz, rajco Bernardzie! A wam, kmotrze Kuźmo, spisywał umowę pod moim dyktandem, byliście przy tym!

Zakrzyczeli go, że nie pamiętają, nawet nie patrzyli, kto pisze, rozumieli, że jakiś przygodny kopista! Wrzawa rosła. Czarny Paweł, Sebastian i napastliwy, mały, wrzeszczący co siły rozdygotanym głosem rajca Kunrad wykrzykiwali, że burmistrz zaniedbał swe obowiązki, że to ciężkie wykroczenie i Rada powinna się zastanowić...

Burmistrz po poprzednim wybuchu siedział znów błady i milczący. W jakimś odpływie wrzawy odezwał się nagle spokojny i donośny głos Piotra.

Przy nowym zaskoczeniu i przerażeniu Damiana pytał, czy on, Piotr, jest tu jeszcze potrzebny, czy Rada rozstrzygnęła już sprawę fałszerstwa ksiąg?

Wrzawa opadła. Wśród wzburzonych sapań i pomruków krzyknął ktoś, że trza posłuchać, co gada ten tam Serwacy. Przywtórzono mu. Niech gada! Sfałszowane zapisy czy nie?

Serwacy, całkiem już teraz widoczny, stał na otwartym miejscu. Otwierał usta i zamykał, ostentacyjnie łypał na Damiana, zawracał oczyma boleśnie i obłudnie a wreszcie zasłaniając ramieniem twarz wybeczał w wyduszonych szlochaniach, że jemu... jemu okrutnie ciężko powiedzieć to o dobroczyńcy... ale kiedy sławetna Rada każe, to... on już powie... jak na świętej spowiedzi: tak, zapis jest sfałszowany...

Zaszumiało w sali. Damian dławiąc się śliną wypatrzył się na Piotra i przeraził jeszcze bardziej widząc na jego twarzy zdumione zaskoczenie. Burmistrz pochylał się ciężko nad stołem ku Serwacemu. Mówił twardo:

— Więc ławnik Melchior zabrał nieprawnie dom, he? Zapis sfałszowany?

Ramię Serwacego opadło od razu od oczu. Stał otwierając szeroko gębę.

— O jakim to domu prawicie? — okrutnie się scudował klepiąc powiekami.

Burmistrz rznął nagle pięścią w stół.

— O Łukaszowym, chłystku! — huknął. — Nie udawaj, że nie wiesz!

— Łukasz... dom? — przeciągnął Serwacy klepiąc wciąż powiekami. — Tam w zapisie nic o Łukaszu... Tam jest, że ojciec mistrza Damiana miał obywatelstwo miejskie.

Serce skoczyło Damianowi do gardła. Na twarzy Piotra mignęło mu coś jak błysk ironicznego zrozumienia. W izbie buchnęła nowa wrzawa.

— Co on bredzi?

— Kumedyje tu jakieś z nami wyprawiają!

— Ciemierzycy mu dać!

— Prędzej kijów pięćdziesiąt!

Rajca Kasper włókł Serwacego za kark do burmistrzowego stołu, tkał mu twarz w otwartą księgę i zapieniony buczał:

— Gdzie tu o jakim obywatelstwie? Gdzie tu...?!

— Tu? — skrzeczał przeraźliwie Serwacy. — Co to za zapis...? Ja przecie nie o tym...!

— He? — rozdziawił się Kasper puszcżając go. — Nie o tym? A o jakim?

— Tym o ojcu mistrza Damiana! — darł się Serwacy.

Burmistrz bił dłonią w otwartą księgę:

— Toś nie słyszał, że mówimy o Łukaszu? O zapisie jego domu?

— Żeby tak śmierć miał lekką, zem nie słyszał! — składał ręce i zawodził Serwacy.

Adrian wytykał paluchem otwartą księgę i powtarzał uparcie:

— Więc t e n t u zapis nie jest sfałszowany? Ten tu — n i e? He? Ten n i e?

Serwacy zanosił się piskiem, czkawkami szlochów i zaklinaniami w niebogłosość:

— Prawdziwy! Nijakiego w nim fałszerstwa! Bogiem się świadczę! Żeby tak skończył...!

— A gdzie ten sfałszowany, he? Gdzie ten? — chrypiał Adrian.

— Gdzie sfałszowany? Który sfałszowany? — wrzeszczeli jeden przez drugiego Czarny

Paweł, Kasper i Sebastian. — Niech powie! Dać go tu!

Serwacy zwił się między nimi jak bąk. Przyskakiwał do nich, odskakiwał, wrzeszczał, że tamten jest w jednej starej księdze, że on ją zaraz przyniesie, czepiał się ich rękawów i biegł zaraz do innych, zaklinał się, i znowu, że to w jednej starej księdze, czy pan burmistrz pozwoli, żeby przyniósł?

Damian widział, jak burmistrz spojrzął pytająco na Piotra i jak Piotr ruszył ramionami jakby chciał rzec: nie ma rady, a potem kiwnął głową. I jak Serwacy na przyzwalający gest burmistrza prześliznął się jakimś węzowym skrętem ku pisarzowej izdebce.

— Nie ten, to inszy sfalszowany! — darł się rajca Gładysz. Rozpychając z wysoka powietrze krzywymi nożyskami pchał się do stołu burmistrza, charkał z wściekłością na podłogę. — Ładne, tfu!, porządki na tym zgnojonym ratuszu, tfu, tfu!

Krzyczeli, wytrząsali pięściami, doskakiwali do burmistrzowego stołu i kupą rzucili się do przyniesionej w oka mgnieniu przez Serwacego otwartej już księgi. Cisnęli się nad nią i trzęśli głowami, wyciągali sobie z rąk, pokazywali paluchami. Jest, jest o tym obywatelstwie! Tak, Paweł, syn Damiana, o tu! Ale to jeszcze nic! Patrzcie, co tu: „...plac za bramą Szewską... ma go przekazać... małoletniemu synowi Damianowi...”

— To niby bakałarzowi?!

— Plac waszego szwagra, słyszycie Kasprze?!

— Wydrzeć go wam chciał ten golec, ten łotr!

— Już się gotował! Przyczał się ino!

— Patrzcie się na niego teraz, patrzcie jak się trzęsie ze strachu!

— Ubiją mnie! — przelatywało strzępami myśli przez głowę Damiana. — Ubiją! A Piotr nic... nic...?

— Ty sobie, człowieku ręce urabiasz, żeby dzieciom kawałek chleba — grzmiał ktoś — a tu przyjdzie taki i...!

— Sfalszował! Widzicie sami! — piszczał już w zadyszce tryumfu Serwacy. — Sfalszował! O, sfalszowane: „Paweł, syn Damiana, obywatel miejski...”! Sam go naszedłem raz, jak w tej księdze pisał! Chyłkiem, po nocy już! Poznać łatwo po innym inkaucie!

Fala ślepej wściekłości zalała Damiana.

— Łżesz, przeklęty! — ryknął. — Tyś sfalszował i to, i zapis o Łukaszowym domu! Ty, czarci pomioce, nie ja!

— Co-o to jest?! — poderwał się Adrian. — Jak on śmie tak wrzeszczeć tu, przed sławetną Radą, ten... ten diad bakalarski?! I jeszcze kłąć bezbożnie?

— Do czegośmy doszli?! — poparły go wzburzone groźnie głosy.

Bernard wyrzucał komediancko w górę ramiona:

— O tempora, o mores!

— A burmistrz nic na to? Nie widzi, nie słyszy?

— Tak jak i fałszerstw nie widział, nie wiedział!

— Tak on o nas i miasto dba!

— Burmistrz był bardzo zajęty — objaśniał kpiąco Bernard.

— Gamratkami był zajęty!

— Pozwalał, bo to wujaszek jego tłuki!

— Za to go do niej puszczał pod pierzynę!

— Tfu! Wstyd i obraza boska!

— A co było z burmistrzyczą?!

— Juści! To jeszcze zbadać trza!

— Z czego umarła burmistrzycha, ha? — wydarł się jakiś głos nieprzytomny z wściekłości.

I nagle ucichło. Jak nożem uciął. Krzyk urwał się i zawisł im na ustach pod strasznymi oczyma Szymona. Burmistrz podnosił z wolna głowę, dotąd bezwładnie, zdawało się, wspartą

na dłoni i wiódł tymi przekrwawionymi oczyma powoli od jednego do drugiego.

Damian patrzył z zapartym oddechem. Serce rozwalało mu żebra. Co teraz? Czy Piotr i teraz nic... nic...? Nie, coś chyba zrobi, coś ma w twarzy?

Piotr podchodził do burmistrzowego stołu. Oparł się o niego prawym łokciem. Donośnie i stanowczo, niby spokojnie ale drgającym z lekka głosem odpowiedział w kierunku tamtego krzyku:

— Z trucizny.

Damianowi mignęła w oczach głowa burmistrza podskakująca nagle ku Piotrowi i znieruchomiała z wyłazającymi z orbit oczyma. Przez mgnienie trwała cisza. Potem zakotłowało się dziko.

— Aha! Z trucizny!

— Teraz to dopiero gadacie!

— A kto otruł?

— Kto? Kto?! Kto otruł?! — naciskali rozwrzeszczaną kupą.

— On! — krzyknął Piotr wytykając ręką Serwacego.

Stanęli z otwartymi gębami. Wszystkie głowy skrzyły się ku Serwacemu. Znieruchomiały w połowie podrzutu burmistrz zawisnął ciężko nad stołem.

— On! — wołał Piotr. — On a może... może jeszcze ktoś stał za nim!

Serwacy cisnął się jak opętany.

— Fałsz! — wrzeszczał podskakując jak kogut. — Bezece oszcz... oszczerstwo! Kto... kto stał za mną, kto?

— Ty wiesz dobrze, gadzie, kto! — odkrzyknął mu Piotr.

— Wiem, kto otruł! — darł się Serwacy. — Wiem! Powiem! Zaprzysięgnę! Wszystko powiem!

— Na sądzie powiesz, na sądzie — wpadł mu Piotr — bo ciebie skarżę o trucicielstwo!

Spojrzeli na niego spode łba. Potem po sobie. W milczeniu zazezowali kątami ślepiów ku burmistrzowskiemu stołowi.

— Na sądzie — powiedział czająco się Adrian.

— Tak... Na sądzie. Trzeba wszystko na sąd.

— Trzeba na sąd — przyświadczyli ponuro.

XXVI

Burmistrz siedział nieruchomo w wysokim kanciastym krześle gotyckim z głową opadłą nisko na piersi, z łokciami i dłońmi nieruchomymi na poręczach. Twarzy Piotr nie widział. Ledwo czasem zamajaczyła szarawą plamą w jaśniejszym rozbłysku mdłego ognia kominowego. Piotr mówił dalej, z coraz większym trudem opanowując rosnące rozdrażnienie i irytację. Co jest z tym burmistrzem? Czy on nie zdaje sobie sprawy, że tu w grze i jego głowa? Że i nad nią mógłby zawisnąć miecz katowski, jeśli się nie zbierze wszystkich sił przeciw tamtym, przeciw tej łotrowskiej szajce? Znowu jedna z tych faz apatii, jakie mienią się u niego z fazami wzmożonej energii i ruchliwości, także w skutkach nie zawsze szczęśliwej?

— Zważcież, panie burmistrzu — przedkładał Piotr — że dość kruche jeszcze te dowody, na podstawie których mogłem oskarżać Serwacego. Ba, nawet nie dowody to, tylko raczej przypuszczenia oparte głównie na słowach owej Jewki od Adrianów. Pewnie, Adrianowa Agata wielce nam tu pomocna, ino że z nią to także człowiek nigdy na pewno nic nie wie. I trza by się jeszcze z nią i z tą Jewką dokładniej rozmówić. A tu nijak dojść do tego. Sam tam „pod nosorożca” kilka razy kołatałem, kiedym wymiarkował, że Adriana w domu nie ma, cóż,

kiedy mi nie otwierają. Jak mnie ujrzą, nie otwierają. Nie wiem, czy to może z Adrianowego rozkazaniam, jeśli on sprawy swojej białki przeważuje, czy też może nie chce, aby się kto z Damianem porozumiewał i temu do domu nikogo nie wpuszcza.

— W szkole go przecie możecie złapać.

— W szkole? Ej, niedobrze to, panie burmistrzu, że się tak mało teraz sprawami miejskimi zajmujecie. To nie wiecie, że mu Adrian i Rada do szkoły chodzić zakazali? Jakże, powiadają, fałszerzowi? Aż sąd o tych fałszerstwach rozstrzygnie, powiedzieli.

Burmistrz przeciągał wolno ręką po czole.

— Więc jakże to, jakże to właściwie z nim? Bo mi wyglądał sam na zaskoczonego, kiedyście stwierdzali, że Łukaszowy zapis sfalszowany?

— No tak — westchnął Piotr — bo widzicie, panie burmistrzu, jemu także nie mogłem wszystkiego wprzód powiedzieć. Tego, co i jak będę mówił i że o owym niby Łukaszowym zapisie także. A wiecie czemu? Dlatego że on jest — postukał się palcem w czoło.

— Że co? — zdumiał się burmistrz.

— Że on w głowie ma pomieszane. Dziwicie się? Ja się też zdziwiłem i niemało.

— Ale przecie on taki jak każdy?

— No tak, tak, jak każdy — Piotra korciło, żeby dodać: a może też w „każdym” siedzi taki możliwy obłąkaniec, ale przygryzł wargi i zamiast tego powiedział: — Jak każdy we wszystkim prócz jednego... Bywają czasem i tacy obłąkańcy. Ale Damian to i nie zawsze taki jak „każdy!” Czasem bywa dziwaczny... bardzo nawet.

— To prawda, że bywa, prawda. A ta jedna sprawa, w której on tego... to co takiego?

— E, co wam będę o tym w uszach siedział. Długa historia. A kto nie medykem, temu i pojąć trudno.

— Ale przecie?

— No, wydaje mu się czasami, że jest kimś innym niż jest. Że jest jakimś na ten przykład wielkoludem czy czymś takim. A zresztą może czasem znowu czymś innym, bo teraz też nie wiadomo, co z nim, kiedy go tak ani gdzie spotkać. Ale... com to wam chciał rzec, panie burmistrzu... Inaczej się nam tu trochę wszystko obróciło, niżesmy chcieli i sobie umyślili. Ten gad, Serwacy, potrafił naprzód zepchnąć uwagę w sprawie fałszerstwa i całe podejrzenie na Damiana a potem całą odpowiedzialność i całą złość Rady na was. A wtedy wyskoczyła już łatwo sprawa otrucia — skończył ciszej zerkając prędko na burmistrza.

Szymon nie poruszył się. Nie poruszył się a przecie Piotr miał wrażenie, jakby zapadł się w sobie jeszcze bardziej.

Trudno — pomyślał Piotr — raz trzeba o tym z nim zacząć.

— Ja zresztą — ciągnął już głośno — także przecie chciałem do tego doprowadzić ale inszą drogą, stopniowo wyciągając łotrostwa Serwacego. O n doprowadził swoim bezczelnym łgarstwem, którego nikt z nas nie potrafiłby był nawet przypuścić. Ale doprowadził, bo Rada ino czekała na taką sposobność. I Adrian, i Bernard, i wszyscy, którymescie na zawadzie. A całe nieszczęście, że i wy — wyrwało mu się z nieopanowanym już rozdrażnieniem — wtedy, jak trzeba było mocną garścią całą burzę opanować, toście tkwili ino tam na waszym burmistrzowskim siedzisku i milczeli! Słowaście nie rzekli, pozwoliliście się rządzić Adrianowi!

Burmistrz siedział bez ruchu. Dopiero po chwili nie podnosząc głowy wysapał cicho i apatycznie:

— Zamknęli mi gębę tym sfalszowanym zapisem Damianowym. O obywatelstwie ojca. O tym nic nie rzekliście mi. Nie wiedzieliście? Do t e g o on się wam nie przyznał?

— Przyznał.

Burmistrz podniósł głowę.

— Wiedzieliście? To czemu...?

— Wiedziałem. Ten zapis także sfalszował Serwacy, żeby trzymać nim za gardło

Damiana. Skusili go do milczącej zgody nadziejami honorów.

Burmistrz jakby chcąc się dźwignąć wsparł się mocniej dłońmi o poręczę.

— A więc przystał na fałszerstwo? — wysapał żywiej. — Zgodził się na nie? To był współwinny. Także fałszerz.

— No właśnie — westchnął Piotr. — Dziwicie się, żem wam o tym przedtem nie powiedział. Nie powiedziałem, bom wiedział, że jak powiem, to będzie to, co teraz było: że się oburzycie i od razu będziecie przeciw niemu. A trzeba było, żebyście stanęli za nim. Bo dopiero biorąc w obronę Damiana można było uderzyć na Serwacego, a na Serwacego uderzyć się m u s i a ł o nie tylko dla położenia kresu łotróstwu i dla sprawiedliwości ale i — darujcie — dla obrony waszej własnej głowy. To sprawy ważniejsze niż sfalszowanie głupiego zapisu.

— Mojej głowy — mruknął burmistrz ujmując głowę oburącz — mojej głowy...?!

Nie było to pytanie. Raczej jakieś niepomierne, nie dowierzające zdumienie. Piotr uczył ścisnięcie w gardle. Tamten ruszył wargami, ale Piotr choć wyęczał słuch, z trudnością ledwo pochwycił w tym szeptcie:

— Więc oni m n i e... chcą o to...? M n i e chcą...? — a potem już głośnie — żem im na zawadzie? — Podniósł głowę i patrząc w twarz Piotrowi mówił dziwacznym ochrypłym półgłosem: — W czym ja im tak na zawadzie? Od kiedy?

— Musicie to zrozumieć — krzyknął Piotr przemagając tym krzykiem skurcz w gardle — że radzi by się was pozbyć!

— I czemu to? Za co? — sapał Szymon wytrzeszczając oczy rozdziawione w jakimś dziecinnyim zdumieniu.

Piotr rozłożył ręce.

— Zanadto zaczęliście zaglądać koniom Pawła i Adriana w pyski, jak chrupały miejski owies. A Bernardowi i inszym na paluchy, jak przymierzali futra od Melchiora, no i jeszcze teraz — a to już i za moim przyczynieniem się — w zapis Łukaszowy. I to może najbardziej.

— Myślicie — sapnął niespodziewanie twardo burmistrz dźwigając się ciężko i mocno z krzesła — że najbardziej w tym Melchior, co? Melchior, juści...

— A no coś to tak wygląda — mruknął Piotr głowiąc się równocześnie, jak zadać to pytanie, to jedno, na którego postawienie burmistrzowi dotąd nie mógł się zdobyć. Pytanie, czego po tej Modecie, tym nieokrzesanym drażgu, można się spodziewać na sądzie przeciw Serwacemu? Że co powie? Bo jakby tak i ona gadała to, co Serwacy chciał wymóc pono na Damianie? Zimno się mu na tę możliwość robiło. Tłumaczył sobie, że przecie trudno to przypuścić! Dziewka zawdzięczała tyle burmistrzowi, może miała i nadzieję zostania burmistrzyczą... Tak, ale skoro teraz burmistrz się od niej odwrócił — czy się rzeczywiście odwrócił? — może się chceć mścić. Albo gdyby naprawdę należała do tej szajki?

Zdecydował się.

— Jeszcze... jeszcze jedno świadectwo może tu być bardzo ważne dla nas. Co też tego... co powie na sądzie — oczywiście jakby ją Serwacy z Melchiorem do świadczenia przy... tego... przyniewolili... co powie owa Modesta?

Burmistrz nie odpowiedział. Ciężko, powoli, jakby bezwładnie osunął się na krzesło. Bezkostnie jakoś obwisł, na jednej poręczy.

— Darujcie, że tego... że was pytam — tłumaczył się Piotr prędko i z zakłopotaniem — ale przecie z tym się nam liczyć trza... przewidzieć możliwości i co by odpowiedzieć?

Szymon siedział zapadnięty w sobie, nieruchawy. Jakby z niego krew uszła — sformułowano się Piotrowi. Czekał z rosnącym zakłopotaniem i przykrością.

Nareszcie Szymon poruszył wargami. Ale był to znowu taki szept, że Piotr pochylił się ku niemu i natężył, ile mógł, słuch. Wtedy dopiero usłyszał:

— Nie wiem. Będzie, co ma być.

— Ależ tak nie można! — zaprotestował żywo Piotr. — Trzeba samemu jakoś wpłynąć

na to, co ma być! Na swoją dołą!

— Będzie, co ma być — powtórzył prawie bezgłośnie Szymon. — Ja już nie...

Więcej z niego Piotr nie wydobył. Odszedł głęboko zaniepokojony i zatroskany. Do niepokojów było powodów dość. W mieście, gdzie niedawno tylko szemrało, teraz burzyło się już i wrzało jak w gotującym się garnku. Wbrew zwyczajnemu tu biegowi życia spotykało się teraz o każdej bodaj porze większe i mniejsze gromadki ludzi czasem skupiających głowy i szepcących, częściej — coraz częściej — rozprawiających głośno i zaciekle. Gdziekolwiek się pokazał, czuł na sobie Piotr z daleka sięgające, wypatrujące spojrzenia. Te spojrzenia...?

Z początku Piotr był skłonny widzieć w nich milczącą życzliwość i zachętę, nawet wdzięczność, tylko jakby skrepowaną onieśmieleniem. Czuł nawet pewne zażenowanie z tego powodu. Ale minęło mu to prędko ustępując miejsca naprzód zdumionemu niedowierzaniu a potem coraz wyraźniejszemu zgnębieniu a nawet czasem ciemnemu lękowi. Bo nie można się było już ludzić: w tych spojrzeniach była nieufność a bodaj, i to coraz częściej, wyraźna, najwyraźniejsza podejrzliwość i niechęć. I to już nie tylko na wspomnienie burmistrza. Teraz wyglądało to tak, jakby ta niechęć odnosiła się wprost i do osoby Piotra. Spotkany raz Hieronim — utykający, ale dzięki Piotrowi utykający na własnej, nie odciętej nodze — rzucił się na jego widok do ucieczki z takim przerażeniem w oczach, że Piotr, z posmakiem goryczy w ustach poniechał zamiaru zapytania go o stan nogi. Impetycznemu Nikodemowi wyrwało się raz wprost w rozmowie o zdarzeniach w mieście, że co tu kluczyć i gmatwać, wszyscy w mieście wiedzą przecie dobrze, kto otruł burmistrzycę! Kiedy Piotr odpowiedział, że nie wie czy wszyscy ale, że on, Piotr, wie dobrze, że Serwacy, Nikodem skrzywił się, splunął bez respektu i mruknął, że gdyby się to stało nawet rękami jakiegoś tam Serwacego, to rzeczy by nie zmieniło; ważne to, kto się o otrucie postarał.

Monika chodziła z zapuchłymi i zaczerwienionymi od płaczu oczyma. Po gwałtownym wybuchu desperackiego gniewu, z jakim wpadła na Piotra dowiedziawszy się, że wdał się w sprawę burmistrza i Damiana, i że oskarża o otrucie Serwacego a zatem i stojącego chyba za nim Melchiora, płakała i rozpaczała po kątach, do Piotra się już niemal nie odzywając. Ta ciężka atmosfera w domu łącznie z tym, z czym spotykał się na mieście, przygłębiała Piotra coraz mocniej. Te zaś wiadomości z miasta zaczęły brzmieć już wprost groźnie.

Oto w kilka dni po ostatniej rozmowie z burmistrzem jak piorun uderzyła w Piotra wiadomość, że Rada w nieobecności burmistrza postanowiła, że musi on zaprzestać „na razie” urzędowania, aż do wyjaśnienia sprawy oskarżeń przeciw niemu. Zakaz dalszego urzędowania nie zmieniał prawie w niczym istniejącego stanu rzeczy, bo burmistrz niemal nie pokazywał się już w ratuszu, ale groźny był ów dodatek o „wyjaśnieniu sprawy” a jeszcze groźniejszy drugi zakaz ruszania się z miasta. Było to już wyraźnym choć jeszcze nie formalnym przeciwoskarżeniem burmistrza. Ale potem usłyszał Piotr coś bodaj jeszcze groźniejszego. Oto zafrasowany i wystraszony Jan przyniósł wiadomość, że Serwacy, którego bezpośrednio po oskarżeniu przez Piotra wsadzono do wieży, został za poręką ławnika Melchiora wypuszczony na wolność. Wyszło przy tym na jaw, że i w wieży przesiedział tylko dwie, trzy doby, potem zaś przeniesiono go do łżejszego o wiele zamknięcia „pod dzwonem” przeznaczonego dla mieszczan.

Toteż gdy na drugi dzień potem ku Piotrowi, wracającemu już późnym wieczorem od chorego do domu, z nagłą wysunął się z cienia kamiennej szkarpy skulony cień, Piotr odruchowo pochwycił rękojeść mieczyka noszonego pod płaszczem od kilku dni. Ale w świetle uniesionej wysoko latarki zamajaczyła nie gęba zbira ale wystraszona i niepewna twarz Damiana. Piotr ucieszył się w pierwszej chwili ze spotkania, którego od dawna szukał bezskutecznie, ale uciechę tę podciął zaraz strach, co się znowu stało nowego? Z bełkotu Damiana wyrozumiał tyle, że Monika nie wpuściła go do domu, korzystając więc z ciemności czatował na Piotra na ulicy. O tym, że tak rzeczywiście było, zaświadczyło i to, że teraz na widok bakalarza wsuwającego się trwożliwie za Piotrem, machnęła rękami z desperacką złością i z

płaczem niemal uciekła.

Uspokajany przez Piotra Damian rzucając wokół spojrzenia tropionego zwierza bełkotał, żeby zamknąć na zasuwę drzwi, bo on tylko z Piotrem... tylko Piotrowi... Grzebał w wydobytych spod płaszcza dość sporym worze i szarpał się tam z czymś, co z trudem usiłował wyciągnąć. Nareszcie brzeg tego przedmiotu wyjrzał z otworu wory — i Piotr w oka mgnieniu zrozumiał: to była księga Urbana, ta „czarodziejska” księga!

Damian bełkotał chaotycznie i gorączkowo. Że — ucieka. Ucieka, musi uciekać! Ratować głowę. Już sam u siebie, w swojej izbie, jest jak w więzieniu. Adrian go więzi. Bramy zamknęli obie dodatkowymi zamkami. Jak chciał iść po chleb czy co tam, prosić się musiał, żeby otwarli, a i to nieraz na darmo. A jak otwarli, to zawsze go ktoś szpiegował, tak że bał się Piotra szukać. I zresztą... nie może wymiarkować, jak go mistrz Piotr chce bronić... Dziwacznie to jakoś robił wtedy, na Radzie... Że już o jednym tylko myśli: żeby uciekać.

— Ale jak? Teraz, nocą, kiedy bramy zamknięte?

— Nie przez bramy! Inaczej. Przez mur — jak wtedy Pankraca wyprawili. Tylko przedtem tę księgę, tę przeklętą! Właśnie mu do głowy przyszło, że ją przecie spalić, koniecznie spalić trza. Zbiegł po drwa i wtedy ujrzał, że brama podwórcowa przypadkiem jakimś nie zamknięta a czeladzi też nigdzie. Więc co tchu zawrócił — na palenie nie było czasu — porwał co najkonieczniejsze i tę księgę, żeby nie wpadła im w łapy! Nikt go chyba nie widział, nikt tu za nim nie chodził. Więc księgę tu przyniósł — spalić ją, zaraz spalić! A on ucieka!

Nowy pomysł obłąkańca! — myślał Piotr. — Przez mury chce jakimś sposobem... Zatrzymać go? — biedził się. — Odradzać? Miał przecie świadczyć, że go zmuszali do fałszywych zeznań? Ale oni będą się przecie bronić, że to fałszerz... I nie jego zeznania najważniejsze tylko Jewki. Może i lepiej byłoby, gdyby obłąkaniec zniknął, bo jeszcze narobi jakiegoś bigosu. Tylko gdzież on się przedostanie za mury teraz? Majaczenia! Ale że ta księga będzie u niego, u Piotra, to może i lepiej... Swoją drogą musi zaglądnąć do niej, same-mu przeczytać te bzdurzenia.

Zapewnił Damiana, że księgę spali. A co do ucieczki — on, Piotr, zrobi z pewnością wszystko, żeby go bronić, jak tylko się da. Ale jeśli Damian uważa, że tak będzie lepiej, to cóż? Niech próbuje.

Patrzył jak tamten z rozszerzonymi gorączkowo oczyma chował worek pod płaszc, jak się wykradał po schodach i przez bramę. Z mieszaniną litości i nawet jakiegoś cieplejszego uczucia myślał czy też spotka się jeszcze kiedy z tą dziwną figurą?

Monika spała już. Spała jak splakane dziecko. Piotr położył się, ale nie mógł zasnąć. Myślał o zbliżającym się sądzie nad Serwacym, o swym oskarżeniu, o zachowaniu się świadków, o burmistrzu, o desperującej Monice. A przy tym ciągle wracała jego myśl do Damiana: co teraz robi, czy rzeczywiście próbuje przedostać się przez mury? Bo mówił o tym, jakby miał jakieś swoje sposoby: coś że tak jak ów Pankrac...? Czy i to majaczenia obłąkańca?

W pewnej chwili zwrócił jego uwagę powtarzający się szmer w oknie. Zerwał się i podszedł tam. Tak, coś osypywało się po oknie od czasu do czasu. Piasek, grudki ziemi. Nagle zrozumiał.

— To wy...? — spytał półszepem wychylając się z okna.

— Otwórzcie...! — odpowiedział ochryply, błagalny szepet Damiana. Piotr zbiegł na dół i otworzył bramę. Damian wcisnął się, zapierał bramę, zasuwał wszystkie zawory, próbował, jeszcze dociskał.

— Nie chciał — dyszał — gadał, że sam powinien do wieży iść. Żem fałszerz...? Że knuję przeciw Melchiorowi a jemu o to, by poniżyć mieszkające na wysokości...! A jakim Pankraca wspominał, to się żegnał.

— Ale kto?

— No, Nikodem!

— Do Nikodema szliście z tym? Czemu do niego?

— Bo on tak wtedy, po tym tumulcie w mieście, przeprowił przez mury Melchiora.
— Melchiora...?!
— No. Wtedy jak był jeszcze moim Pankracem.
Piotrowi opadły ręce. Znowu zaczyna się obłąkanie!
Ledwo o świcie zdołał skłonić Damiana, by jednak wrócił do siebie. Monika na szczęście jeszcze spała.
Ale ten dzień przyniósł jeszcze jedno spotkanie.
Oto na rynku przy kramach rybnych spostrzegł Piotr nareszcie Jewkę. Zdawało się, że była sama. Podszedł do niej co prędzej. Odchodziła już od kramu a na jego widok, miał wrażenie, pierwszym jej odruchem była chęć ucieczki. Ale opanowała się i jednocześnie przebiegła wokół szybkim, uważnym spojrzeniem spod powiek.
— Dzień dobry Jewko — powiedział — jutro masz świadczyć.
Szła ze spuszczonej oczyma. Milczała.
— Masz świadczyć jutro — powtórzył z niepokojem. — Pamiętasz, coś mi mówiła?
Dopiero po chwili, powiedziała spokojnie, ciągle nie patrząc — spokojnie ale i twardo:
— Każdy chce żyć. — A po chwili dodała. — Ja też.
— Jak to? — spytał zaniepokojony nie na żarty jej zachowaniem się i słowami. — Co to znaczy?
Nie patrząc mówiła.
— Co ja winna, że to już tak jest na tym świecie? Sprawiedliwie to będzie chyba dopiero na tamtym. Po śmierci.
Zwróciła się nagle w bok i nie spojrzawszy na niego, prędko odeszła.
Teraz zobaczył, że od rogu ulicy oglądała się za nią chmurno i podejrzliwie Agata. O kilka kroków obok stał Adrian.

XXVII

Damian dygotał jak w febrze. Wszystkimi zmysłami chłonał każde słowo, każdy gest i minę Piotra, w skupieniu i zdecydowanie formułującego swoje oskarżenie Serwacego. Od czasu do czasu odrywał się na mgnienie od Piotra i rzucał struchlałe i zachłanne spojrzenie na sławetną Ławę. Co oni... co oni na to...? Wszyscy ale przede wszystkim — o n...?

Pod nagie, kamienne, ostrołukie sklepienie izby wciskała się przez kolorowe szybki wąskiego okna wiązka promieni słonecznych i kładła pomarańczowymi, żółtymi i niebieskimi plamami na stole i postaciach ławników i na malowidle ściennym nad ich głowami, na którym zastygły w hieratycznym wyciągnięciu prawicy mądry król Salomon niezmiennie rozsądzał spór o dziecko między dwiema żydowskimi niewiastami.

Ławnicy w czarnych tabardach siedzieli sztywnym rzędem za stołem. Tylko siedzący w środku wójt ławniczy wyrывał się z ich szeregu jaskrawą plamą czerwonego tabarda. Ale nie do niego naprzód spieszyły spojrzenia Damiana. Przede wszystkim bieżyły do zwalistej figury po lewicy wójta, do ciężkiej masy łba nakrytego fantastycznym kapeluchem, opadającą grzywą włosów, i czarną opaską na oku, a od dołu zasłanianego sobolowym kołnierzem szuby. Na jednej z dwu ogromnych łap, na których wsparta wisiała ta ciężka masa nad sędziowskim stołem, chwiała się niepewnie fioletowa plama świetlna od okna zapalając się setkami iskrzeń na kamieniach pierścieni. Twarzy Melchiora nie było zupełnie widać. Wymiarkować nie było można nic.

Zresztą w tej chwili skoczyło serce w Damianie jeszcze mocniej. Usłyszał swoje imię i rzucił się spojrzeniem znów ku Piotrowi. Piotr opowiadał właśnie jak to pewnego wieczora

zjawił się u niego on, Damian, wzburzony, niemal nieprzytomny z przerażenia i rozpaczony i opowiedział o rozmowie z Serwacym, o pogroźkach i próbach wymuszenia na nim zgody na zeznania mające winą trucicielstwa obciążyć burmistrza.

Ława zakolebała się niespokojnie. Tylko zwałista figura Melchiora zwiślała dalej nieporuszenie nad stołem. Gabriel, wójt ławniczy, marszcząc i zadzierając mięsisty nos wciśnięty głęboko między małe przebiegłe oczka pytał, powtarzając to ciągle, czy był jakiś świadek tej rozmowy? Gdy Piotr odpowiedział, że nie było, ale że mistrz Damian gotów jest zaprzysiąc prawdziwość tych zeznań, padło gdzieś z Ławy zapytanie, gdzie to Serwacy nagabywał tak bakalarza? Co będzie, myślał ze strachem Damian, jak Piotr powie, że to u Melchiora?

Ale Piotr nie odpowiedział nic. Mówił dalej tak, jakby pytania nie słyszał i Damian odetchnąwszy z przestrachu pomyślał, że jednak widocznie i Piotr nie chce od razu zadzierać jeszcze i z Melchiorem i odczuł wdzięczność i nowe uznanie dla rozumu i ostrożności medyka. Kiedy zerknął ku Melchiorowi, zdawało mu się, jakby splecione na policzkach i czole niekształtne paluchy ławnika ściśnięte były mniej szczelnie i jak gdyby tworzyły teraz wąską szczelinę.

Piotr przytaczał jeszcze to, co słyszał od Jewki i, wśród niespokojnego poruszenia Ławy, wyciągnął wniosek: burmistrzyczę otruła Serwacy zbałamuciwszy ją zapewnieniem, że dostarcza jej środka na schudnięcie.

Wójt ławniczy krztusząc się, odkaszlując i sapiąc wezwał Serwacego, wśród ciągłych niespokojnych łypnięć na nieruchomego sąsiada z lewej strony, do powiedzenia, co ma na swoją obronę.

Serwacy wyskoczył przed stół sędziowski niby figurka w jarmarcznej budzie z kukiełkami. Przerzucając się od szlochów i beków do wrzasku i wykrzywiań się Piotrowi i Damianowi wrzeszczał, że to wszystko kłamstwo, co ten mistrz Piotr tu nagadali! Wszystko, wszystko, wszystko! On nigdy przenigdy z bakalarzem o niczym takim nie gadał, nigdy mu nic takiego nie nakazał ani nie groził! Jakżeby on śmiał! Po dziesięć razy może to zaprzysiąc, po sto razy! Może mu się co śniło takiego, temu mistrzowi Damianowi albo może mu co takiego powiedział ten jego jakiś tam... ten, co się u niego nie wiadomo skąd zjawiał... Ale jemu, Serwacemu, okrutny strach o tym mówić, okrutny...!

W tym miejscu porwał się aż ze swego miejsca wójt ławniczy.

— Masz gadać wszystko! — krzyknął w srogim gniewie — a nie, to małodobry to z ciebie wyciśnie!

— O dla Boga — wrzeszczał Serwacy rzucając się na kolana — to już powiem, już wszystko powiem: ten jego jakiś Sumień czy jak mu tam!

— Co za Sumień? Kto to taki? — posypały się pytania.

— Kiedy mi taki strach, taki strach! — zawodził Serwacy.

Ława zniecierpliwiła się.

— Masz gadać, chłystku!

— O sprawiedliwość tu idzie!

— I o twój głupi łeb też!

— Kogo ci strach, głupcze?

— Mi... mistrza Da... Damiana i jeszcze... jeszcze kogoś — szczękał zębami Serwacy.

— Jak powiesz prawdę, nic ci nie będzie!

— Bo to tak było, proszę ich miłości panów ławników, że jakem jeszcze u mistrza Damiana w strychowej komórce sypiał, tom nieraz słyszał, że mistrz Damian z kimś rozmawia a jakem z komórki wyjrzał, to nikogo nie było!

Damian patrzył i słuchał osłupiały. Co on... co on łże ten gad...?

— I mistrz Damian — jęczał Serwacy — był wtedy na mnie bardzo zły i gadał, że mi się tylko tak cosik zwidziało a raz to mi nawet kijem groził, jakbym o tym komu co pisał. Ale raz się samemu mistrzowi Damianowi wyrwało, że mu ten Sumień coś nakazał.

— Mówiłem, że sumienie!! — ryknął Damian nie panując nad sobą. — Że sumienie, łotrze ty, a nie żaden Sumień!

— Aha! — pochwycił wójt ławniczy — więc mówiliście jednak, Damianie:

— Mówił a teraz się wykręca! — poparto go z ławy.

— I jak wyglądał, jak wyglądał ten jakiś Sumień? — dopytywano się gorączkowo.

Dokładnie to on nie wie — bełkotał Serwacy — ale jakiś taki czarny i jakby z pazurami i dziobem.

— Przecież mówił, żeś go nigdy nie widział — wpadł mu znieca Piotr — więc skądże wiesz, jak wyglądał?

— Bo to właściwie... nie, nigdy... bo raz... raz mu się zwidział ktoś taki, ino że zaraz zniknął. Zniknął jak... jak dym.

— Jak dym! — podawali sobie i upewniali się. — I czarny? I z pazurami i dziobem?

— Nieczyste sprawy! — zadudniło głucho.

Od razu umilkło. Wszystkie głowy wychyliły się ku ścianie. I Damian zmartwiał.

Z wysoka chwiała się tam nad izbą ciężka masa łba zakrywanego fantastycznym kape-luchem, opadającą grzywą włosów i czarną opaską na oku a od dołu zasłaniana sobolowym kołnierzem szuby. Na ogromnej łapie gniotącej jeszcze ławę błyskały w smudze od okna setkami iskier kamienie pierścieni. Melchior! I nagle, na mgnienie zobaczył Damian jego twarz na wprost. Pierwszy raz. Tę jedną nie zasłoniętą opaską połowę twarzy. Zobaczył i serce stanęło mu na chwilę, aby potem cisnąć się jak szalone: Pankrac — Pankrac — Pankrac!!

Oprzytomniał na pisk Serwacego, że on sam se to już myślał — w imię Ojca i Syna! — o czarach, ale się tak okrutnie bał mistrza Damiana, że milczał! A największy strach go wzięł, kiedy posłyszał od ludzi o tym jakimś parobku, co był przez jakiś czas u mistrza Damiana a potem nie wiadomo gdzie zniknął.

Wśród Ławy zaszemrało niespokojnie.

— ...że niesamowity jakiś był, gadali wszyscy. Wszyscy, nawet sam pan rajca Adrian! A i to musi powiedzieć, że jak jeszcze był u mistrza Damiana, to widział raz u niego taką księgę łacińską jedną, wielką, czarną i swąd od niej taki szedł jak od siarki. On, Serwacy, wtedy głupi był jeszcze to i odważny a po łacińsku się właśnie nauczył... to znaczy przypomniał sobie, bo umieć to już ho-ho, od kiedy umiał! — więc czytać z niej chciał spróbować. Naprzód długo nie mógł wymiarkować, o co w niej rzecz, ale jak nareszcie wymiarkował...!

Tu Serwacy grzmotnął kolanami na ziemię i wałąc się pięścią w piersi aż dudniło, jął jękliwie wzywać zmiłowania boskiego i przebaczenia.

Wrzasnęli na niego jednogłośnie z Ławy, żeby gadał dalej! Prędzej! Całą prawdę!

— Tam było — zanosił się Serwacy — o czarach! Takich że trudno pomyśleć! O kukłach lepionych z gliny i ożywianych jakimś diabelskim sposobem tak, że były całkiem jak ludzie, choć oczywista nie miały tej duszy, którą Pan Bóg z nieba daje, tylko ją tak chytrze udawały. I wtedy se pomyślał, że tamten Pankrac to może była taka diabelska kukła.

Zahuczało w Ławie. Zrywali się z miejsc, wrzeszczeli, wytrząsali rękami, wytykali paluchami ku miastu, ku tym ulicom, gdzie go widzieli, tego Pankraca, przypominali rozboje pod miastem i pokazywali miejsce na piersiach, gdzie pobici tam ludzie stale miewali rany. Ławnik Melchior walił raz po raz olbrzymią pięścią w stół i dudniąc bełkotał coś, co coraz wyraźniej przedzierało się przez wrzawę, zwielokrotniało w niej, pęczniało nią i jak kamienie waliło się ku Damianowi:

— Czary! Piekielne sposoby! Nieczyste siły!

W panicznym przerażeniu przyciskał się Damian do ściany, wgniatał w nią plecami. Szczekał głośno zębami, dygotał, dławił się śliną. Zaraz... zaraz doskoczą do niego... porwą go... powleką na męki na stracenie!

Usłyszał głos Piotra. Piotr wołał coś uparcie, wytrwale, coraz mocniej. Już to wołanie

zaczęło przebijać się przez wrzawę, dobywać ponad nią, tłumić ją. Stół przestał dudnić pod uderzeniami pięści.

...o otrucie sprawa przed waszym sądem, panowie ławnicy, o otrucie, panie wójcie, nie o żadne łgane czary! Wasza to, panie wójcie rzecz, byście czuwali nad biegiem sprawy wedle prawa, wasza, panowie ławnicy!

— Sprawa o czary ważniejsza! — wrzasnął ktoś z ławy.

— Ale o jakie czary? — odrzucił z miejsca Piotr. — Skąd się miały wziąć jakie czary? Z tego, że ten bezwstydnym, bezczelnym krętacz i zbrodzień — zrobił jakiegoś diabła Sumienia, ze słów o sumieniu, o sumieniu, które ludzie noszą w sercu — ludzie a nie takie gady, jak on sam! Panowie ławnicy, przecieście ludzie mądrzy, przecie sami miarkujecie, że to dzieci co roztropniejsze śmiałyby się z takich bajeczek.

Przerwał mu dudniący głos ławnika Melchiora:

— To niby że my głupimi dziećmi? Śmie nas hańbić ten medyk...!

— I że z takim sumieniem we własnym sercu bakałarz tak głośno gadał, hę? — wydarł się inny rozwścieczony głos.

— A ta księga czarnoksięska, to co?

— Przecież każdy, kto ma szczyptę zdrowego rozsądku — usiłował perswadować Piotr — każdy wie, że zgoła niemożliwe to, by kukły lepiące z gliny ożywiać!

— Oho-ho! Jakich to czarów nie ma na świecie!

— W Piśmie Świętym piszą o czarownikach i czarach!

— Jaki mi mądrala, patrzcie się ino, w czary nie wierzy!

— Łga, że nie wierzy, kto sam w tym macza paluchy!

Tu głos Piotra zdołał się znowu wydobyć nad wrzawę.

— A to wam nie dziwne, panowie ławnicy, że o tych wszystkich czarach Serwacy przypomniał sobie raptem teraz? Czemu przedtem nigdy?

— Bom się bał, okrutniem się bał! — zawodził Serwacy. — Bogiem się świadczę, zem się bał!

— A jakim to prawem — wołał Piotr — oskarżonego o skrytobójczy mord wypuszczono z więzienia?

— A czemu — zadudnił w odpowiedzi Melchior — czemu to bakałarz, jak taki niewinny, chciał po nocy uciekać przez mury, he?

Zawrzało znowu.

— Uciekać? Przez mury?

— Po nocy?

— Skąd wiecie?

— Doniósł poczciwy obywatel, krawiec Nikodem, od którego pomocy żądał czarownik przeklęty! Szczekaj ty — Melchior wytykał lśniący skrzeniami kamieni kikut palucha — nie byłeś u Nikodema w nocy? Nie chciałeś, żeby cię przez mury, hę?

— Ja... ja — bełkotał Damian nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego i wyschłego gardła ani opanować głośnego szczekania zębami. — Ja...

— Taki on i niewinny! Patrzcie się ino na niego, na tego niewinnego!

Piotr wołał usiłując ich przekrzyczeć:

— Nie dziwota, że taki! Nie dziwota! Wy byście byli inni, jakby na was ktoś z takim oskarżeniem wyszedł? A ja was, panowie Ława, raz jeszcze wzywam i zaklinam: to sprawa o otrucie! Nie deptajcie swoich własnych sądowych porządków! Spytajcie uczonego męża, padewskiego doktora praw, ławnika Mikosza! Niech on powie czy godzi się tak przeinaczać zwyczajny porządek sądowy? Przeskakiwać z niego na inną sprawę, wyznaczonej nie załatwiwszy?

Spojrzeni ku ławnikowi Mikoszowi. Siedział po prawicy wójta, odęty i naburmuszony, z wspartym na ręce podwójnym podbródkiem. Wójt pociągnął go za rękaw.

— Co nic nie gadacie, Mikosz?
— Abo się mnie kto pytał? — odburknął obrażonym głosem.
— To... to się was teraz pytamy — łagodził z niewyraźną miną wójt. — Powiadajcież.
— Powiadam, że sprawa była o otrucie. I o to ma być wprzód dokończona. A oskarżony ma być na cielesne spytki wzięty, czy zbrodnię przyznaje.
— A bakałarz to nie? — wrzasnął ktoś.
— Jak będzie sprawa o czary, to wtedy i bakałarz. Teraz jest o otrucie.
Wójt podrapał się po głowie. W tej chwili odezwało się ciężkie dudnienie głosu ławnika Melchiora. Mówił, że on przestrzega. I ostrzega. Uczeni doktorowie z uniwersytecji paryskiej...
— Uniwersytetu — poprawił kwaśno Mikosz.
Właśnie mówi: z uniwersytetu paryskiego ostrzegali, że w sprawach o czary na spytki cielesne brać nie należy.
— W sprawach o czary, nie...? — scudowała się wielce cała Ława.
— Nigdy ja o takim decretum paryskich doktorów nie słyszał — skrzywił się Mikosz.
— Nie przerywajcie! — zakrzyczeli go. — No, no? — zwracali się do Melchiora. — A czemu to?
— Bo to tak: można czarami sprawić, że indagowani zgoła mąk nie czują i złoczyństwa swojego nie wyznają. I wtedy mają pozór, że niewinni i sprawiedliwemu pokaraniu mogą ujsć. To lepiej bez tortur skazywać. Na podstawie inszych dowodów.
— Ale to nie jest sprawa o czary,, ino o otrucie! — krzywił się prawie jak do płaczu Mikosz.

Melchior rznął pięścią w stół.

— A ja gadam, że o czary! Wszystko o czary! Wszystko jedna sprawa! Ci, co czary robili, uknuli te oskarżenia na Serwacego! Żeby się za nimi schować! — Stół zadudnił pod nowym uderzeniem. — Kto podsunął burmistrzowi dziwkę? Bakałarz! A po co? Żeby z nim robić, co mu będzie na zachcenie! I robili! Zawadzała burmistrzycha, to struli! Tak struli, że ani poznać. Dobrze medykamenty znał ten, co to zrobił, he. Te księgę bakałarżową trza przede wszystkim dostać, to się z niej pokaże, jakie robili czary!

— Księgę, księgę! — przytaknęli zgodnym chórem.

— A wiecie wy, gdzie on te księgę ukrył? Nie wiecie, to ja wam powiem: U medyka ją ukrył! — ryknął raptem wyciągając pięść ku Piotrowi. — U medyka! U tego heretyka! Truciela! Czarownika! Zwąchali się wszyscy: i on, i bakałarz, i burmistrz! Wadzili im zacni i poczcwi obywatele, to ich skarżą o fałszerstwa, o zbrodnie! Oni sami fałszerze! Sami zbóje! Sami mordercy!

Zadrzała od wrzasku kamienna ostrołukowa sala. Wpadająca przez barwne szybki wiązka promieni słonecznych, która dawno już przesunęła się w górę ponad stół ławników, wahała się teraz jedną ze swych fioletowych plam na obliczu mądrego króla Salomona. Inna, zielona, rozmazywała się na jego hieratycznie wyciągniętej, niezmiennie wymierzającej sprawiedliwość prawicy.

XXVIII

Jak trudno uwierzyć we własną śmierć — myślał Piotr — jakże trudno! Człowiek żył, kładł się spać, wstawał, coś robił, o coś się ubiegał, za czymś się krzątał, miał jakieś zamiary i nagle, tak prawie z dnia na dzień, dowiaduje się, że temu wszystkiemu — koniec?

Przez zakratowane okienko widać było kwietniowy błękit nieba z różowiejącym już

nadwieczornym obłokiem. O szybki obfłukiwała się z gniewnym bzczeniem wielka świecąca mucha.

Burmistrz spał na tapczanie. Leżał na boku z głową na wyciągniętym sztywnie ramieniu, tak w tej chwili nieruchomy, że przypominał kamienne figury na kościelnych sarkofagach. Piotra uderzył wyraz jego twarzy. Znał ją niby tak dobrze, znał tę urzędową maskę władzy miejskiej i dostojności przywdziewaną codziennie razem ze złotym łańcuchem — i tę drugą ukrywaną pod tamtą twarz astmatycznego, zawsze trochę niepewnego siebie człowieka, porządnego i dobrego gospodarza kłopotącego się codziennymi troskami miejskimi, solidnego członka społeczności miejskiej. Ale teraz było w niej coś, czego dotąd nigdy w niej nie zauważył: nie maska mieszczańskiej powagi i dostojności, ale jakieś prawdziwe, chmurne, niemal groźne dostojństwo. Dostojństwo kogoś, kto odepchnął już wszelkie maski, kto w wyniosłej pogardzie dla zdradzieckiej, podstępnej własnej krzywdy odepchnął nogą ziemię.

Jakież dziwne te dwie twarze — myślał Piotr — przenosząc spojrzenie na śpiącego obok Damiana — i jak osobliwie różne!

Damian leżał na wznak z otwartymi ustami. Chrapał przeraźliwie, świszcząc i nieregularnie. Nie, ten nie przypominał figur z sarkofagów. Hakowatym nosem czając zwisającymi nad czarną jamą ust i szczerbatymi zębami przypominał raczej diabła z drzeworytów jarmarcznych, ksiązek i bajek, diabła oszukanego przez chytrego chłopka.

Biedny, oszukany diabeł — kiwał głową Piotr z mimowolnym żalonym uśmiechem — ale jakże okrutnie oszukany!

Jakże trudno zrozumieć, jak trudno zrozumieć to wszystko! Jak zrozumieć, że dojrzały ludzie — i to ci pono rozsądniejsi, ci wybierani! — mogą wierzyć w dziecinne kłamstwa na temat owego złego ducha, który się nazywał Sumień — a n i e wierzyć zapewnieniom Damiana, że mówił po prostu o s w o i m sumieniu? Co tu jednak mówić o tych z Ławy! Ci, jak i większość Rady wierzyli już w to, w co wierzyć było bezpieczniej i korzystniej ze względu na pieść i nabity worek Melchiora. Ale całe miasto, pospólstwo, cechy? Czy nie krzyczeli głośno na rynku o sprawiedliwy sąd na czarowników, co uknuli spisek na miasto? Oni przecie ciągle jeszcze wierzą, że ich obrońcą przed Radą jest Melchior! Może to właśnie nieprawdopodobna czelność kłamstwa sprawia, że w nie wierzą? Serwacy musiał chyba raz jeszcze przekonać Agatę o swej wierności i miłości, skoro przymusiła Jewkę, by się przed Ławą wyparła wszystkiego, co przedtem mówiła sama i co o niej do Piotra mówiła Agata. A Agata d a ł a się przekonać... Nie ma granic, nie ma granic ludzkie szaleństwo... Damian powiada oczywiście: czary, wszystko czary...

A może to Adrian tak sprawą pokierował? Chytry, arcychytry zazdrośnik Adrian, ślepy jedynie na to, co widziało całe miasto i uparcie broniący gacha żony? Też pewnie na skutek czarów,.. Śmiać by się tylko... Czy też bronił go, aby móc zbrodnię zepchnąć na burmistrza, pozbyć się go i sobie utorować drogę na burmistrzowski stolec? Może jedno i drugie?

A cała sprawa przedtem z krzywym Jakubem? A ożywianie glinianych kukieł znakiem wyciętym z kabalistycznej księgi? Przecie w to wierzył już nie tylko Damian — ten obłąkane wierzył nawet w to, że je sam ulepił i puścił w świat! — ale Urban, mądry i uczony Urban! „Z głupotą nawet bogowie walczą nadaremnie” — przypomniał sobie.

Biada mądrym!

Ale w tej chwili przyszła mu do głowy dziwaczna myśl. Jakże to... jak to z tymi mądrymi? Siebie uważał za mądrego a tylu rzeczy nie potrafił zrozumieć? Jak to, mądrzy więc mają być ci, co n i e potrafią zrozumieć? Mądrzy, zdawałoby się, to przecie chyba raczej ci, co właśnie p o t r a f i ą zrozumieć?

A p r z e c i e ż uważał się za mądrego. Dowody tego widział choćby i w tym, że nieraz, nieraz potwierdzenie własnych myśli spotykał w księgach ludzi uznanych przez cały świat i wszystkie czasy za mądrych. Więc jakże? Czyżby r o z u m i e n i e tego, co i jak się w życiu i między ludźmi dzieje, nie było sprawą mądrości? Tylko czego? A no może jakie-

goś... jakiegoś po prostu mocniejszego wrośnięcia w życie, mocniejszego trzymania się ziemi, ba, nawet grzęźnięcia w niej? A on nie rozumiał, bo się tak często czuł od niej daleko... I obco. I dziwne to było: z wszystkich sił i całym sercem chciał przecie ludziom być użyteczny i nieść im ulgę w cierpieniach i chorobach. I oni niby uznawali to, niby byli mu wdzięczni, niby go lubili, przynajmniej wielu z nich, bo w różnych Adrianach, Bernardach czy Czarnych Pawłach czuł zawsze niechęć jeśli nie wrogość. Niby. Bo teraz, wobec tego śmiesznego aż w swej niedorzeczności oskarżenia o współudział w czarach miał przeciw sobie wyraźnie i otwarcie wroga co najmniej w połowie miasta. A druga połowa była w najlepszym razie — obojętna. Tak, nie czuli w nim nikogo bliskiego. Był dla nich zawsze kimś obcym. Jakby kimś z dalekiego, z nieznanego kraju.

Myślał w tej chwili o tym wszystkim ze spokojem, który zdumiewał go samego. Czy jeszcze powróci ten paniczny lęk, lęk żywej kreatury czekającej, kiedy ostrze topora zagłębi się w jej żywych mięśniach?

Żywej kreatury...

Czymże jest to *ż y c i e*, które swymi lekarskimi rękami niemal namacalnie wyczuwał tyle tysięcy razy w ludzkich ciałach? I którego odchodzenie, zanikanie, rozwiewanie się wyczuwał również? Jaka jego tajemnica? A on, lekarz, teraz dopiero się zastanawia nad tym, kiedy jego własne życie...?

To jedno czuł z pewnością, że teraz, kiedy w każdej chwili może wyczuć palcami na piersiach malutką puszczykę z trucizną, tamten lęk nie będzie już tak potworny. Monika... Ileż zużyła przebiegłości, energii i trudu, aby mu jej dostarczyć! Na wypadek — w który ona nie wierzy, nie wierzy, zapewniała! — ale gdyby przecie chciał ją mieć... Bo, szlochała, jeśli Bóg pozwala na to, by zbóje i diabelscy kłamcy tak dręczyli i oskarżali niewinnych, to ona nie wierzy już w to, aby grzechem być miało odebranie sobie życia samemu...

Chrapanie Damiana ustało. Nagłe przerażenie otwarło mu szeroko oczy. Przypomniawszy sobie wszystko — pomyślał Piotr i prędko się odwrócił. Kiedy po jakimś czasie spojrzawszy kątem oka w tamtą stronę, Damian siedział na tapczanie z głową wbitą w dłoń. Ale dopiero po chwili powiedział chrapliwie nie podnosząc głowy:

— Wiecie wy, czemu w śledztwie nas na męki nie wzięli?

— A no, bo się Melchior sam potknął na tej jamie, którą nam kopał. Zląkł się o Serwacego.

— Myślicie, że z troski o niego?

— Nie, tego ja o Melchiorze nie myślę, aby się troskał o kogo. Ino się zląkł, że Serwacy gotów wyśpiewać na mękach prawdę, że otruł burmistrzycę. Przekonał ich więc, że to wszystko to *j e d n a* sprawa o czary, a w takiej ci jego zełgani doktorowie paryscy...

Damian odsunął to lekceważącym ruchem ręki.

— To wy nic nie wiecie — przerwał. Oglądając się na śpiącego burmistrza i szeptem dokończył: — Dlatego, że na mękach pokazałoby się, że Serwacy to nieprawdziwy człowiek, co ma ludzką krew i kości, ino...

— Ino kukła gliniana, tak? — zironizował Piotr z przyzwyczajenia, tylko wbrew woli po raz pierwszy głośno do Damiana. I równocześnie po raz setny wyskoczyło mu w myśli uparcie, że to Serwacy — właśnie *S e r w a c y* mówił przed Ławą o ożywianych czarno-księsko kukłach, o Pankracu. Że mówił *t o s a m o*, to samo, co Damian...!

— Co wy...? — zdumiał się bakałarz. — Wy... nie wierzycie? Wyście nie uwierzyli?

— Ależ Damianie — wybuchnął Piotr tłumiąc tym wybuchem własny niepokój i chaos myśli — dajcież już raz spokój tym majaczeniom, bo... — przygryzł wargi. — Po co mu to mówię! — myślał z rosnącym rozdrażnieniem i niechęcią do siebie samego. Prawie ze strachem czekał na reakcję Damiana.

Ale Damian odpowiedział niezwykle spokojnie. Spokojnie i ponuro.

— Bogdajby to było majaczenie. Ino że to by majaczeniem było całych tych ostatnich

kilka lat.

— A może i było? — wyrwało się znowu Piotrowi. Aby to złagodzić dodał zaraz: — Co my tam wiemy, Ja sobie też nieraz myślę, czy całe moje życie i cały mój... rozum, także nie były tylko jakimś majaczeniem?

Damian siedział z opuszczoną głową. Muskuly policzków falowały mu, jakby z wysiłkiem żuł.

— To wyście nie uwierzyli...? Nie uwierzyliście — mruzczał jak w niepojętym zdumieniu. — No to coście sobie o mnie myśleli? Że tak łzę? I że chcieliście mnie przy tym bronić?

— Nie, nie myślałem, że łzecie.

— Ino co? Chyba... że mam w głowie pomieszane?

Piotr ruszył ramionami przesadnie bagatelizująco.

— Ii, każdy bodaj człowiek ma jakieś swoje urojenia! Jedni mniejsze, inni większe.

Damian patrzył na niego zgorączkowanymi oczyma.

— I wy wierzycie, że ludzie — ludzie, co mają duszę z nieba! — mogliby, choć nawet są grzeszni, być takimi bezecnymi łgarzami, takimi zbójami i łotrami jak Serwacy i Melchior, co ją mają ino z... czarnoksięskiego zaklęcia?

— A no widać że mogą! — odwarknął Piotr z trudem opanowując rozdrażnienie. — A czy duszę mają aż z nieba, tego tam już nie wiem. — Nagle nie wytrzymał. Wybuchnął:

— Ale wiecie, gdyby naprawdę tak było, jak gadacie — gdyby coś takiego było w ogólności możliwe — to wiecie, b y ł a b y w tym, uważam, jakaś sprawiedliwość... że to z i c h ręki właśnie wy... że to o n e właśnie was, tego co je na przekór życiu stworzył czarnoksięskim zaklęciem... że o n e was właśnie...

— ...zabijają — dokończył Damian cicho i tajemniczo wytykając nauczycielsko palec. — Sprawiedliwość, o, sprawiedliwość — mówił prawie szeptem jak zasłuchany i zapatrzony w coś dla innych niedostrzegalnego. — Sprawiedliwość... Ja sam wiem, że to sprawiedliwość.

Piotr słuchał z rosnącą szczerą udręką i wyrzutem sumienia. Po co powiedział to temu nieszczęśnikowi, po co go jeszcze dręczy jakimiś sprawiedliwościami!

— Słuchajcie Damianie — odezwał się prawie gorąco — sprawiedliwość nie sprawiedliwość, w każdym razie zapłacić życiem to dość. Ale przynajmniej uchylić się przed ich wymyślnym okrucieństwem. Ja tu mam ...taki proszek. Jeden łyk — i nikt was już nie dogoni ani nie znajdzie. Chcecie, to dam i wam? Na najgorszy wypadek oczywiście. Jedno mgnienie — i koniec.

— Jedno mgnienie i koniec — powtórzył tępo Damian. A potem spytał z nowym przeżeniem w oczach i głosie: — A co potem?

— Kiedy potem?

— Po śmierci! Wieczne potępienie? Wieczne męki w piekle?

Piotr wzruszył ramionami.

— Jak chcecie. Mnie oni w ręce żywego nie dostaną.

Damian mówił z ponurym namysłem:

— Wam może nie będzie trzeba. Głowę chyba uniesiecie całą. Przysięgliście, żeście z czarami nic nie mieli. Tylko ta księga moja przeciw wam świadczy. Czemuście jej nie spalili, jakeście obiecali, czemu?

— A no tak, czemuś nie spalił... Takie to już moje łakomstwo na książki. Chciałem sam przeczytać — i nawet do tego doszedłem.

— Chyba z głową ujdziecie. Tak i burmistrz myśli. Może, powiada, z miasta go wygnają. Na was oni nie tacy zawzięci, Melchior, Serwacy. Mnie muszą zgubić, to ja wiem.

— Nie wyprysięgliście się czarów — powiedział prawie z wyrzutem Piotr.

— Nie gubić mi duszy jeszcze fałszywą przysięgą! — wychrzypiał Damian. — Jak już mi ciało gubią — oni. A burmistrza zgubią też.

— Ale burmistrz przecież wyprysięgał się i od otrucia, i od czarów?

Damian machnął ręką.

— Jego to oni zgubią. Łeb mu utną. Na drodze im w mieście chciał stawać. Im i ich czarom.

Ma obłęd w oczach — myślał Piotr. Damian bełkotał gorączkowo:

— Sprawiedliwość musi być, sami mówicie. Myślę ja sobie to teraz też. I niech bym już stosem odkupił ten grzech, byle za to życie wieczne — urwał i obejrzał się niespokojnie, bo burmistrz poruszył się na tapczanie. Leżał teraz wsparty na łokciu i prawej dłoni i w tej pozycji znowu przypominał Piotrowi figury na sarkofagach. Powiedział spokojnie:

— Jaki grzech?

Piotr zobaczył spłoszone łypnięcie Damiana. Udał, że nie słyszy pytania. Ale burmistrz powtórzył je znowu, tak jakby szło o rzecz najzwyczajniejszą:

— Jaki grzech? Czary?

— Et! — zachnął się niechętnie Piotr i po kryjomu przed Damianem plasnął się dłonią w czoło. Nie chcąc niepokoić sumienia burmistrza i zatruwać atmosfery w ich wspólnym więzieniu unikał jak mógł tego tematu. Często miał też wrażenie, że unikał go i burmistrz, bo nigdy na przykład nie zdziwił się głośno ani nie spytał Damiana, dlaczego nie wyprzysiągł się od oskarżenia o czary. Dlatego zastanowiło Piotra teraz i samo pytanie burmistrza i spokój z jakim je zadał.

Burmistrz mówił nie zwracając się do nikogo, nie patrząc na nikogo:

— Juści chyba czary. Sam se to już nieraz myślę. Jakżebym tak bez czarów ja, do tej dziwki...? W jednej chwili...? Chyba czary. Czyje? — pytał nie wiadomo kogo.

Podźwignął się z tapczanu, zadarł wysoko głowę. Obojętnym ruchem zepchnął to wszystko gdzieś z siebie. Mówił chmurnie i wyniośle:

— Mój złoty łańcuch mam na szyi mieć. I burmistrzowskie obleczenie. Inaczej im głowy na pniaku nie położę. Niech se to wiedzą ci tam, z ratusza.

— Nie będziecie musieli kłaść głowy na pniaku — wyciągnął Piotr dłoń z puszczką — jeśli łykniecie tego. Chcecie?

Szymon nie ruszając się patrzył z góry na puszczkę.

— Truczna, he? — Odał się i sapnął: — Burmistrzowa głowa może spaść z pniaka, spadały głowy i królów. Ale żeby burmistrz sam za stryk chwycił czy trutkę? — odrzucił to pogardliwym ruchem ręki.

Tępa pyszka łyka — czy niepokonana pycha życia? — myślał Piotr. — A u Damiana? Godzi się na stos za cenę p r z y s z ł e g o ż y c i a... Choćby przyszłego, ale ż y c i a... A ja? Widno we mnie ten głos życia — najślabszy.

XXIX

— ...niecny spisek, yy... uknuty na zgubę miasta i obywateli... eli... przeciw ich dobru i mieniu. Ci to ludzie zbrodniczy, yy... ludzie zbrodniczy podstępными sposobami czarno... czarno... czarnoksięskimi... imi usiłowali dostać w łapy, kdy... dostać w ręce władzę w mieście.

W momencie ciszy, gdy utknęło chropawe dudnienie głosu Melchiora, doszło zza okna ciche gruchanie gołębi na gzymsie okiennym. Potem oddalające się wołanie przekupki na rynku:

— Bób, placki jęczmienne, orzechy.

— Jak zawsze — myślał Piotr — jak przed rokiem, i przed dziesięcioma laty, jak za rok i za sto lat. — Co... czemu on przerwał? — ocknął się i podniósł głowę ku Melchiorowi.

Pochwycił spojrzenie, jakim tamten zezował ku końcowi stołu, tam gdzie za stertą foliałów kulił się Serwacy. Serwacy ze spuszczoneymi nabożnie oczyma i obłudnie boleściwie wygrymaszoną gębą.

Cisza przedłużała się.

— Podpisarek! — rznął pięścią w stół Melchior i Serwacy jak zbudzony podskoczył gnąc się całym grzbietem ku ławnikowi.

— Czytaj! — warczał Melchior wtykając mu arkusz. — Oko mi... chorzeje.

Serwacy w pokłonach chwycił arkusz i stanął przy stole obok Melchiora. Rękami nad stół wysoko wznoszonymi, w szerokich i wyrazistych gestach odwracał go górnym brzegiem ku dołowi. Gniotąca stół pięść Melchiora drgnęła jakby poderwać się chciała ku Serwacemu, ale przywarła znów do stołu.

— Ach ta-ak! — plątało się po głowie Piotrowi. — Pewnie, Damian wyjaśniłby, że Pankrac nie osiągnął trudnej sztuki czytania... To nie wybitnie uzdolniony Serwacy...

— ...tych to sztuk czarnoksięskich — czytał monotonna Serwacy — zgoła wyprzeć się nie usiłował główny ich diabelski sprawca, bakałarz Damian.

Zaszczękały jeszcze głośniej zęby Damiana. Zasłaniający go sobą Piotrowi burmistrz stał z zadartą wysoko brodą i patrzył na mądrego króla Salomona wymierzającego nad głowami Ławy sprawiedliwość żydowskim niewiastom.

Serwacy odstukiwał tym samym wciąż tonem:

— Sławetna Ława nie zdołała dotąd odnaleźć niesamowitej kukły piekielnej, jaką ówże Damian uczynił i na zgubę świata wypuścił, ale z pomocą bożą onego diabła Pankracem zwanego jeszcze ma nadzieję odnaleźć i sprawiedliwie z nim...

Podskoczył i zadudnił stół pod pięścią Melchiora, wzdrygnęli się sławetni ławnicy.

— Co łżesz, głupcze — ryczał Melchior — pomiecie parszywej suki. W wyroku inaczej...! Nie tak!

Serwacy zamiatał już niemal główką stół, złamdał o przebaczenie, szłochał prawie. Pomyłka... jego wina... pomyłka! Pomieszało mu się coś, tak, pomieszało... błaga o darowanie mu... Po ciężkich przejściach niewinnie cierpianych tak mu się czasem w głowie miesza.

Piotr przeszedł oczyma po sławetnej Ławie. Uszczuplona była dziś mocno. Nagle wyjechać musiał pono ławnik Sylwester, chory był wójt ławniczy, Gabriel, i ławnik Mikosz i temu to, jak zapowiedziano na wstępie, wyrok ogłaszał Melchior. Właśnie Melchior... On wydawał na nich wyrok za trucicielstwo, za spiskowanie, by owoładnąć miastem... No i za czary. Omal chciałoby się uwierzyć w twoje gadanie, Damianie... I tylko jego spojrzenie, spojrzenie jednego tępego jak u węża ślepie widział Piotr przed sobą. Oczu innych ławników nie mógł pochwycić. Jeden patrzył uparcie w stół, drugi bez przerwy szukał oczyma czegoś w kolorowych szybkach okienka, trzeci błędził niespokojnymi spojrzeniami po kamiennych, ostrych łukach gotyckiego, sklepienia, pod które przez kolorowe szybki przeciskały się pomarańczowe, żółte i niebieskie smugi. Bezgłośnie i bezcieśnie drżały w skośnych kolumnach świetlistych pyłów, ścieliły się na kamiennych ścianach, na wyciągniętej prawicy mądrego króla Salomona.

— ...otrucie ślubnej małżonki, uwiedzenie niewinnej dziewczki oraz wszystkie inne owe zbrodnie i złe czyny zważywszy — czytał monotonna Serwacy — oraz w sumieniu swoim świętymi przykazaniami boskimi tudzież mądrymi prawami miejskimi je odmierzywszy, sławetna Ława niniejszym skazuje...

Na gzymsie okiennym gruchały cicho gołębie. Z daleka dochodził głos przekupnia zalecającego bób, placki jęczmienne i orzechy.

Koniec